

ANDRZEJ CHCIUK

REJS DO SMITHTON

STARY OCEAN

INSTITUT

PARYŻ



LITERACKI

1960

617101340
4

REJS DO SMITHTON

STARY OCEAN

BIBLIOTEKA "KULTURY"
Tom LXI

IMPRIME EN FRANCE

Wydawca : Edition et Librairie „LIBELLA”
12, rue St. Louis-en-l'Île, Paris, 4^e

ANDRZEJ CHCIUK

REJS DO SMITHTON

STARY OCEAN

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1960

REJS DO SMITHTON

Żonie, jeszcze za jej życia

Miejsce akcji: Smithton, mały port leżący u ujścia Kaczej
Rzeki, na północnym wybrzeżu Tasmanii.

Czas akcji: Święta Bożego Narodzenia, upał.

Osoby: Donald, marynarz
Douglas, marynarz
Louise, starzejąca się rozwódka
Charlie, stary marynarz
Thomas, boy okrętowy
Kevin, marynarz
James Byrne, skipper
Fox, pierwszy oficer
Jeff, mechanik
Andy, kucharz
Walter, właściciel hotelu
Bill, policjant
Les, marynarz pod czterdziestkę
Inni, klimat, krajobraz, sprawy miasteczka,
wspomnienia, piwo, konie, nuda, morze, ptaki,
życie.

Nazwa statku: A.K. „Diana”.

Kilka niedyskrecji o osobach męskich opowiadania:

Donald: Ma lat 20. Jest wysoki i rudy, jak przystało na Australijczyka, i w tym samym stopniu piegowaty. Rosły, okazały, mocny, małowówny, młody, głupi, mańkut, trzy miesiące temu wyszedł z więzienia Pentridge. Ładnie śpiewa, stale nosi przy sobie nóż fiński. Ma świeżo robiony tatuaż. Tatuaż ropieje, jadzi się, Donald okrywa go chusteczką, lecz często drapie się po nim bardzo delikatnie bardzo brudnymi palcami. Tatuaż wypunktował mu specjalista Chińczyk Ting-Wang, mieszkający w bocznych uliczkach za *Alfred Hospital*. Dziwnym trafem jest to ten sam Chińczyk, który 40 lat temu nakłuwał Charliego. Rysunek na lewym przedramieniu Donalda jest tak prze-myślnie wykoncypowany, że kiedy Donald napnie mięśnie, dziewczynie — bo rysunek przedstawia kształtną i bardzo ekspresyjnie wycieniowaną nagą kobietę — rozchylają się nogi w miejscu, którego już nie trzeba precyzować. Ponad kobietą jest kotwica i napis w ozdobnym wieńcu. Wieniec jest właśnie najbardziej owrzodzony i napisu nie można odczytać. Donald ma srebrną papierośnicę, kute srebro z Chin, używa jej tylko od święta: jest to przedmiot zazdrości kleptomana Thomasa. Poza tym Donald lubi pomidorową zupe.

Douglas: Wysoki, przystojny, bujne kręcone włosy, jakiś smutny grymas w twarzy. Wiek: 26 lat, w tym pięć lat ciężkiego więzienia w Pentridge. Douglas oczywiście twierdzi, że siedział niewinnie, że policja to sami bandyci, alfonsi i złodzieje. Ulubionym tematem rozmów w forkasztlu załogi są różnice w wyżywieniu i traktowaniu więźniów w rzeczonym już Pentridge, Kal-Kal i Grafton, w Nowej Południowej Walii, gdzie to przebywał Kevin.

Douglas jest raczej areligijny, ma swoje własne podejście do zagadnień wiary i wyznań. Najlepszą — według niego — religię mają metodyści, gdyż dają paczki i zasiłki, często również urządzają zabawy i kiermasze, a także turnieje tenisowe, jako że 90 procent ich parafii posiada własne korty, zwykle za kościołem, lub obok hallu parafialnego. Dalej — twierdzi Doug — w kolejności przydatności społecznej idzie *Salvation Army*, gdyż również daje paczki, mniejsze i gorsze co prawda niż u metodystów, ale za to można tam się przespać i coś

przekąsić za grosze, albo i za darmo, jeśli umiesz tych umundurowanych maniaków wzruszyć i puścić im odpowiedni bajer. Za Armią Zbawienia klasyfikuje dość pozytywnie Y.M.C.A.; ci wprawdzie nie są żadną sektą, ani religią i mają lekkiego szmergla na punkcie wyłącznie męskiego towarzystwa, jednak najwygodniejsze materace są właśnie w ich domach noclegowych, a śpiewanie kantyczek i hymnów nie przeciąga się tak niemożliwie, jak u metodystów. Potem jest długo, długo nic — to znaczy sama swołocz, czyli wszystkie inne wyznania i obrządki, najgorsi zaś są katolicy, bo słuchają obcego i to jeszcze *dągo* Włocha, najbardziej wszakże denerwująca jest ta ich łacina, której za cholerę nie można zrozumieć. Imponuje mu trochę solidarność katolików, tu wyznanie mniejszości, więc muszą być solidarni — dodaje obiektywnie — tak jak Żydzi. Obu wyznań nie znosi. Nie jest pewien, które jest gorsze. Douglas zaintrygował współkolegów wiadomością zasłyszaną od więźnia Ukraińca, że grecko-katoliccy księża mają żony. Wielokrotnie pytał kucharza, bo Europejczyk, czemu tym wolno, a innym nie?

Douglas pływa na „Dianie” od 8 tygodni i codziennie dopomina się u kucharza o *porridge*. Kapitan Byrne nie może znieść widoku *porridge’u*, a nawet dziwi się jak inni mogą to świństwo jeść, więc płatków owsianych na statku nie ma. O czym Douglas dobrze wie: niemniej ciągle o *porridge* pyta, choć w lecie mało kto to jada.

Charlie: Tłucze się po morzach od przeszło 40 lat. Ma na ładzie 3 synów, 7 wnuków i żonę w Castlemaine, o 80 mil od Melbourne. Pływał jeszcze na żaglowcach, zna parowce, na ochotnika brał udział w obu wojnach światowych, ale w piechocie. Posiada dwie blizny z Francji z 1917 r., trzy z Nowej Gwinei z 1944, jedną cywilną hliznę z bójki w Aleksandrii z 1932 r., jedną z Singapore z 1936 r. Tatuazy, gdy jest bez koszuli, można na nim doliczyć się ośmiu; jeden ma nawet z Gdańska: *Zosiu daj buzi*. Z tego napisu jest najdumniejszy. Charlie z prostotą wyznaje, że w żaden sposób nie mógł nauczyć się gwizdać, choć ciągle próbował i jeszcze próbuje, nie dając za wygraną, ku uciesze załogi i jej kpinom. Kapitan Byrne bardzo go poważa i zawsze, gdy „Diana” wchodzi

do portu, lub żeń wypływa, do koła sterowego woła Charliego.

Charlie jest spokojny, ma dobre oczy pod gęstymi brwiami. Mówi świństwa tylko co piąte-szóste słowo. (Reszta załogi przeklina i złorzeczy w sposób przechodzący ludzkie pojęcie: jedno angielskie słowo, figurujące w słowniku, na trzy wypowiedziane. Sześćdziesiąt sześć procent wyrazów używanych przez załogę „Diany” podchwycił kucharz Andy w ciągu dziesięciu minut — są to zasadniczo tylko cztery wyrazy, lecz łączone w sposób wyjątkowo przemyślny i imaginacyjny). Rejs do Smithton jest ostatnią podróżą Charliego, jego ostatnią wyprawą na morze. *Teraz będę się bawił w ogrodnika w Castlemaine — uśmiecha się Charlie przy każdej rozmowie — rozumiesz: fuksje, róże, i inne bloody duperELE. Mam tu cały zbiór tych broszurek-prospektów. No, cóż, starość, człowieku...*

Thomas: Pomagier mechanika Jeffa i boy okrętowy. Myje i sprząta kabiny oficerskie na rufie i wspólną kajutę załogi na dziobie. Ma perkaty nos, głupkowaty uśmiech, dobre serce i sztuczne zęby, które mu w chwilach emocji wypadają, gdyż nosi je od niedawna. Przepada za *mutton-birds*, tłustymi ptakami z rodzaju petreli i za *scallops*, dlatego pęta się na stateczkach żeglugi przybrzeżnej wokół Tasmanii i archipelagu Fourniaux, znanych z obu poszukiwanych specjalności. Jest młody, szczupły, dziobaty i świetnie naśladowuje zawodowych *callers* ze *square dancing*. Ma diabelne wyczucie rytmu, kocha się w zegarkach, na ulicy nie może spokojnie przejść obok wystawy zegarmistrzowskiej. Przy sobie nosi zawsze dwa zegarki kieszonkowe, stoper i dwa zegarki ręczne, obrócone cyferblatem do spodu przegubu. Od kucharza chce kupić jego Omegę. Wyrzucili go z jakiegoś dobrego *college* za kradzież zegarka dyrektorowi szkoły. Przeklina nieumiejętnie, po partacku, z lubością słucha bogatych w szczegóły wynurzeń Kevina na temat jego sukcesów i ekscesów erotycznych w Melbourne, Geelong, Sydney, Adelaide i Fremantle. Z żalem stwierdza, że tylko w Zachodniej Australii domy publiczne są jawne i legalne.

Na statku Thomas sporo czyta; dziwne, że i reszta załogi lubi książki w samotności długich na morzu godzin.

Kevin: Żonaty, 35 lat, pięcioro dzieci z dwóch żon. Bardzo brzydki, nawet jak na mężczyznę. Pijak, jest ciągle trochę wstawiony. Szaleniec złośliwy i dowcipny. Oczytany nie najgorzej (7 lat — z przerwami — pobytu w więzieniach) ma z sobą na każdy rejs trzy książki i radio *portable*. Aparat radiowy owinięty w watę stoi w skrzynce po konserwach, przybitej nad jego koją.

Andy: Kucharz, grubas, emigrant, sepleni. Nie przeklina, czym peszy załogę. Do czytania wkłada okulary, czym śmieszy młodszych marynarzy. Cieszy się z racji swego zawodu respektem: o ile na kogoś się pogniewa, może mu dać mniejszą lub przypaloną porcję.

Na groźbę Donalda, kiedy kucharz z trapu taszczył swą walizkę i zasłonił sobą światło dnia, przenikające przez właz do kajuty na forksasztlu — co na chwilę uniemożliwiło grę w pokiera — że ten dźgnie grubasa swym fińskim nożem, o ile w try miga nie usunie się ze schodków, mruknął cicho: *darling, ja mam trzy noże i każdy dłuższy od twego, jestem waszym nowym kucharzem*. Andy powiedział to cicho, bo był zasapany; na tamtych właśnie ów szept zrobił wrażenie.

Od początku Charlie wziął kucharza w obronę. Ale za tę opiekę i ochronę przed złośliwościami załogi chciał się przespać z Andym. Był zły, że mu się to nie udało, lecz nie cofnął opieki. „No, cóż — mruczał Charlie — com ja, cholera, winien, iż lubię grubych? Ale gdybym każdego *bugger*, z którym mi się nie udało musiał za to zaraz nienawidzieć, to miałbym tylko wrogów. Moje prawo próbować, jego takie owakie prawo nie chceć. Kropka, o co ten cały bajc?”.

James Byrne: Jest kapitanem „Diany”. Zażywny, dobroduszny staruszek, uznający tylko dwa dania: befszytk z jajami, oraz hinduską, piekącą żywym ogniem *curry*. Chodzi stale w berecie. Goli się jedynie przed zawinięciem do portu i w portach. Befszytk musi być niedosmażony, a *curry* z ryżem i ostra, ku rozpaczy kucharza, który tego świństwa nie może nawet porządnie skosztować,

takie to piekące i wstrętne, że aż człeka zatyka. Curry musi się robić w porcie, albo jeszcze wtedy, gdy w kapitańskiej lodowce stoi przynajmniej kilka butelek piwa, jako że wypicie tuzina piw po tej potrawie jest koniecznością.

Byrne umie parę słów po rosyjsku, bywał we Włodostoku, jeździł tam po futra, gdy był młodszy i kapitałował większym statkiem. Teraz ma sześćdziesiątkę z okładką, przyzwyczajenia emeryta i starego kawalera, jak każdy kapitan. Jak każdy kapitan lubi spokój. Po prawdzie chce tylko spokoju, wszystko w nim się wypaliło, życie wyjadło mu już twarz, wszystko co go mogło spotkać, już go spotkało. Z wyjątkiem śmierci. Lecz tej patrzył nieraz w oczy, nieraz ją spotykał, ocierał się o nią — więc nawet ta możliwość go nie podnieca. Ponadto — wierzy w sny. Jest też teozofem i zaczytuje się w jakichś dziwacznych wydawnictwach, które kupuje na Eastern Market u znajomego garbusa.

Popołudniu, w dniu kiedy w Melbourne są wyścigi konne — *races!* — cała załoga zbiera się w kajucie u *skippera* (o ile są na morzu) i wszyscy z wypiekami na twarzy słuchają transmisji radiowej. Zadyszany i samodopingujący się głos sprawozdawcy wprawia w drżenie wszystkich, z wyjątkiem kucharza. Ten nie jest Australijczykiem, bakcyła końskiego nie ma we krwi. „Diana” płynie wtedy samopas, jak chce i może, jak ją fale, czy wiatr zadryfują; dopiero po wyścigach Fox sprawdza przyrządy nawigacyjne i naprostowuje „Dianę” na właściwy kurs. Byrne milczy, patrzy na załogę jak gdyby jej w ogóle nie widział; na tych seansach — przy radio — nie odezwie się słowem, toleruje je, lecz nie pochwała. Hazard uważa bowiem za wymysł szatański.

Fox: Pierwszy oficer, z kpiącym uśmiechem noszący brzemień tego szumnego tytułu (gdyż „Diana” ma zaledwie 250 ton wyporności), jest gruby i milczący. Nie ma wprawdzie na sobie żadnych tatuaży, ale posiada jeszcze cenniejsze znamię: grube i twarde jak policyjne pałki mięśnie. Jest nieoficjalnym *bookmaker*’em na „Dianie”; u niego zakłada się cała załoga, z mechanikiem na czele. Fox ma na lądzie rodzinę, gdzieś pod górą Kościuszki, morza nie nawidzi. Przyznaje to szczerze, bez przesady i pozy, tak

jak przyznaje też, że tłucze się na tym pudełku, bo chce jeszcze trochę funtów odłożyć do banku. W wolnych chwilach czyta Hemingwaya i Grahama Greene. Dowiedziawszy się, że Andy jest Polakiem, ujął go sobie przyznaniem się do sympatii do Conrada i nowego pisarza o takim trudnym nazwisku: Pietrkiewicz. Kucharz nie zachwyca się rodakiem, głównie dlatego, że w odróżnieniu od Foxa czytał dawniej wiersze tegoż; lecz że nie wypada nie być nastrojonym propagandowo, chwalił Pietrkiewicza. Rozmowa kucharza „Diany” z pierwszym oficerem tejże maciupęńskiej „Diany” na burzliwych wodach Bass Strait o Pietrkiewiczach ma dla nich obu coś z posmaku dziwnej przygody. Poza tym Fox jest filatelistą, prezbiterianinem, mańkutem, nienawidzi kotów i stale żre *cashew-nuts*.

Jeff: Mechanik, półkretyn, w okularach, wiecznie brudny od smarów, chodzi w filcowych pantoflach, nogawki ma wpuszczone w skarpetki. Tickiem nerwowym Jeffa jest stałe zdejmowanie okularów i przecieranie szkieł krawatem. Dolna część krawata jest przeto wymięta i zatłuszczona. Załoga go nie lubi, kapitan i Fox gardzą nim ostentacyjnie, Jeff bowiem jest Anglikiem. Wszystkich uważa za niższych od siebie pod każdym względem, nie cierpi Australijczyków, a ponieważ kucharz nim nie jest, przeto go wyróżnia z całej załogi, co kucharza wcale nie cieszy, bo jak tu cieszyć się z wyróżnień łajzy? W swej kajucie Jeff ma portret królowej, fotografię matki, Kiplinga i drużyny piłkarskiej Blackpool, gdzie jego brat gra na bramce.

Bill: Jest policjantem, ale że w Smithton niewiele się dzieje, chętnie wynajmuje się jako ogrodnik, lub docker. czyli jak tu mówią, *watersider*.

Walter: To właściciel hotelu „Royal Mail” w Smithton. Kiedyś grał w australijski football w Melbourne w *F.C. Collingwood*, ma obrzękłą od tłuszczu twarz, śliskie jak emalia w pisuarze wejrzenie, spory brzuch, sweter i spodnie „Stamina”, oraz żółte półbuty, czyli wygląda jak wszyscy właściciele hoteli w tej części świata. Cóż więc można o nim powiedzieć? Nic.

A teraz kilka słów o statku, jako że o Luizie i Leslie dowiemy się z akcji.

A.K. „*Diana*”: Ketch o 250 tonach wyporności. Dwumasztowiec, ma dwie śruby, dynamo i pomocniczy motor Diesla; należy do *Southern Steamship Co.* Wozi drobnicę na Tasmanię, na wyspy Flinders, Fourneaux, oraz do Geelong. Z Tasmanii „*Diana*” wraca wyładowana do niemożliwości drzewem. Nawet na pokładzie powyżej burt leżą deski, spięte łańcuchami, całe góry desek. Bardzo niewygodnie jest po nich chodzić, zwłaszcza kucharzowi, który z kuchni musi nosić tacę na rufę do kajuty kapitana, gdzie Byrne, Fox i Jeff razem spożywają posiłki. Bass Strait zawsze jest burzliwa, gdyż ściera się tu kilka prądów i wiatrów, kucharz wyczynia więc śmieszne dla innych (lecz nie dla niego samego) akrobacje, wędrując po górach desek, trzymając w jednej ręce tacę, a drugą chwytając się co chwila łańcucha, jaki przeciągnięto od masztu do masztu. Wszyscy zresztą trzymają się tego łańcucha, gdyż „*Diana*” rzuca jak gdyby morze cierpiało na chroniczne mdłości i czkawkę.

Z takich czy innych względów załoga „*Diany*” — jak widać — składa się z samych niemal wyrzutków. Porządny marynarz nie zwerbuje się nigdy na tego grata, na te krótkie, banalne i nudne rejsy w czasie których jeszcze rzuca jak cholera. „Tak, „*Diana*” to nie „*Queen Mary*”... — powiedzonko Foxa przyjęło się u wszystkich.

1

Gdy z morza nadpływa się do Tasmanii, widok jest wprost urzekający. Tyle różnej w odcieniach i nasyceniu zieleni nie spotyka się nigdzie indziej. Zieleni rozkłada się powoli na różne słoje, włókna, wzory, plamy, smugi, kreski, pasma i refleksy. Jest intensywna, żywa, szalona, obłędna, pełna miąższu i soku, pełna nad sobą niebieskiego nieba,

pod sobą niebieskiej wody. Cienka kresa piaszczystych plaż pławi się w zieleni: jarmark zieleni, dżungla zieleni, wyprzedaż zieleni, licytacja zieleni, piekło i niebo zieleni. Widok naprawdę niezapomniany i urzekający.

Byrne stoi obok Charliego, obaj w ustach trzymają fajki. Obaj mają na głowach berety. Szerokim ujściem Kacznej Rzeki, zalanej przed pełnią obfitym przypływem, „Diana” podchodzi do Smithton. Wszyscy jak urzeczeni patrzą na zieleń zbliżającego się ładu. Milczą od dwóch godzin. Nawet Kevin, którego wczorajsza burza i śmierć Lesa nie powstrzymały od wspomnień erotyczno-więziennych (może dla odprężenia po wypadku tak bzdurzył i gadał, któż to wie?) teraz zamilkł i patrzy. Widok jest ciągle jedyny i świeży, choć każdy go zna od miesięcy, niektórzy od lat. Wszyscy milczą, jest cisza, wodą przelatują lekkie podmuchy, chwiejne bryzy. Jest cisza. A może w każdym jak zadra tkwi owo wspomnienie tragedii? Owych dwóch nocy i dnia, ciężkich twardych godzin, które wreszcie przeszły?

Wokół pachnie ziemią, lasami, błotami; chmary kaczek i petreli zrywają się wśród sitowia. Brzegi, jak okiem sięgnąć, są niezamieszkałe i zielone, jedynie w Smithton błyszczą kolorowa wysypka domków.

Jest sobota popołudniu. Przez tę historię z „Eureką” spóźnili się z pilnym ładunkiem drobnicy. Czy będą dockerzy w porcie? Jest już sobota, zaraz fabryka dykty, jedyna w miasteczku, zawyje na fajerant, a miasteczko ogarnie czterodniowa beczynność: *week-end* i święta. Byrne nawet się nie denerwuje: nic na to nie poradzi, spóźnienie nie nastąpiło z jego winy, postoją sobie tu całe święta, *couldn't care bloody less*. Niech wyładowują, niech nie wyładowują, mam ich gdzieś. Jeśli mieszkańcy Smithton chcą mieć te skrzynie w lukach „Diany”, to niech sobie znajdą dockerów. Załoga powinna być zadowolona: Leci jej ciężki świąteczny *overtajm* za to, że palcem już przez trzy dni nie ruszą, najwyżej kucharz. Jeszcze jedno święta w jakimś nieoczekiwanym punkcie globu? Co mnie to

właściwie obchodzi? Związki zawodowe dadzą robotników, albo i nie dadzą, mnie *wsio rawno*...

Byrne uśmiecha się głupkowato: szkoda Lesa. Patrzy na Charliego, ten ma posiniaczone ręce i podbite ze zmęczenia oczy. Stoi w rozdartych spodniach, od steru nie zeszedł od dziewięciu godzin. Fajny ten stary Charlie, to dawne pokolenie marynarzy, nie ta hołota, co wydostawszy się z pierdła, fuksem pcha się na statek. Fox stanął obok nich i chrupiąc orzeszki podaje Charliemu okulary przeciwsłoneczne. Odblask od wody jest oślepiający, wściekły. Skąd tak szybko po burzy i nocy zrobiło się to ogromne bezczelne słońce? Charlie kiwa z wdzięcznością głową i nakłada okulary na nos. Motor pracuje równo, łódź pełźnie naprzeciw statkowi, mewy już uciekły zniecierpliwione, za to od strony łądu pojawiły się jaskółki i wróble.

Jest sobota popołudniu. W porcie tkwi nieruchomo kilku rybaków z wędkami w zastygłych dłoniach, kilkoro dzieci biega po molach. Smithton. Andy stoi w drzwiach kuchni i patrzy na to zapomniane w głębi czasu miasteczko. Dwie nogi baranie syczą za nim w piecu, sagan zupy pomidorowej, tkwiąc jeszcze od czasu burzy w żelaznych uchwytach, które założył Thomas, paruje i rozprzestrzenia swą woń w słodkiej skisłości kuchni. Dziś uchwyty nie są potrzebne, ale wczoraj pokrywki leciały, rondle wychłapywały zawartość, która poprzez fajerki zalewała ogień, wtedy kuchnia wirowała; teraz jest cisza i spokój. Jest sobota po południu i w Melbourne odrywają się wyścigi, ale nikt nie śmie prosić skippera o pozwolenie słuchania radia. Zresztą chyba nikomu to nie w głowie. Chłopcy zwinęli żagle i siedzą w milczeniu.

„Diana” przesuwają się wolno i bez szmeru, mija wytyczone bojami i drogami przejścia wśród szuwarów i sitowia. czasem chlupnie za burtą mała fala, skrzypnie coś w statku. Wędkarze kiwają marynarzom rękami, dzieci są zaintrygowane, sceneria pustego portu ożywia się, skądś wychynęło kilka postaci. Kapitan wszedł do swej kajuty, Fox chrupie orzeszki, Jeff, stojący przy nakrywie motoru poprawia okulary, załoga siedzi na burcie i pali papierosy. Jeszcze kilka

ruchów Charliego przy kole i „Diana” wsuwa się w cień dużego hangaru. Donald wyskakuje na molo, biegnie z liną i okręca cumę na żelaznym palu. Kapitan jest sztywny, nikt nie odpowiada na wesołe i przyjazne pokrzykiwania mieszkańców. „Diana” jest dla Smithton jedynym łącznikiem ze światem, dlatego w mgnieniu oka robi się wokół statku małe zbiegowisko. Z uliczek biegną nowi ciekawscy.

— Rzucało was dobrze, co?

— Mielicie *a rough time*? Co za pogoda, hę? Myśleliśmy, że to koniec świata.

— Żyjecie *boys*, po tej burzy?

— Przez tę burzę macie niewąskie spóźnienie, co?

Załoga nie odpowiada, chłopcy patrzą na Foxa.

— Zawołaj Billa — mówi Fox do któregoś z mieszkańców — ale szybko!

— Co się stało? — pyta tamten wietrząc sensacje w zastałym od nudy życiu miasteczka.

— Nic, biegnaj, *hurry up*!

— Przywieźliście piwo?

— *Yep* — mruczy Fox — przywieźliśmy wszystko.

— Spóźniliście się — krzyczy Walter hotelarz — już myślałem, że nie będzie u mnie w tym roku *menu* na *Christmas Dinner*. Zamówiłem je w Melbourne, aby były ładniejsze, a tu was nie ma i nie ma.

— A motocykle są? — krzyczy jeszcze ktoś.

Byrne stoi w okienku i patrzy na przystań, milczy, wkrótce znów chowa się w swej kajucie.

— *Yep* — kiwa głową Fox — przywieźliśmy wszystko...

Dopiero wtedy Walter zauważa coś dziwnego w sylwetce statku: porwane liny, potrzaskane burty z odpryskami farby i desek, powybijane szyby, ścięte napięciem twarze, nieogolone policzki skippera. Byrne dobijający do portu nieogolony?

— *Shit* — krzyczy zaintrygowany — *what's wrong with you, boys*? Cóż do nagłej cholery to wszystko ma znaczyć? Mówcie.

Przedwczoraj i wczoraj:

Wyszedłszy z Melbourne „Diana” minęła pod wieczór światła latarni morskiej w Queenscliff. Czeką ją jeszcze 30 godzin spokojnego przepychania się przez niemrawe na razie morze. Wszystko wokół było szare, z kubryku załogi dochodziły odgłosy kłótni, światła Queenscliff zniknęły już, rozplynęły się w nocy; gdzieś z lewej migotały światelka Kings Island i wyspy Trzech Hamaków. Fox rozłożył na stoliku swe albumy filatelistyczne, przygotował lupę, nową paczkę *cashew-nuts* i irchową szmatkę do przecierania szkła powiększającego. Jeff poszedł spać. Thomas gwizdał przy motorze jakąś rytmiczną sambę. Byrne przejrzał nowe pisma swej sekty, potem podszedł do krótkofalówki. Nie działała. Natychmiast poczerwieniał, wściekłość aż go zatchnęła. Po chwili zawołał Foxa i Jeffa. Kręcili, pukali, po kwadransie doszli do wniosku, że żaden z nich nie jest w stanie naprawić defektu. Zdenerwowani rozeszli się do siebie. Trudno, naprawi się to w Smithton.

Noc gęstniała. Powstawały wiatry, zaczynało huścić od dziobu do rufy, rozbryzgi piany siały jak z rozpylacza, wiatr jęczał w takielunku. Około drugiej rano Charlie, nie opuszczając koła sterowego, zapukał butem w drzwi kajuty skippera. Ten wkrótce znalazł się obok sternika.

— James — szepnął Charlie — chyba mam halucynacje...

Byrne zaklął, targnął nim dreszcz, podniósł kołnierz piżamy i poprawił beret.

— O co chodzi? — spytał.

— Widziałeś kiedyś w swej karierze okręt-widmo? — pytał Charlie. — Bo ja nie. To jakiś tankowiec, opuszczony, cholera, przez załogę, czy co?

Byrne sapał, rozglądał się, lecz milczał. Nieopodal na rozdygotanym morzu stał ciemny kształt statku. Błyszczało na nim tylko jedno światło. Żadnego głosu, żadnego ruchu, to jedno światło potęgowało jeszcze nieprzyjemną

ciemność, zagęszczało nastrój grozy. Charlie, nie pytając o rozkaz, okrążał ów tankowiec w ciszy nagle pełnej niepokoju i tajemnicy. Byrne podreptał do swej kabiny i powrócił z Vereyem. Wystrzelił zeń dwie rakiety, chcąc sprowokować jakiś odzew ze statku. Rakiety wykopciły się, wysyczały, rozbłysnęły smugą światła, w którego nagłym blasku tankowiec wydał się jeszcze większy. Nic. Żadnego ruchu, żadnego głosu, znowu ciemność, jeszcze gęstsza po krótkotrwałej połodze rakiet.

Dawno zasłyszane opowieści o statkach-widmach, o załogach zżartych przez szczury, lub wyniszczonych przez nagłą epidemię przemknęły kapitanowi przez głowę. Nonsens. To było dobre w czasach żaglowców, gdy miał siedemnaście lat i wyobraźnię młodego niezblazowanego chłopca. Lata na morzu oduczyły go wyobraźni, stała się ona jałowa i wymierna, służyła tylko przezorności i unikaniu wypadków. Ostatecznie wokół jest wiek radaru i elektroników, zdobyczy wiedzy i techniki, nie pasują tu bajki o latających Holendrach. Ostatecznie fakt, iż tłucze się na tym rozpaczliwym pudle, do którego już i dobrej załogi nie można zwerbować, bo nikt nie pali się do służby w tych warunkach, nie upoważnia go do przyjęcia przypuszczeń, że oto znalazł się w pobliżu okrętu-widma i to jeszcze w promieniu stu z górą mil od wielkiego portu. Niemniej to wszystko jest dziwne. Kie lichu? Dłonią przesuwiał po wzrastającej szczecinie policzków, mełł w ustach niewypowiedziane przekleństwa, które w takich sytuacjach same pchają się na wargi i wyzwalają najlepiej napięcie.

— Co myślisz o tym, Charlie? — spytał.

Charlie próbował zagwizdać, z ust jego wyszedł jednak tylko świszczący szept:

— Nie wiem — wzruszył ramionami. — Coś tu śmierdzi. *Shit!* Czy zostajemy do rana? *It's a stinking business*, James. Ale myślę, iż trzeba zostać do rana, pooglądać sobie dokładnie cały bajc.

Byrne kiwnął głową: tak, to byłoby najlepsze rozwiązanie. Trzeba zobaczyć co to wszystko znaczy... Po chwili dodał:

— Może trzeba im pomóc? Lecz statek wygląda mi na pusty, na porzucony. A w tym wypadku prawo morskie postanawia: „Statek znaleziony na morzu staje się własnością tego kto go znalazł. Trzecia zaś część wartości przypada załodze do podziału”.

Charlie znowu usiłował zagwizdać, prawie, że mu się tym razem udało.

— *It would be nice...* — chrząknął, ze wzruszenia aż dostał chrypki.

— Załapałoby się parę groszy, co? — powiedział Byrne. — Zresztą zarobek to szczeniak, ale trafia się nam przygoda, o której będzie można do końca życia opowiadać wnukom, chętnym i przyjaciółom przy kuflu piwa, w każdej tawernie, pubie, czy nawet w Castlemaine, co? No, stary, to zostajemy. Budź załogę. Diabeł tylko nadał nam ten defekt krótkofalówki, można by uprzedzić kapitanat portu w Melbourne, poprosić o pomoc i zawiadomić Smithton o opóźnieniu.

Nad ranem zobaczyli napis S/S „Eureka” i norweską flagę. W bładym pobrzasku obserwowali statek, kiwający się na falach. Kompletny bezruch na statku, za to morze pod nim wre i syczy przełamującymi się falami sztormu. Szalup nie było, załoga musiała już poprzedniego dnia opuścić tankowiec. Morze wokół było ponure, pułap wisiał nad nim niski i pełen rozwichrzonych chmur. „Diana” spuściła szalupę, wsiedli do niej Fox, Donald, Les i Charlie, w ostatniej chwili zdecydował się Jeff i kucharz.

— Może tam znajdę co dobrego do żarcia, boss — uśmiechnął się do kapitana. — Może tam mają w spiżarni dobrą hinduską *curry*, oryginalną Vancatachellum, nie ten *rubbish*, co podrabiają w Australii.

Kapitan pozwolił więc i jemu, aby udał się na „Eurekę”, sam został na „Dianie” z Kevinem, Douglasem i Thomasem.

— *Be careful*, uważajcie — machnął im ręką. Les zaśmiał się głośno i pierwszy chwycił za wiosła. Oczy pozostałych śledziły ich z napięciem. Podpłynawszy pod „Eurekę” Fox dotykkiem sprawdził temperaturę poszycia

— było zimne — i po sztormtrapie wydostali się na pokład.

Do „Eureki” zbliżał się pośpiesznie jakiś frachtowiec. Jak rychło się okazało, był pod banderą nowozelandzką. Zobaczywszy szalupę „Diany” chyboczącą się przy burcie uznał pierwszeństwo „Diany” i wciągnął kod flagowy D U Z, co znaczy: Gratulujemy. Byrne podmanewrował pod Nowozelandczyka, widocznie uznał, że trzeba prosić o pomoc. Po kilkunastu minutach oba statki stanęły opodal. „Diana” przytuliła się do S/S „Christchurch” i Byrne wywindował się na górę, gdzie go witały zapytania zaintrygowanych Nowozelandczyków.

Fox od razu zdał sobie sprawę, że opuszczony tankowiec, zapewne tłący się pod pokładem, lada chwila może wybuchnąć, lub zatonać. Pod pokładem mogą również gromadzić się gazy, groziłoby to rozerwaniem statku. Dlatego też — bo jakie inne mogłoby być wytłumaczenie? — załoga w popłochu opuściła „Eurekę”.

Biegiem rzucili się chłopcy do wałęsających się po pokładzie gaśnic, każdy przechył statku katulał je z miejsca na miejsce. Porzucono je widocznie w popłochu. Ognisk pożaru było kilka. Chwycili gaśnice: trzeba za wszelką cenę zlikwidować te ognie. Tłące się deski pokładu głównego na śródkręciu, międzypokładu z prawej burty, obudowę rury wentylacyjnej, a także płonące oszalowania pomieszczeń załogi zaatakowano sprężoną zawartością syczących gaśnic.

Wkrótce Fox zorganizował na „Eurece” normalną służbę. Parokrotnie zbadano cały statek, wygaszono tu i ówdzie żarzące się deski, nawiązano łączność z „Christchurch”, z której wysłano drugą szalupę z pięcioma ludźmi. Razem z Nowozelandczykami, którzy oddali się pod komendę Foxa, zaciągnięto normalne wachty, wyciąganą kubłami wodą zlewano pokłady i ściany, na podorędziu rozwinięto liny holownicze, przygotowano rakiety alarmowe, przewieziono żywność z „Christchurch”, co jakiś czas badano zanurzenie na rufie. Wprawdzie od chwili wejścia na „Eurekę” nic nie wskazywało na to, by poziom

wody się podnosił, jednak trwano w pogotowiu i napięciu, bo każdej chwili mogło stać się coś dziwnego ze statkiem. Na przedni maszt wciągnięto dwa czerwone światła: *statek nie odpowiada za swe ruchy*.

Przybyli za drugim nawrotem z „Christchurch” marynarze nowozelandzcy, wysłani po żywność i koce, poinformowali Foxa, że uzyskano drogą radiową łączność z Melbourne i że na miejsce katastrofy „Eureki” idą pełną parą dwa holowniki, aby przyciągnąć ją do Queenscliff. *Southern Steamship Company* jest również powiadomiona o spóźnieniu, zaakceptowała decyzję Byrne’a, obiecała przesłać depezę swemu przedstawicielowi w Smithton. Czyli wszystko w porządku — zakonkludował Fox.

Kucharz nie odstępował Foxa ani na krok. Doświadczenie marynarskie Andy’ego było minimalne, za to ciekawiło go myszkowanie po opuszczonym statku, chciał wysledzić przyczyny opuszczenia go przez załogę. W sterówce znaleźli sztauplan, zorientowali się więc, że zbiorniki były niedawno przebudowane, okręt wyszedł z remontu w Bergen zaledwie pięć miesięcy temu. Urządzenie wnętrza było nowoczesne i nieuszkodzone. W kajucie kapitana, gdzie szuflady biurka i szaf były pootwierane, a w nich patetyczny niemal nieład, na półce z książkami znaleźli tackę z kieliszkami, odkorkowaną butelkę francuskiego koniaku i mocne francuskie papierosy. Pomimo paniki, w jakiej załoga opuszczała statek, kapitan „Eureki” zabrał ze sobą dziennik okrętowy, nigdzie bowiem go nie odnaleziono. Na jego biurku stały jeszcze fotografie jakiejś młodej kobiety z dwojgiem małych dzieci, to pewnie żona, leżała otwarta książka, przy niej popielniczka z limoskiej porcelany. Fox przejrzał biurko, nachylił się nad książką, przesunął popielniczkę i nóż do rozcinania książek.

— Jeszcze wszystko prawie ciepłe! — mruknął. — To jednak głupie uczucie dotykać tych rzeczy, które stanowiły otoczenie kogoś, tak nagle wyrwanego ze swej egzystencji. Czuję się jak złodziej, jak intruz.

— Ależ mocne — krztusił się Andy, zapaliwszy *Gau-*

loise'a. — Już odzwyczaiłem się od nich, a kiedyś tak je lubiłem. Cóż to za gangrena!

— Ty byłeś we Francji? — spytał Fox.

-- Dwanaście lat — uśmiechnął się Andy — i kiedyś w czasie wojny w 1940, tak jak ty teraz, myszkowałem w jakimś mieszkaniu, opuszczonym nagle przez jego właścicieli. To było w małej wiosce pod luksemburską granicą. A dom należał do mera tej wsi. Znam to uczucie, znam. Dlatego niczego tu nie tknę. Naser mater, człowiek jest za wrażliwy, życie takich bije w czapę, w kalarepę. Takie uczucie to nonsens, możesz być jednak pewien, iż niczego nawet z magazynu i lodówki nie ruszę. Jak znajdę tę *curry* Vancatachellum, to wezmę dla starego, bo mnie bawi ta jego melodia do *curry*, to kukunamuniu na tle *curry*, A reszta, czego nie dotknę, to mnie aż parzy, aż piecze. Naser mater, człowiek sam sobie życie najgorzej komplikuje, sam sobie największy wróg. Ale nie mogę inaczej, zrób mi dziecko na plecy. Nie mogę. Jednak tego koniaku to trochę potrabimy, co? Wiem, że nie wolno, ani panu nie wypada mi na to pozwolić, ale napijmy się na kuraż. Wszystko czego nie dotknę, to jakbym trupa dotykał. Brrr...

Fox sięgnął po koniak i nalał.

— Masz, pij, ale niedużo. Trzeźwość może się nam jeszcze przydać.

Z kabiny radiotelegrafisty Fox nadał fonią na „Christchurch” swoją ocenę sytuacji. Potem wrócili do kapitańskiej kajuty i siedli w głębokich fotelach klubowych. Dopiero gdy usiedli, odczuli jak bez napędu statek miota się po pieklących się falach. Fox wyciągnął nogi i skrzył sobie papierosa, nie lubił gotowych. Rozcierał — po australijsku — tytoń na dłoni, bibułkę wziął za koniuszek w wargi, obiema rękami formował laseczkę tytoniu, przykrył to bibułką i jedną ręką skrzył. Andy obserwował go pilnie, ale musiało to być bezmyślne, gdyż ni stąd ni z owąd przypomniało się mu, iż nadchodzą święta Bożego Narodzenia. Boże Narodzenie. Córeczce do szkoły posłał pudło zabawek, miano ją tam zatrzymać do Nowego Roku, póź-

niej zaczynał swój urlop. Zamówił już pobyt w pensjonacie w Bright, w górach. Już od tygodni cieszył się na te wakacje z dzieckiem. Sam będzie miał teraz idiotyczną wigilię na morzu, z tymi bandziorami z „Diany”, ale przynajmniej córeczka będzie na polskiej wigilii z choinką i kolędami, z barszczem i kutią, gdyż taką tradycyjną wigilię urządzają co roku siostry Zmartwychwstanki. Dziecko jest tam już od czterech lat.

— Kolędy, cholera — pomyślał — a gdzie śnieg? Gdzie ten urok pasterki i zamarzniętych szyb? Człowiek się starzeje, zmienia, wszystko staje się brzydsze i inne, jedne tylko młodsze wspomnienia i stają się coraz piękniejsze.

Przyszedł do nich Charlie.

— Wszystko w porządku, *sir* — zaraportował Foxowi. Z kapitanem był po imieniu, do Foxa nie odważył się tak odezwać. — Myślę, że dociągniemy grata do Queenscliff i zarobimy parę groszy. Wody nie przybywa, nigdzie nie śmierdzi dymem ani swądem, pożar chyba wygasł. Przeciek nie jest groźny, pływalność ciągle duża.

Znowu zapalili. Fox mrugnął na Charliego porozumiewawczo, wskazując oczyma na fracuski koniak.

— No, napijmy się po jednym.

— Zrobić wam coś do zjedzenia? — popatrzył na nich kucharz. — Widziałem w lodówce sporo dobrych rzeczy. Jeśli chcecie to wam coś upitraszę. Jedliście kiedyś wędzonego łososa? Sam nie będę jadł...

Nie mieli ochoty na jedzenie, zwilżali wargi koniakiem, pili go jak najwolniej. Palili i rozmawiali. Nerwy.

— O czym myślałeś — zagadnął kucharza Fox — gdy kręciłem papierosa? Miałeś wtedy takie dziwne błyski w oczach.

— O Polsce — uśmiechnął się Andy. — O śniegu i polskich zwyczajach świątecznych. Na wigilię, której tu nie znacie, podaje się coś czego tu też nie znacie: barszcz z uszkami. Barszcz to zupa z czerwonych buraków..

— Aż ich obu podrzuciło:

— Co? Toż to musi być świństwo... *Bugger*.

— Ależ to najlepsza zupa świata. A wiecie co to są uszka?

Charlie zapalił fajkę i słuchał. Fox gryzł orzeszki i też słuchał. Lubił kucharza, nie chciał mu czynić przykrości, lecz nic go ten barszcz nie obchodził. Mógł umrzeć bez znajomości przepisów na barszcz i uszka, lecz, że mówienie o czymkolwiek zatykało tę nieznosną dziurę w czasie, zachęcał nawet Polaka do gadania.

— A ten barszcz to się je łyżkami?

— Uhm, łyżkami. A uszka są podobne do chińskich *dim-simsów*.

— Brrr... — otrząsnął się Charlie — ten kolor barszczu, jak krew, odbiera mi apetyt na wszystko. Należy pan jeszcze kapkę, *sir*?

Przez jakiś czas milczeli, nasłuchiwali szumu fal.

— Chciałoby się troszeczkę zdrzemnąć — westchnął Charlie. — Jednak ta heca z opuszczonym statkiem świetnie nadaje się na zakończenie mych morskich przygód. Ileż to już jest? 42 lat, naser mater. 42 lat od czasu gdy się zamustrował na żaglowiec „Jenny”.

Pociągnął łyk z kieliszka i znów westchnął:

— W Smithton muszę postawić ze trzy funty na *Raising Fast*. Dziś są też wyścigi w Melbourne. O trzeciej, co? Za godzinę. A tu też pan przyjmuje, *sir*? Jeśli tak, to stawiam.

Ach, rzeczywiście, wkrótce będą wyścigi. Les przyszedł pierwszy, w chwilę później Donald i inni, nawet marynarze z „Christchurch”. W górze kręcił się samolot pewnie z „Heralda”. Robią zdjęcia do gazety, albo do tygodnika aktualności. Pokiwali mu rękami, za chwilę wszyscy wrócili do kajuty kapitańskiej.

— Aparat działa? — Les wskazał oczyma na radio. — Zaraz będzie transmisja na 3 AW.

— Ten komentator z 3DB jest lepszy — wtrąca Donald. — Niech pan nastawi na 3DB.

Wyciągają portfele i patrzą na Foxa:

— Przyjmuje pan?

Fox na stoliczku do kawy rozkłada swe bloczki i wpisuje cyfry. Banknoty układa na szklanym blacie, przyniata je spodkiem od filiżanki, gdyż statkiem okropnie trzęsie, patrzy bladymi oczyma na obecnych:

— No, kto jeszcze?

Andy obserwuje obecnych, ma kpiące błyski w oczach: „Świat może się walić, za chwilę wszyscy możemy wyfrunąć w powietrze dmuchnięci eksplozją, szlag może trafić nas wszystkich, a oni najspokojniej o koniach, co za naród, niech skonom. A może właśnie tak powinno być? Może to pielęgnowanie drobnych przyzwyczajęń i nieodstępowanie od nich stwarza jakąś siłę? U nas ciągle tymczasowość, ciągle improwizacje, stale z jakichś powodów coś ulega zmianie, a u nich wszystko ciągle jest tak samo. Dobrze, może mają rację, ale mnie to śmieszy” — kucharz patrzy na nich kpiącym wzrokiem.

Fox jest trochę zaniepokojony, każdy grubo obstawił faworyta *Prince Charmant*, a co będzie jak *Prince Charmant* rzeczywiście wygra? Tylko kucharz z początku się wykrecał, nie lubi koni, nie zna się na tym, nie chciał stawiać. Wreszcie pod presją kpin i docinków postawił 5 funtów.

— Pięć funtów? *Fiver'a*? — dziwili się. — *Each way*?

— Jak już ryzykować, to grubo — skrzywił się niewyraźnie.

— No, a na którego konia? — wypytywał poweselały znowu Fox. Na którego?

Rój głosów doradzał, zaręczał, zapewniał, wychwalał pęciny tego a pochodzenie tamtego konia. Wreszcie w ogólnym napięciu, jakie zwykle odczuwają cwaniacy wobec nowicjusza, Andy wybrał jednego z gazety, z którą nawet tu nie rozstał się Fox, miał ją w kieszeni.

— *Silly Ann*? — zdziwił się, patrząc na kucharza.

— Zduśniałeś? *Silly Ann*? Ty sam *bloody silly* — oburzał się Charlie — dlaczego ten?

Bo mojej córeczce Ann — powiedział cicho kucharz. — A przez ten *silly* zbieg okoliczności nie zdążę do niej na święta.

— *He's mad* — krzyczał Les. — Co jemu do głowy strzeliło? — Kiedy biega ten koń? W piątym biegu?

Fox schował niebieski banknot do kieszeni, nie pod spodek; był pewny, że tu ma już czysty zarobek. Wzruszył ramionami, jak gdyby mówił: „No, co? Nie mam może brać tych pieniędzy, jeśli je tak głupio dają?”.

Na kucharzu dłużej niż na innych pozostało spojrzenie Donalda.

4

Lecz w dosłuchaniu transmisji do końca przeszkodził im jeden z Nowozelandczyków. Przybiegł właśnie z rufy z wiadomością, że za oszaltowaniem magazynku stalowych butli rozlegają się jakieś jęki. Natychmiast pogonili za nim. Łomami podważyli listwy oszaltowania, lecz że zapomnieli latarek elektrycznych, pracowali w półmroku. Odgłosy, dochodzące z ciemności były niesamowite: skrzeczenie, jęczenie, skowyt potępieńczy, chichot; dodajcie do tego poszum fal walących na zewnątrz w poszycie, strach każdego, a zrozumiecie, że mogły im wszystkim z wrażenia włosy stawać dęba. Toteż zerkali na siebie, kto pierwszy się wycofa, kto da znak, podczas gdy Fox pobiegł do kajuty po latarkę. Kiedy wrócił, opowiedzieli mu wśród śmiechów, że to kot. Był ranny, zapewne długo nieprzytomny, wystraszony. Co z nim robić? Ledwo zipie...

— Ratować, trzeba go przewieźć na „Christchurch” — uradzili. Jeden tylko Donald doradzał, aby kota wykończyć:

— W czapę go i po krzyku. Chcecie, to go rąbnę za burtę i będzie po wszystkim. No, jak?

— Te, Donald, zapieprzony podrzutku, uważaj ino, abym ja ciebie nie rąbnął za burtę — warknął Charlie — fruwać stąd, won, morderco kotów...

— Morderco? Chcesz w ryło, stary? Jak ci przyfastryguję, to od razu się nauczysz gwizdać — doskoczył do Charliego — nad kotem się rozczulasz, chociaż każdej chwili możemy wylecieć w górę, jak te kopane fajerwerki na *Empire Day*. Kotka mu się zachciało, taki owaki staruszk...

Lecz nikt nie poparł Donalda, nikt nawet nie zaśmiał się na jego kpiny z Charliego. Przesunęli się w kierunku Charliego, obstąpili go w milczeniu, kota wziął Fox na ręce, on zaprzysiężony wróg kotów. Australijczycy mają dobre serca.

— Charlie, znajdź jaki worek, zawiń to bydlę i zawieź je na „Christchurch”. *You help him?* — zapytał Fox Nowozeladczyków. — A ty, Donald, zamknij się, chodź ze mną, zajrzemy jeszcze raz do maszynowni. Wracajcie wszyscy na swoje stanowiska. Pamiętajmy, że wolno spać tylko w kajucie kapitana i w saloniku przy messie, nigdzie indziej. Wachtowi muszą wiedzieć gdzie kto śpi; to na wypadek alarmu. Zmieniać miejsc nie wolno — tu znaczącym spojrzeniem zganiał Charliego, który od dłuższego czasu obserwował młodego blondyna z „Christchurch”. — Zmieniać miejsc nie wolno. No, Charlie, bierz kota i jazda. A ty Andy, zrób nam coś do zjedzenia...

Donald poszedł z Foxem. Mieli zbadać ponownie pokład. Foxowi gdy trzymał kota w rękach, przyszła do głowy zupełnie nieprawdopodobna — wydawałoby się — myśl, że przepalony i nadniszczony pożarem pokład mógłby się nagle osunąć i zapaść w dno statku, nie wytrzymałby ciężaru maszyn i kotłów. Nadżarte ogniem i rdzą nity mogły puścić i płat poszycia może się nagle oberwać; podłogi, konstrukcje wszystko zapaść się i runąć w głąb. Chole, te idiotyczne holowniki mogłyby się spieszyć — pomyślał, czując jak strach w nim narasta.

— Masz pietra? — spytał Donalda.

— Nie wiem, *sir* — odparł tamten szczerze — czego mam się bać, a czego nie. Na razie nic nam nie grozi. Zresztą mnie w Pentridge powiedział jakiś psychiatra, co nas badał, że ja w ogóle nie posiadam wyobraźni. I że ludzie, tak głądził ten łysawy tuman, najczęściej są ofiarami własnej wyobraźni.

Tyle słów naraz w ustach Donalda — to był rekord. Więc z wysiłku podrapał się prawą ręką w lewą, gdzie swędził go ciągle ropiący się tatuaż.

— On tylko twierdził, że ja mam rozbudzoną wyobraźnię erotyczną. I że ja naprzód sobie ustalam kogo i w jakich figurach wytenteguję. Myślę — dodał westchnąwszy, bo mówienie go męczyło — że miał rację. Jak przyjedziemy do Smithton, to prześpię się z tą wymalowaną Louise.

— *Louise?* — zdziwił się Fox, ubawiony *taką* rozmową w tych okolicznościach. — Przecież ona chodzi z Lesem?

— No, to co? — wybałuszył oczy Donald. — Jednak z nią się prześpię w Smithton. A chce pan wiedzieć jak? Mam zresztą na „Dianie” album pompejański, sprzedał mi go ten Chińczyk od tatuażu, pokażę, panu. *It is very funny*. Z Paryża też mam.

— Nie, proszę cię — uśmiechnął się Fox — zachowaj to dla siebie i dla Louise.

Zapaliwszy latarkę jął zstępować do maszynowni. Na płytach wisiały krople wody, nit po nicie przesuwaly się pod smugą światła, czasem Fox zatrzymywał się, nasłuchiwali wtedy, lub pilniej oglądali jakiś kąt. Nic podejrzanego nie było jednak widać, choć cisza syczała wokół nich nieprzyjemnie i wrogo. Ich kroki głucho dudniły wśród blach i metalu, echo w pustce nawracało jak w górach. Ponieważ to porównanie do gór narzucało się uporczywie, przekształciło się zaraz w myślach Foxa we wspomnienie o domu, dzieciach, o górze Kościuszki i własnych baranach. Uradził z żoną, że popływa jeszcze z rok, wypłaci resztę rat i wtedy osiadzie na swojej farmie. A może jednak warto kiedyś zacząć Donald o ten album? Ale by się żona zdziwiła, gdyby dopiero teraz

zaprodukował się znajomością techniki wypróbowanej ileś tam wieków temu w Pompei, albo dużo nowszej z Pigalle, co? Wypytywałyby go, jeszcze by się na niego obrażała. Posądzałyby go o Bóg wie co?

Przy tankach z ropą też było cicho. Manometry i liczniki stały martwe, tykał tylko budzik na półce w magazynie obok. Na gwoździu pod półką wisiał gumowy płaszcz. Donald przeszukał kieszenie: w jednej było jabłko, w drugiej szalik i listy z fotografiami. Zabrał je. Fox zerknął ciekawie na znaczki, były szwedzkie i norweskie.

— Podobno załogę „Eureki” odratowano przy brzegach Wyspy Trzech Hamaków — mruknął Donald. — To zabiorę listy i może jakoś prześlę temu facetowi.

— Uhm — pokiwał głową Fox. — Tak mówili ci chłopcy z tej nowozelandzkiej łajby. Wszystkich odratowano, morze wczoraj było spokojne.

W kręgu światła latarki oglądali listy i fotografie. Na drewnianym koniu karuzeli siedziała wystraszona, trzyletnia może dziewczynka w długich rajtuzkach i w czapce z nausznikami. Poza karuzelą widać było ośniewane alejki parku, świerki i odmienne od australijskich domki.

— Śnieg... — szepnął Donald, chowając koperty do kieszeni. — Jeszcze nigdy nie widziałem śniegu. A pan widział?

— Tak, mam dom pod górą Kościuszki, a tam jest sporo śniegu. No, chodźmy na górę. Ależ trzęsie... Statek stoi bez napędu, więc rzuca nim jak piłką. — Fox pokiwał głową, rozejrzał się raz jeszcze wokoło i postawił nogę na stopniu. — Tak, może wytrzyma, może nie zawali się ten pokład. Wracamy, Donald.

— Czy śnieg jest zimny? — pytał Donald, zadzierając głowę w górę, ku nogom Foxa wstępującego przed nim po drabince. — Czy to jest mokre, sypkie, śliskie? Jakie? Jaki to ma smak?

— Ma smak wody, jest zimne. Przy zadymce jest sypkie, przy odwilży śliskie, robi się wtedy twarda skorupa na powierzchni, bo ja wiem, jak ci to wytłumaczyć?

— Cholera, nigdy nie widziałem śniegu... — stękał marynarz. — *Never*.

Na pokładzie czekał Les. Był to szczupły brunet, trochę włoski w typie urody. Jego oczy miały tłusty połysk palonej kawy.

— Pomagałem kucharzowi, zaraz będzie coś do zjedzenia. Znaleźliśmy rzeczywiście w spiżarni kilka puszek oryginalnej *curry* z Madras, stary się ucieszy. Potem Jeff kazał mi chodzić za sobą, sam się bał. Istotnie to szwendanie się po obumarłym statku działa mu na nerwy. Ten Jeff to ma chyba pełne portki strachu — śmiał się — aż się jąka z wrażenia. Po co, cholera, zgłaszał się na ochotnika? Mógł siedzieć na „Dianie”, choć to nie „Queen Mary”.

— Po co się zgłaszał? — pomyślał Fox. — Przyszedł plądrować, to silniejsze niż strach.

A Jeff rzeczywiście z pomieszczeń załogi znosił co chwila jakieś przedmioty, zegarki, wyjęte z kieszeń ubrań i szuflad szafek, portfele, buty, swetry, teczki i koce i składał to wszystko na brezencie rozpostartym u podnoża fokmasztu. Kajutę kapitana огоłocił również ze wszystkiego wartościowego, zabrał stamtąd nawet skórzany puff z Port Saidu i jakieś kindżały z Yemenu.

— Co to? Chcesz, Jeff, robić loterię na *Spastic Children*? — zakpił Donald, gdy przechodzili tamtędy. Anglik zdjął okulary, przetarł je krawatem i uśmiechnął się głupkowato:

— Po co to ma się marnować? — spytał. — Szkoda.

— Widocznie nie liczysz na to, że „Eurekę” zaciągniemy do Queenscliff, co? — zachichotał Donald.

— Czemu? *What do you mean?*

— No, bo po co to ściągasz teraz? Możesz odebrać ten cały bajc w Queenscliff. Jasne, co? Widocznie boisz się, że to pudło zatonie, więc chcesz wszystko przetrzucić na „Dianę”.

— „Eureka” ma szczelne pomieszczenia, nie powinna zatonać — w głosie Jeffa był jednak niepokój. —

Badalem je. To ty myślisz, że „Eureka” pójdzie na dno, że ją szlag trafi? Powiedz, Donald, ty tak myślisz?

— Sure, że myślę — kpił rudzielec. — I z całym łupem pójdiesz na dno, już ci rekiny wrąbią te śmierdzące skarpetki, w które wpuszczasz niemniej śmierdzące nogawki, tfu! Poszukałbyś gdzie czystych skarpetek, muszą gdzieś być po walizkach, Norwegowie to czysty naród. Zmieniłbyś swoje zaśmierdłe skarpety, bo inaczej te biedne rekiny będą miały czkawkę co najmniej przez tydzień.

— Daj mu spokój — wtrącił się Fox — holowniki będą tu wkrótce.

5

Holowniki nadeszły wieczorem. Już z daleka sygnalizowały się syrenami, lecz że morzem jęła targać burza, a niebo przeorywały błyskawice, zaś ciszę grzmoty, postanowiono całą operację odłożyć do jutra. „Eureka” chybotła się teraz niesamowicie, trzęsło nią jak w ataku febry, pootwierane drzwi waliły we framugi i ściany, robiło się nieprzyjemnie. Chmury zaciągnęły się na niebie, a po każdej błyskawicy mrok jeszcze gęstniał, ciemniało. Noc rozpostarła się nad morzem nisko i nagle. Szalupą, którą Charlie z trudem wrócił z „Christchurch” po odwiezieniu kota (a przywiózł nią kosz sandwiczów i kocioł herbaty) kucharz miał przepłynąć na „Dianę”. Przygoda przygodą, lecz Byrne chciał mieć swój *steak and eggs with chips* na kolację. Tu zresztą nie było możliwości gotowania, kucharz więc stał się niepotrzebny.

Lecz morze znów się bardziej rozeźliło. W świetle reflektorów holowników, stojących o parę kabli od „Eureki”, morze błyskało rozpadającymi się falami, rozpryski piany waliły aż na pokład, Fox wydał więc Andyemu rozkaz pozostania.

— Pojedziesz rano, jak uspokoi się trochę. Niech staremu upitrası coś Thomas. Zresztą szalupa może nam się przydać.

Radiem zakomunikował to skipperowi, któremu mechanicy z „Christchurch” w ciągu dnia naprawili aparat. Przez radio też — ku ucieście obecnych — podał kucharz Thomasowi przepisy, jak zrobić befsztyk *the way captain likes it*.

Morze było wściekle, noc gęsta, nastrój na chybczącej się „Eurece” minorowy. Na tym tle rozmowa radiowa Andy’ego z Thomasem o tym jak usmażyć staremu befsztyk, wywołała na twarze zgromadzonych w kajucie uśmiech lekkiego odprężenia.

— *Filet* jest w lodówce, po lewej stronie *deep-freezera*, w plastikowym koszyczku, Weź ze stołu młotek do mięsa i rozbij trochę ten befsztyk. Potem rzuć na dobrze rozpalony tłuszcz, smaż trzy minuty z jednej strony, a potem odwróć, dopiero wtedy posól i popierz i znowu smaż trzy minuty. *Okay?*

— *Okay* — chichotał Thomas, który ubawiony sytuacją powtarzał polecenia.

— Tak, dobrze, tylko nie sól wcześniej, bo mięso stwardnieje — przypomniał kucharz — i nie smaż dłużej, gdyż stary się wścieknie: lubi *underdone*.

Z oddalonej o kilkaset jardów „Diany” błyskały światelka, patrzyli na to maleństwo miotane falami. W kajucie skippera kręciły się dwie postacie: to Byrne, dozoruujący Thomasa przy radio.

— *Okay, okay* — chrypiał w eterze głos Byrne’a — ja mu przypomnę co, jak i kiedy. Nie bój się Andy, już ja go przypilnuję. A jutro zrobisz nam Andy *curry* jak marzenie, co?

— Oczywiście, *of course*, zrobię. — Andy popatrzył na otaczających go zarośniętych mężczyzn w nałożonych pasach ratunkowych wyglądali w półmroku jak przybysze z obcych planet, zielone światelka krótkofalówki fosforyzowały. Pomimo ciemności było jednak wyraźnie widać,

jak im niemal dosłownie cieknie z warg ślinka, gdy przy-
słuchiwali się tej rozmowie o jedzeniu.

Po chwili Byrne wyłączył się: poszli z Thomasem smażyć ten befsztyk. Fox podsunął Andyemu kosz z sandwiczami i kubek herbaty. Przez cały dzień jedli zimne mięsa z puszek, jakieś sardynki. Kuchnia „Eureki” była mocno spalona, ogień zagasili, więc woleli tam nie majstro-
wać. Jedyne ciepły posiłek to herbata, przywieziona z „Christchurch”, toteż pili ją łąpczywie. Pili, a Charlie roz-
powiadał z bogactwem szczegółów, jakiego to fileta usma-
ży mu żona, gdy wróci do Castlemaine, pokazywał nawet
jego wielkość, przysuwając się w tym celu do radia, aby
w świetle jego lamp zobaczyli jaki duży będzie ten bef-
sztyk. Zaraz po nim przejął gadkę Les i opisywał, jaką
smaczną kurę jadł trzy dni temu w hotelu na Spencer
Street.

— Gdzie to było? W Plaza? — dopytywał się któryś.

— *Don't be silly* — zachnął się Les. — To za drogi
lokal na moją kieszeń. Jadłem u Carlyonsa, koło poczty.

— Koło P.M.G.? Tam gdzie sortują listy?

— *Yep*. Kura była jak marzenie, z chrupiącą skórką,
tak upieczona jak w domu, prosto z pieca...

— Guzik, nie prawda — zaśmiał się Andy — w ho-
telach wcale nie pieką kur, to bujda. Gotują, bo z tego
jest rosół, ugotowaną kurę łatwo serwować na zimno z
sałatami, łatwo też odgrzać jako *boiled chicken*, wrzucisz
tylko do rosółu na parę minut i już masz. A jak przychodzi
zamówienie na *roast chicken*, to też biorą z lodówki ugo-
towaną kurę, wsadzą do gorącego rosółu, aby zagrzała się
i zwilgotniała, a potem posmarowawszy ją masłem, w gor-
szych zaś dołkach *drippingiem*, wepchną pod *griller* i tam
się zarumieni. A frajerzy jak ty, myślą, że to pieczona kura
i prosto z pieca...

— Niemożliwe — dziwili się. — To wszędzie sza-
chrują?

— Chyba.

— Cały świat stoi na machlojce — konkludował Donald. — Ja to wolę *chicken roll*, albo *meat pie* z sosem pomidorowym, nie tam żadne wymyślne dania.

— *Chicken roll*? — Andy rozbawił się. — A ty wiesz, zaraz, co za świństwo tam pakuja? To ci powiem — ogarniał rozweseloną grupę w kabinie kapitana. — Tam idą wszystkie odpadki: kapusta, resztki baraniny, sam *rubbish*, a kury nie ma tam ani grama...

— Co to jest gram? — spytał Les.

— Europejska jednostka wagi, *bugger* — tłumaczył Charlie. — Jak byliśmy we Francji w 1917 tośmy ciągle się mylili. A raz to nawet...

— Cicho, Charlie, zatkaj-że się z tymi wspomnieniami, pies cię trącał, daj mu mówić — upierał się jakiś Nowozelandczyk, zdaje się, że ten, na którego leciał Charlie. — Jedź dalej, *cookie*...

W radio zaskrzeczał głos Thomasa:

— Andy, Andy, jesteś tam? Gdzie ma być ten młotek od mięsa? Na stole nie ma. Stary się złości, a ja nie mogę znaleźć...

— W stole, w szufladzie, ofermo. A nie zapomnij: odkrój tłuszcz, bo stary nie lubi, a mięso rozbij dobrze, tylko nie za mocno...

Po sandwiczach i herbacie rozsiedli się wygodnie w ciemności, na stoliku w nikłym świetle lamp radiowych jawiły się puste filiżanki, za to z kątów za chwilę rozbłysły płomienie zapalek i jarzące się punkciki papierosów. Czasem ktoś zapalił na moment kieszonkową lampkę, aby zobaczyć która godzina, ale natychmiast gasił: trzeba oszczędzać światła. Palili teraz w milczeniu. Reflektory i światła „Christchurch” oraz „Diany” z jednej strony, a holowników z drugiej tańczyły po wzburzonej wodzie, odbijały się, załamywały, matowiały, oślepiały i — w przechyłach statków — strzelały nagle w niebo, gdzie się rozplýwały Poryk fal wzmagał się, tężał.

— Może to pudło wytrzyma do rana... — szepnął Jeff. — Słyszycie te zgrzyty i szelesty?

— Do rana? Musi wytrzymać do Queenscliff — chrząknął Charlie — inaczej z naszej forsy guzik, a co z życiem, nie wiadomo...

Na dolnym pokładzie „Christchurch” rozjarzyło się kilka punktów. Widocznie chciano tam spuścić drugą szalupę.

— Chcemy przesłać wam kawę — rozległo się w głośniku. Wszyscy patrzyli w zielonkowy odbłask zapalnego aparatu, skąd szedł głos tak bliski, a tak daleki. Za chwilę jednak ten sam głos, ale zakłopotany, dodał:

— Sorry, na razie nie możemy: urwało nam drugą szalupę...

— Porządnie w takim razie trzęsie, jeśli im oberwało — mruknął Fox. — No, trudno, nie będzie kawy. Chłopaki, dwóch niech czuwa, a reszta może iść spać, trzeba wypocząć.

Nikomu jednak nie chciało się spać. Opowiadali, gawędzili, sypali niezgrabnymi przeważnie tłustymi kawałami. Zapalali nowe papierosy i skrzętnie potem dusili niedopałki, ponownie kręcili, zapalali, opowiadali. Donald znalazł interesujący, i z pierwszej ręki, materiał porównawczy, jako że jeden z „Christchurch” siedział w Wellingtonie sześć lat za napaść na swą byłą żonę.

— Za to sześć lat? — oburzał się Donald. — A to lepsza sprawiedliwość. Za zwykłą napaść?

— A bo jej oczy palcami wydzgałem — tu facet zaświecił lampkę i w jej blasku pokazał swe długie palce — tak, żeby jeszcze żyła, ale żeby się męczyła. Suka na rozwodzie zeznała pod przysięgą tyle kłamstw na mnie, że własnym uszom nie wierzyłem. Że niby ja pijak, awanturnik, że ją zradzałem i biłem, że gram w karty i w konie, że jej nigdy pieniędzy nie dawałem. A choć przedtem nigdy na nią ręki nie podniosłem, to w pół roku po tym całym rozwodzie wydłubałem jej te ślepia... Po tym rozwodzie wyszła za mąż za bogatego starego farmera. W jakieś pół roku później spotkałem ją przypadkowo w korytarzu pewnego hotelu; gdy mnie zobaczyła uśmiechała się jeszcze drwiąco. To była tylko chwila, a potem bydlęcy

wrzask. Ludzie zaraz się zbiegli, znalazł się i policjant. Dostałem za to osiem lat, lecz zwolnili mnie przed terminem, po sześciu, za wzorowe zachowanie.

— Po co ci to było? I tak nie chciała z tobą żyć, szkoda było sobie palce brudzić tymi śliskimi gałami. — Donald splunął przez zęby. — Mów raczej jakie tam było jedzenie w kiziu?

— Jedzenie nie najgorsze, tylko nudno i wilgotno.

— Nudno i wilgotno — kpił Charlie — w której kozie nie jest nudno i wilgotno?

— A jakie łóżka były?

— Twarde, ale dobre. Właściwie nigdy tak dobrze nie spało mi się jak w pierwszą noc w więzieniu. Całe napięcie nerwowe procesu już się rozładowało, już nic niewiedomego mi nie groziło. Spałem jak małe dziecko.

— A mieliście teatr i bibliotekę? Jakąs pracownię? Ile razy na kwartał was strzygli? Czy bywały próby ucieczek? A jak strażnicy? Szmuglowali wam wałówki i grypsy?

Nowozelandczyk pochylił się w kierunku sąsiada, ponieważ tamten zapalał sobie właśnie papierosa. Przez moment nie mógł trafić w ogień: tak nimi rzucało. W tę przymusową chwilę milczenia padło zapytanie Focha:

— A nigdy nie żałowałeś swego czynu? Że jej oczy wybrałeś palcami?

Wszyscy — choć było ciemno, — zwrócili głowy w kierunku tego, który miał odpowiedzieć. On zaś, zapalivszy papierosa i zaciągnąwszy się pierwszym dymem, mruknął:

— I tak i nie. — W głosie i ruchu ramion, widocznych nieco w zielonkawej poświacie lamp krótkofalówki była niechęć. — Czasem żałowałem, że jej nie zabiłem, a kiedy indziej dziwiłem się sobie: po jaką cholerę habrałeś się w ów zwierzęcy wrzask, w te śliskie gały? Najczęściej jednak byłem zły na siebie samego, że ją spotkałem i pokochałem ileś lat temu. Życie mogłoby być inne, gdybym jej nigdy nie spotkał.

Milczeli, więc mówił dalej:

— Taki żal jest nonsensem, ale że życie jest jedno i stosunkowo krótkie, a zdarzenia nieodwracalne, przeto tym więcej żal...

— Ach, gdyby to człek wiedział co kryje się jutro za dzisiejszym zdarzeniem.. — mruknął Andy.

— Pewnie, to stanowi właśnie o urodzie i smrodzie życia. O tej ciągłej zaszranej udręce, która znowu za chwilę na skutek czegoś zmieni się w radość, lub w ból. Byłem jednak okrutny — ciągnął Nowozelandczyk — bo chciałem sam wymierzać sprawiedliwość. Na Boga nie liczyłem, bo On tylko jeden, a takich skurwysynów jak ja prawie trzy miliardy. Na ludzi wolałem się nie zdawać, bo ich sprawiedliwość jest nieludzka. Sędzia przecież mi tłumaczył, że po rozwodzie nie miałem już do niej żadnego prawa, bo inny już z nią śpi. Że skrzywdziłem nie tylko ją, ale i jego, jej nowego męża, podobno bardzo przyzwoitego staruszka z forszą. Wydawało mi się wszakże, że to właśnie ja musiałem tę sprawę załatwić, nie z zemsty, ale po prostu dlatego, że właśnie ja wiedziałem najdokładniej, ile podłości kryło się w jej postępkach. Dla innych była to sprawa bez znaczenia: żyła ze mną, odeszła, kropka. Nie mogłem jednak dopuścić, aby na tym odcinku, który mnie dotyczył, podłość się puszyła i triumfowała. Nie wiem, czy mnie rozumiecie, to nie chodziło tylko o nią, chodziło również o moralny porządek rzeczy. Naprzód mnie zdradzała, gdy byłem na morzu, a potem jeszcze w sądzie próbowała obrócić kota do góry ogonem i kłamała histeryzując, płacząc i załamując ręce, że wszystko nieprawda to co mówią. Ten jej nowy mąż, staruszek z forszą, bardzo płakał w sądzie...

— Ach, z forszą — pisnął Jeff — wszędzie ta forsa! Baby lecą na forszę. Na zaganiacza i na forszę!

— Coś, kopany, Amerykę odkrył? — huknął nań Charlie. — A ty po co jak chomik zносиłeś na koc te rzeczy po załodze? Chcesz to dać na sieroty? Zamknij lepiej mordę, kiedy inni mówią.

Zachichotali.

— Tak, ty nic ciekawego nie powiesz — powtórzył Les — twoje życie to nuda, pustka, tam się nic nie dzieje. To taki rejs do Smithton i z powrotem. Ty nie żyjesz, to ktoś za ciebie żyje. Śrubki w motorze, latanie z oliwiarką, nogawki wpuszczone w skarpetki, chodzenie do banku prosto z biura *Southern Steamship Company* — to jest twoja substancja, twój żywioł, twoje życie. Nic więcej...

Jakoś nikt nie zaśmiał się teraz, choć nie lubili Jeffa. Les włożył w jego życie z kaloszami, a to nie *fair*. Ostatecznie to są sprawy tylko Jeffa. Każdy ma prawo żyć jak chce, byle tylko innym nie wchodził w drogę i nie mieszał im.

— A czy wy wiecie, co to są wątpliwości? — zapytał Jeff po chwili. — Co to znaczy jedna myśl, która człowieka od lat draży, czyha po prostu nań, by o sobie przypomnieć? Opowiem wam historię, tylko nie śmieście się ze mnie i nie przerywajcie mi. Wysłuchajcie i osądźcie. Od kilkunastu lat nie mogę sobie dać z tym rady.

Poprawili się, rozsiedli wygodniej, zanosilo się na dłuższe opowiadanie.

— Siedziałem w niewoli, wzięli mnie pod Dunkierką. Nie zdążyłem do portu, bo zgubiłem okulary. Taki głupi fakt, a stał się wyznacznikiem ogromnego okresu mego życia. Za zabitego szofera prowadziłem sanitarkę z rannymi kolegami. I wtedy zgubiłem okulary. Nie mogłem po prostu jechać, przed oczyma miałem tylko mgłę. Powiecie, że takiego ślebaka nie powinni byli brać do wojska. Owszem, nie powinni, ale wzięli, bo byłem jednym z pierwszych ochotników. Zresztą w okularach dawałem sobie radę nie najgorzej.

No i przesiedziałem cztery z górą lata w oflagu. Ludzie dostawali kręcka, obsesji, manii i dziwactw. Ja uczyłem się francuskiego, czytałem, pomagałem w robieniu chóru, gazetki ściennej, czas właściwie miałem zajęty, wypełniony. Nieraz było głodno, nieraz źle, ale dziś, z odległości lat, widzę, że to był najpiękniejszy okres mego życia. Nie było żadnej odpowiedzialności, nie było ryzyka, wypadków, trudności, jakie ciągle zdarzają się w wolnym

życiu: a skąd wziąć na gaz, na dentystę, na komorne, na nowe buty? Zona dostawała moją pełną gażę, ja otrzymywałem paczki od Króla Jegomości, od Czerwonego Krzyża, od Kwaków, od Adwentystów, a nawet od *Birds Watchers Society* w mym miasteczku, jako że byłem założycielem tych maniaków. I miałem kolegę. Herbert, swój chłop, jedyny chyba przyjaciel jakiego miałem, z tej samej szkoły, z tego samego Bridgend w Walii. Pistolet, równy chłop, hardy, szkopom okazywał pogardę, ciągle marzył o dalszej walce, to znaczy przede wszystkim o ucieczce. Pewnego razu wzięli mnie do szpitala, z przepukliną, bo jak mnie coś się zdarzy, to zawsze coś śmiesznego, *anyway* leżałem tam, kiedy nagle gruchnęła wieść, że Niemcy wykryli podkop i przygotowania do ucieczki. Nastąpiło śledztwo, bicie podejrzanych a Herbert był pomiędzy nimi, aż pewnego wieczoru, kiedy już trochę włóczyłem się po szpitalu jako rekonwalescent, przyszedł do mnie jeden Jerry i szepnął, że chce mnie widzieć kolega. A trzeba wam wiedzieć, że od wachmanów kupowało się różne usługi i przemykanie oczu na niektóre sprawy wzamian za angielskie papierosy i czekoladę. Wachman zażądał całego kartonu papierosów, to była wówczas fortuna, ale twierdził, że to coś poważnego i ważnego. W nocy zaprowadził mnie do karceru, gdzie na cementowej podłodze leżał w kałuży krwi i wody zbity do nieprzytomności właśnie Herbert. Zbili go, zaprawili go tak, bo przy próbie ucieczki zabił wachmana. Otworzył oko i z wysiłkiem szepnął:

— Jeff, przynieś mi, chłopie cjankali, bo czuję, że nowego badania nie przetrzymam i sypnę kolegów. Ty nie masz pojęcia jak biją, jak strasznie i precyzyjnie leją. Daj mi cjankali... Proszę cię...

Wróciłem do szpitala, wziąłem na rozmowę jednego z naszych lekarzy i kapelana: czy wolno człowiekowi w tej sytuacji dać cjankali. Ksiądz twierdził, że nie, lekarz utrzymywał, że tak. Kłócili się zaperzeni i rozpaleni, o mnie zapomnieli. Cjankali miałem, lecz czekałem na ich opinię, bo sam nie chciałem tą akcją obciążać tylko swego

sumienia, wołałem, by jeszcze ktoś dzielił ze mną tę odpowiedzialność. Kwadransy mijały, a oni się wciąż kłócili. Wreszcie zawołali dentystę, ten był katolikiem jak ja, ale spierał się z *padre*: uważał, że w tych okolicznościach trzeba Herbertowi dać truciznę, aby ustrzec go od tortur oraz ratować kolegów. Lecz czas uciekał, wachman pukał w okienko dyżurki, iż teraz już trzeba iść. Poszedłem i dałem mu pastylki, a tamci dalej się kłócili. Potem — gdy Herbert był już w kostnicy — inni wmieszali się do dyskusji, zajmowali takie czy inne stanowisko. Znacnie argumenty i kontrargumenty: ratuje kolegów, grzech popełnić samobójstwo, zbrodnią jest podanie trucizny, każdemu wolno decydować za samego siebie itp. W niewoli gadało się o byle czym, aby czas zabić; nic dziwnego, że o tej sprawie dyskutowano nawet już po pogrzebie Herberta. Byli tacy, którzy mnie potępiali; byli inni, co uważali, że postąpiłem słusznie.

Powiedzcie: czy wolno było przejąć na swoje barki tę decyzję, ten ciężar czyjegoś losu? Powiedzcie, bo to za mną chodzi jak ślad na wodzie za sterem. Wystarczy, aby ktoś z was zaśmiał się podobnie jak Herbert, niech tylko w radio ktoś powie parę słów po niemiecku, albo czasem zupełnie bez zrozumiałego powodu i oto ta sprawa we mnie na nowo odżywa. Ale to jeszcze nie wszystko, rzecz się komplikuje. Kiedy wróciłem do Bridgend musiałem wywnętrzyć się z tego mej żonie. Przez kilka dni płakała, chodziła jak błędna. Myślałem, że taka subtelna, że taki bierze udział w mej męce, rozczuliłem się, byłem jej wdzięczny. Po powrocie trudno jakoś było nam znaleźć wspólny język, byliśmy już inni, te lata rozłąki leżały pomiędzy nami jak zasieki z kolczastego drutu, te lata odzwyczaiły nas od siebie. Tak myślałem i było w tym sporo prawdy. Jednak któregoś dnia, gdy wybierałem się na mecz Blackpool — Arsenal, zabrakło mi żyłki w maszynie do golenia. Wiedziałem, że żona ma kilka ostrzy, bo kobiety golą się pod pachami, więc zacząłem szukać w jej komodzie. Szperając tam natknąłem się na blankiety *Kriegsgefangenenpost*, nr listy z niewoli, ale adresowane

nie moim pismem. Poznałem pismo Herberta. Z listów wynikało, że moja żona przed wojną była jego kochanką i że po powrocie Herberta rozwiedzie się ze mną.

Jeff zamilkł.

— No i co zrobiłeś? Zbiłeś babie mordę? Skułeś jej kłapacz? Zadziabaleś ją zdrowo, co? — pytali. — Trzeba było, niech ja w domu nie nocuję, ażeby wiedziała i pamiętała, kopana...

— Nie. Nic nie powiedziałem. W ciągu dwóch tygodni, w tajemnicy przed nią, załatwiłem sobie wyjazd do Australii. Nawet nie pożegnałem się z nią, nic. I ciągle mam wątpliwości, ciągle to kipi we mnie jak gejzer: czy dając Herbertowi cjankali nie popełniłem nieświadomie zbrodni, samosądu, zemsty, czy też byłem wykonawcą losu a może nawet popełniłem dobry uczynek. Od tego czasu jestem rozbity, taki właśnie śmieszny dla was Jeff. Dawniej wiedziałem co jest dobre, a co złe. Dawniej widziałem świat w prostszych formułach. Nie przypuszczałem, że w życiu prostego i szarego człowieka jak ja, może nagle wystąpić taka śmierć, taki splot, zagęszczenie konfliktów. Dopiero w zetknięciu się z nimi widać wysoką rangę spraw ludzkich, lecz dopiero wtedy wyrastają w człowieku jakieś nieznane dotychczas wątpliwości, niepewności, uczucie ogromnej kruchości spraw wokół których się krzątamy, biegamy nie zauważając w życiu tego, co jest istotniejsze. Może opowiedziałem to wszystko zbyt bezładnie, może się płaczę, nie wiem: jedno tylko wiem, jak jednak trudno jest wypowiedzieć się jasno, jak trudno jest znaleźć to właściwe słowo, ażeby oddać całe kłębowisko myśli i obaw przewalających się przez moją głowę...

— *Shit* — pokiwał głową Fox — życie czasem wypredza fikcję. Gdybym czytał o takiej historii, pomyślałbym: lipa, grafomania.

— Masz wiadomości od żony? — spytał Nowozelandczyk, który odsiedział swój wyrok w Wellingtonie.

— Nie pisałem do niej — mruknął Jeff — miałem o niej wiadomości od mej matki.

— Ja bym jej jednak przebaczył — powiedział Nowozelandczyk — błędy każdy popełnia. O ile zrozumiała i chciała to wynagrodzić, puściłbym jej całą historię w niepamięć.

— A ja nie — warknął Donald. — Co to znaczy „wynagrodzić”? Co to jest „zadośćuczynienie”? To największe nieporozumienie, idioto. Ty mógłbyś p r z e - b a c z y ć , ale ona nie m o g ł a b y „wynagrodzić”, kapujesz? Daj komuś odszkodowanie za urwaną w pracy rękę, to dasz forszę i tę forszę ten ktoś będzie miał, ale ręki już nie ma i nie będzie. *Correct, Charlie?*

Zapytany skrzywił się, z jego twarzy oświetlonej na chwilę blaskiem zapalki, przebijała niechęć. Potem dość długo machał zapalką, aby zgasła, wreszcie powiedział, jak gdyby z odcieniem wyższości:

— Wiecie dobrze, że nie jestem aniołem, ani ministrem. Ale nie umiem sobie wyobrazić, bym komuś podał cjankali, czy też bym mógł komuś oczy wydrapać. To grzech. Znam siebie i nie mógłbym tego zrobić...

— Grzech? — zaśmiał się Andy. — A twe zapędy to co? To też grzech z punktu widzenia religii, i wykroczenie przeciw moralności publicznej, dopóki społeczeństwo się nie umówi a prawodawcy tego nie skodyfikują, że to jest dozwolone. Już się Karolciu starzejesz, wchodzisz w okres umoralniania innych. A gdy biłeś się po tawernach Aleksandrii, to uważałeś, by przeciwnika nie zranić? Co opowiadasz głodne kawałki: ja raz bym może przebaczył, a za chwilę może bym nie przebaczył. Co głędzisz, że znasz siebie? Człowiek co chwila się zmienia. Choć bajkuje siebie i innych, że ciągle jest taki sam...

— Ja bym jej przebaczył — powiedział Les. — Nawet nie jestem pewien, czy tam jest co do przebaczenia? Że spała z innym, że go kochała? Śmieszny jesteś Jeff. Zamiast tu gnić na „Dianie” wśród wyrzutków, jak my, wracaj do Anglii, bierz babę za kok i puść następujący bałak: Otóż droga moja wracam jak Ulysses. dużo nam czasu nie zostaje już do życia, więc co tu podskakiwać? A o cjankali zapomnij. Jak w każdej ludzkiej akcji jest tu

coś dobrego i coś złego. Myślisz, że są tylko dobre sprawy, albo tylko złe? Jutro, skoro zajedziemy do Queenscliff, wyślij jej depeszę *Merry Christmas*, stara się wzruszy i jeszcze sobie spokojnie dożyjecie do śmierci. Samotność na starość to dopiero jest grypa, niech skonom. Ludzie zwykle za dużo chcą, za wiele oczekują od życia. Myślę Jeff — zakończył — żeś powinien tę depeszę wysłać jutro *first thing at Queenscliff...*

— Nie — głos Jeffa był teraz jakiś zduszony, inny, brzmiało w nim okrucieństwo. — Nie powiedziałem wam, że parę miesięcy temu popełniła samobójstwo. Czy ta śmierć też mnie obciąża? — spytał niemal kpiąco. — Jeżeli tak, sram na ten ciężar...

Andy pomyślał, że Jeff po raz pierwszy użył wulgar nego słowa: musiał ją zapewne bardzo kochać, a potem znienawidzić — tyle satysfakcji było w jego głosie i w przetrzymaniu pointy o jej samobójstwie aż do teraz. Cisza. Błyski reflektorów ze statków otaczających „Eurekę”, szum fal, szelest nocy, skrzypienie nitów i gorące oddechy cyth ludzi, czuwających przy krótkofalówce na okręcie-widmie.

— Może zrozumiała, może po prostu nie mogła znieść zwykłego faktu, że ty, safandula, mogłeś jej nawa lić? Kobiety są dziwne i egocentryczki: kiwać to my, ale nie nas. Gdy je kiwnąć, to najdrobniejsze nawet kiw niecie wyolbrzymiają do rzędu niemal obrazy, kiedy zaś która z nich nawali, to wzdycha: ach, taka już jestem, nic na to nie poradzę — rozgadał się Fox. — Ale my tu gadu-gadu, a robi się późno boys...

— No cóż? — westchnął Andy. — Popełniła samo bójstwo, to sprawa skończona.

— Czy istotnie samobójstwo kończy coś naprawdę? — Fox zerknął na fosforyzujący zegarek. — Jej samobój stwo zabrało aktora dramatu, jednego z aktorów, lecz sam problem dalej trwa. Wystarczy tylko spojrzeć na Jeffa, aby zobaczyć, że ta sprawa, ta drzazga jest w nim ciągle i długo jeszcze pozostanie. Więcej u ciebie chyba było, Jeff, miłości własnej, niż miłości. Zresztą dość pogaduszek.

trzeba iść spać. Kto na ochotnika ze mną czuwa? Trzech będzie czuwać, reszta niech idzie spać.

Nie ruszali się jednak. Siedzieli milczący, westchnieniami i splunięciami jedynie dawali znać o sobie z ciemności. Statkiem bawiła się teraz gwałtowna fala, trzęsło i kolebało ciągle ostro. Każdy więc trzymał się jakiegoś sprzętu przymocowanego do ściany.

— A wracając do waszych dyskusji — Fox zdecydował się jednak na dłuższe gadulstwo — to nie ma w naszym życiu zdarzeń niepotrzebnych, nieosadzonych mocno w przyczynach i w skutkach. Wszystko, co się dzieje, zachodzi i się staje, ma swoje przyczyny i konsekwencje, każde zdarzenie w jakimś sensie wynika z czegoś, zawsze prowadzi do czegoś, ot co. Tylko, że wyśledzanie tego wszystkiego przerasta nasze możliwości, powstałaby zresztą z tego zupełnie abstrakcyjna gałąź wiedzy pod nazwą: co by było gdyby? Co by było, gdyby ten marynarz nie poznał w danym dniu właśnie owej kobiety, z którą potem się ożenił i przez jakiś czas myślał, że jest szczęśliwy itd.? Co by było, gdyby nie spotkał jej w owym fatalnym korytarzu hotelowym właśnie owego dnia? Bo już może w tydzień później nie skoczyłby do jej oczu, kto to wie? Jaki czynnik zrządził, że ona szła sama tym korytarzem? Że była bez żadnej znajomej czy przyjaciółki, przecież kobiety nie lubią pić same? A w każdym razie z tego co o niej mówił, nie wygląda żadną miarą, że to alkoholiczka. Co by było, gdyby Jeff z Herbertem nie znaleźli się w jednym obozie? Co by było, gdyby Herbert okazał się bardziej wytrzymały i nie potrzebował cjankali? Można by w nieskończoność snuć takie przypuszczenia, ale nawet najbardziej logiczne hipotezy nie obalą ani nie unieważnią faktu, że wszystko, co się w naszym życiu stało, lub zaszło, po prostu musiało się stać i nie może już się odstać. Każde zdarzenie jest ogniwem, żadne nie jest odwracalne, a każde, nawet najbliższe, formuje nasz los i urabia ciąg dalszy. Och, — przeciągnął się — dosyć tych filozofii. Warto jednak, radzę wam, przespać się trochę.

Został z nim Charlie i Les. W chwilę później przydreptał do nich kucharz i niemal równocześnie Jeff.

— Nie mogę spać — tłumaczył mechanik — bo chce mi się pić.

— W messie jest skrzynka wody sodowej — przypomniał sobie Les — to ci przyniosę, Jeff...

6

Les wziął latarkę i poszedł.

Fox owinał się kocem i siadł w drzwiach. W oddali migwały światelka otaczających statków, burza już się nieco wyczerpywała, słabła, noc przeszła swój kulminacyjny punkt, nieadługo zacznie szarzeć. Przy Foxie usiadł kucharz, zapalił nowego papierosa. Charlie znowu postękał trochę, że w tym pośpiechu zapomniał na „Dianie” fajki i że musi palić papierosy. Było to niejako przymówienie się o papierosa, więc Andy poczęstował go. Siedzieli bez słowa, patrzyli na światła dużego „Christchurch”. Morze szumiało, noc szeleściła, wokół zagęszczała się mgła. Kucharza ogarniała senność, trapiły go jakieś senne widziadła, był zmęczony. Senność podpływała, zagarniała go coraz bardziej w siebie, ciągnęła na dno snu. Znowu śnieg, dzwonki sanek, opłatki, kolędniczy pod oknem i uśmiech małej Hani z przejęciem rozwiązującej okazałą paczkę, którą siostry zakonne położyły pod wielką choinką w bawialni. Ktoś przyszedł do Foxa. Mówi, że wody na rufie nie przybywa, że na „Christchurch” znowu zapalają światła na dolnym pokładzie, będą pewnie spuszczać szalupę, że Donald zaraz przyjdzie objąć zmianę, ale poszedł szukać ustępu, bo go brzuch boli. Na szczycie choinki wisiał złocisty anioł, a pod drzewkiem błyszczały kolorowe szybki szopki, gdzie trzech królowie z papieru uśmiechali się twarzami Lesa, Donalda i Charliego. Acha, Les poszedł po wodę sodową. Nagle od płomyka świeczki.

tlącego się nikle za szopką zajęły się włosy anielskie i papierowe łańcuchy, a od nich sztuczne ognie, zawieszone w ostatniej chwili przez matkę. Andy wstaje i krzyczy. Złapał się za burtę i wyje po polsku: *Uwaga!* Przez ułamek sekundy dociera do niego świadomość, że jest w obcym kraju, że tu nie rozumieją po polsku, jakimś więc strasznym spazmem i przypomnieniem z okresu wojny ryczy: *Achtung! Achtung!* Wpadając w wodę rozumie wreszcie, iż to trzeba było krzyczeć po angielsku.

Rufa już była całkiem pogrążona, a dziób jak gdyby ulatywał ku gwiazdom, które nagle — tak się zwidziało kucharzowi — zagasły na niebie. Woda z gwałtownym i przeraźliwym szumem i łomotem zbliżała się do mostku. Statek stawał sztorcem, z bulgotaniem wypieranego powietrza rył się w głębie.

Morze już tu podchodzi, nagle jak skurcz. Fox chce dostać się jeszcze do rakiet. W drzwiach sterówki staje Charlie, lecz wdzierająca się fala wgniotła go do wnętrza, przygniotła do sufitu. Odbił się od czegoś nogami, coś go rąbnęło w głowę, skulił się, wstrzymując oddech, kotłowało go, chwycił się czegoś, tracił przytomność, gdy nagle targnęło nim świeże powietrze. Wokół były deski, jakieś beczki, szczątki sprzętów. Pomyślał, że napierająca fala musiała roznieść sterówkę, lecz myśl była błaha, nieważna, ważne jest, że żyje, że płynie, że oddycha, że czuje władzę w rękach i nogach, że widzi i słyszy. Przy nim ktoś unosił się na falach. Z innych statków dopiero teraz zauważono zniknięcie „Eureki”, dzwonią, syreny bucą, reflektory zamiatają po pustym miejscu, gdzie była „Eureka”, szukają rozbitków. Fox oprzytomniawszy dostrzegł przy sobie Charliego trzymającego się oburącz ławki pokładowej. Znowu objął go na chwilę mrok, otrząsnął się zeń, świat — czyli morze i statki na miejscu katastrofy — wirował jeszcze, ale coraz wolniej, wreszcie ustawił się wokół jednego centralnego punktu. Punktem tym była głowa Jeffa unoszącego się opodal. Jeff był bez okularów, krawat zakręcił mu się naokoło szyi. Po omacku przebierał rękami, coś krzyczał, w jednej ręce trzymał zapaloną latarkę elek-

tryczną, machał nią, krztusił się zalewającą go wodą, i krzyczał, krzyczał. Błysk jego lampki padł na przewróconą dnem szalupę, zza której wychynął kucharz, a w chwilę później i Charlie. Jakimś nadludzkim wysiłkiem przewrócili ją wspólnymi siłami, wdrapali się do niej, a Jeff wyciągnięty z wody przez Foxa, dopiero poczuwszy oparcie dla nóg, zaczął niehumanie wyć. Na holownikach rozbłysły reflektory, ktoś kazał rzucić sztormtrap, inny głos wrzeszczał aby wypuścić rzutki, statki wchodziły na obszar zatonięcia „Eureki”.

Na wschodzie wstawał świt.

Z „Diany” nie doszukano się jedynie Lesa. Wśród Nowozelandczyków — jak się potem okazało — nie było strat. Holowniki wyratowały dwóch, inni o własnych siłach dopłynęli do swego statku. Na miejscu katastrofy pozostał jedynie „Christchurch”. Holowniki po godzinie wyruszyły do Melbourne, w międzyczasie zrobił się jasny dzień. Wkrótce po odejściu holowników „Diana” poszła na Smithton. Wstawało słońce. Kontakt radiowego ze Smithton ciągle Byrne nie mógł złapać: Smithton nie odpowiadało. Słońce rozlewało się po horyzoncie jak plama po bibule, grzbiety fal prostowały się i jaśniały migotliwym blaskiem.

„Diana” szła ku Smithton. Pojawiły się mewy, kwiliły monotonnie i rozdzierająco. Nadleciały już z Tasmanii, gdyż na pewno nie spały w tę burzliwą noc na wodzie. Na południu zjawiała się ciemna linia lądu, w tyle S/S „Christchurch” tkwił pod pióropuszem dymu, malał, aż wreszcie pozostał poza horyzontem.

7

Są więc w Smithton.

Pocztą pantoflową, właściwą małym miasteczkom w całym świecie, wieść o przygodach „Diany” rozniosła się

szybko i szeroko. Kiedy Donald z kucharzem wyszli po południu na spacer i natychmiast zawadzili o miejscowy *pub*, Walter, właściciel *Royal Mail Hotel*, stawiając dwa piwa na mokrym kontuarze, rzekł, tak jednak, aby go słyszeli i inni bywalcy, zgromadzeni w barze:

— To na mój rachunek. Należy się wam. A wiecie, że ten *bastard* Bill, *copper* kopany, wybrał się na pstrągi w górę rzeki? Baterie jego radiostacji nawaliły, machnął więc ręką na wszystko. Dlatego nic nie wiedzieliśmy wcześniej o waszych przygodach. Szkoda Lesa, fajny był chłop, bez pucu, winien mi był wprowadzić za dwanaście piw z poprzedniego rejsu, ale trudno. Niech mu morze lekkie będzie. No pijcie! A czemu *Southern Steamship Co.*, nie dała mi znać o waszej zwłoce? Śpią w centrali, czy co?

— *Down the hatch!* — mruknął Donald, opędzając się zmruczeniem oczu od gadatliwości Waltera.

— A ty *cookie* — podejmował dalej Walter, jak gdyby musiał wygadać się jak najprędzej ze wszystkiego co wiedział — miałeś *good luck*. *Silly Ann* wygrała ciężko 21:1. Ileś postawił?

— *Fiver'a* — Andy odstawił na chwilę szklankę. *Fiver'a...* Na *winnera!*

— O, to Fox zdrowo rzygnie forszą, zabuli, co? Sto pięć funciszów piechotą, bracie, nie chodzi. Jeszcze piwko? — pytał Walter głośno, aby go inni dobrze słyszeli.

— Postaw trzy — rzekł kucharz, ocierając pot z czoła — dla nas i dla ciebie.

Upał stanął teraz w najwyższym punkcie późnego popołudnia. Wszyscy mieli mokre plamy pod pachami i znużone, rozgrzane twarze. Grupka piwoszów stała przy okutym cynkiem barze i stękała, że gorąco. Donald gwizdnął przeciągle:

— 21:1? Aleś bracie ustrzelił Foxa w portfel, co? Sknera się popłaczę ze złości; pamiętam jakie miny robił, gdy brał twój banknot, myślał, że to durniczka. A co słychać z Luizą? — nagle sobie przypomniał. — Czy już wie o Lesie?

— A wie. Siedzi w *ladies' lounge* i wpuszcza już w siebie ósmą *double scotch*. — Walter oczyma wskazał drzwi na lewo. — Mieli się pobrać za dwa miesiące.

— Co? Za dwa miesiące? — nie wierzył Donald. — Pobrać? Nic mi o tym Les nie mówił. Przecież chyba jej nie kochał? Czy można w ogóle Luizę kochać, wiedząc, że z tyloma spała? Marynarsko-farmerska dziwka. Po co ona tu osiadła w Smithton?

— Miała dość Melbourne. Tu ją ludzie nawet lubią. Jest grzeczna, dobrze się ubiera, trzyma dystans, nie leci na darmochę, sama płaci za siebie. Mieszka poza miastem, w lesie wśród bagien, czasem tylko zjawia się tu swym Chryslerem. Ma baba forszę. Czy śpiąc z marynarzami krzywdziła kogo? — Walter znowu napuszczał piwa do szklanek, naciskając spust plastikowego węża. — Nikogo nie krzywdziła, była samotna, nikomu nie przysięgała wierności. Mam dla niej dużo szacunku za to, że ma odwagę nie kryć się ze swym życiem. Spodobał się jej który, to go brała do siebie i koniec. Ale od czasu jak poznała Lesa, to ustały jej przygody z innymi. Tak, powtarzam, jest czysta, grzeczna, nikomu nic nie winna. Jest udzielną księżną na własnej d... i dysponuje nią w sposób jaki jej najlepiej odpowiada. Z mężem ma dawno rozwód, nikogo swym prowadzeniem się nie ośmieszała. — Pociągnął łyk piwa i dalej mówił — Lesa to chyba jednak bardzo kochała, bo osiem *double scotch* w niecałą godzinę, to niezła *performance*. Przyjechała wystrojona, wymalowana, w nowej białej sukience, po którą jeździła aż do Launceston i czekała tu na swego chłopca niecierpliwa i zapłoniona jak na pierwszej randce. Pojechała do Launceston do kosmetyczki, baby to wynikały, wróciła o dziesięć lat młodsza, wonna, pachnąca, a oczy, zakropione chłba atropiną były olbrzymie i błyszczące. Palce lizać, jak wyglądała. Czekala na Lesa, a teraz co? Kiedy dowiedziała się o jego śmierci, nie krzyknęła nawet, nie wyrzekła słowa, spuściła tylko na chwilę głowę, by ukryć łzy w oczach. Zaraz wszakże opanowała się, otarła napudrowany nosek i zamówiła whisky. Powtarza to zamówie-

nie na migi co kilka minut. Raz jeno odezwiała się, żeby podać jej więcej lodu. *That's all*. Biedna kobieta.

Z *lounge'u* rozległ się dzwonek.

— To ona — ściszył głos nie wiadomo czemu teraz Walter. — To ona. Pewnie chce znowu *whisky*.

— Chodźmy do niej — Donald pociągnął kucharza ze sobą — chodź, stary, ze mną...

Siedziała przy oknie z zaciągniętą zasłoną i przez szczeliny pomiędzy listewkami *blinds* patrzyła na nasłonecznione lasy, rozciągające się poza *Smithton*. Usłyszawszy ich kroki przeniosła z wysiłkiem oczy na nich. Po chwili wzrok jej drgnął, jak gdyby z trudem ich sobie przypomniała.

— *Good afternoon*, Louise — zaczął Donald. — Poznajesz nas?

— Tak — skinęła głową.

— Byliśmy razem z Lesem — Donald stanął przy niej i położył rękę na jej ramieniu. Odsunęła jego rękę i utkwiała wzrok w Andym. — Tak, byliśmy razem z Lesem. Zginął dzielnie, a w ostatnich chwilach pobytu na „*Eurece*” dużo mówił o tobie. Widocznie bardzo cię kochał, podał nam nawet oficjalnie do wiadomości, że za dwa miesiące miał być wasz ślub. Prosił mnie na drużbę, lecz los chciał inaczej...

Kucharzowi zrobiło się nieswojo. Po co Donald tak buja? Les o niej nic nie mówił — pomyślał zaskoczony zachowaniem kolegi. Teraz dopiero zauważył, jak bardzo pijana jest Luiza. Oczy jej błyszczały, w ręce trzymała pomietą czerwoną chusteczkę, w tym kolorze pasek sukienki był niedbale rozpięty, czerwone pantofelki leżały pod krzesłem. Musiały ją uwierać, gdyż je zdjęła; siedziała w samych pończochach. Dekolt jej płonął gorączką, piersi ściśnięte wysokim biustonoszem *strapless* podnosiły się co chwilę, a każdy oddech ukazywał kule ściśniętego ciała. Na palcach miała kosztowne pierścienie, wyglądały na prawdziwe.

— Los chciał inaczej — powtórzyła bezbarwnie.

— *Yep*, chciał inaczej — podkreślił z naciskiem Donald. — To był fajny *mate*, ten Les. Zatonięcie „Eureki” przyszło tak nagle, cały kram nie trwał dłużej niż minutę, kto zresztą miał wtedy czas patrzeć na sztoper? Wachtowy z holownika „O’Brien” opowiadał mi potem, że tylko przetaił sobie oczy ze zmęczenia i ziewnął, a gdy odjął pięści od oczu, aby się przeciągnąć, zgłupiał, gdyż już nie widział statku. Przetaił więc ponownie ślepie, ale nie śnił: statek, który stał jak byk przed chwilą, zniknął bez śladu, bez wybuchu, morze jak gdyby go wessało. Leżał kolos na wodzie i w jednej chwili go już nie było. Jakies dalekie — mówił — krzyki Andy’ego, Focha i tego idioty Jeffa i koniec. Biedny Les zaofiarował się sam, że zejdzie do messy po wodę sodową dla tej łajzy Jeffa, bo tamtemu chciało się cholernie pić, no i poszedł i już z tego dobrego uczynku nie wrócił.

— Siadajcie — wsadziła stopy w stojące luzem pantofle, poprawiła się — i opowiadajcie jak to było.

Odsunęła się w kąt kanapy, zapaliła nowego papierosa. Donald usiadł przy niej, a kucharz przysunął stojące opodal krzesło. Przyjęli od niej papierosy *Pibroch’s* ze złotym ustnikiem. Donald — ten żłób i murga, jak go określa Andy — wstał i podał ogień Luizie. Popatrzyła nań z drobnutkim odcieniem życzliwości: był dobrze wychowany.

— Och, kopany świntuch — myśli kucharz — już od kilku minut nie bryznął żadnym przekleństwem, żadnego niestosownego odezwania się, jedynie „łajza” o Jeffie. Gra. Kryguje się. Uduje serdecznego przyjaciela Lesa. Zgrywa się na dobrze wychowanego, subtelного, serdecznego przyjaciela nieodżałowanej pamięci Lesa. Pieprz, bękart, o ślubie, że niby zaproszony był na družbę. A kiedy dochodzili do werandy *Royal Mail Hotel* z zalanej słońcem i kurzem drogi, Donald zatrzymał się i szepnął kucharzowi do ucha: A ta Luiza będzie teraz moja, zobaczysz kucharzu zezowatej „Diany”. Od dawna sobie to obmyślałem, że ją teraz wytenteguję, nawet wiem w jakiej figurze, chłopczyku. Inna rzecz, że śmierć tego bęcwała Lesa plany trochę

krzyżuje, z jednej płaszczyzny przenosi pieprzyk na drugą, no ale zobaczymy.

— Opowiedźcie wszystko jak to było — powtarza Luiza. Ręką gładzi machinalnie ceratowe obicie kanapy, z natężeniem patrzy na Donalda. Ten, w obcisłym trykocie marynarskim, z ręką obwiązaną czystym bandażem (na jadącym się tatuażu, przedstawiającym gołą babę — wie kucharz, ale Luiza może myśleć, że to po wypadku) wygląda jak cherubin. Ma niebieskie delikatne i czyste oczy, jest młody i mocny, opowiada z złowrogim wdziękiem i subtelnością o śmierci Lesa. O śmierci przyjaciela. O bohaterskiej śmierci nieodżałowanej pamięci przyjaciela.

— Ech, życie — krzywi się kucharz. — Nawet tych jego piegów nie widać w tym półmroku. Wszystko to puc i elektromontaż, wszystko oparte jest na kłamstwie. *It's a stinking and continuous mistake* — formułuje po angielsku. — A jednak to kłamstwo jest dla niej błogosławieństwem po stracie, po szoku.

8

Kevin, Douglas i Thomas ubrani odświętnie, starannie ogoleni, spryskawszy twarze tanią wodą kolońską, jaka została po Lesie, zeszli razem na ład.

— Trzeba by się rozejrzeć po tym zadupiu — mruknął Douglas — które wyznanie urządzi najokazalej święta w swym kościele, to tam pójdziemy.

Smithton liczy zaledwie kilkuset mieszkańców, ale ma sześć kościołów różnych wyznań. Drewniany kościółek katolicki był najbiedniejszy, ale też najschludniejszy i powietrze nie było w nim tak zatęchłe jak u prezbiterian. Church of England miał tu murowaną świątynię, ale wiało z niej pustką. Baptyści postawili przed swoją kaplicą jakieś drzewko, imitujące choinkę, i obwiesili je elektrycznymi

lampkami, ale na tablicy ogłoszeń nie wisiała żadna zapowiedź nabożeństwa. Miejscowy minister tego obrządku zmarł dwa miesiące temu na raka, a dojeżdżający z Burnie Mr. Brown miał przybyć dopiero na Nowy Rok.

— Pójdziemy do metodystów — zdecydował Douglas — tam na *sicher* będzie w dechę. Luteranie mnie nie obchodzą, bo to *Jerries* z pochodzenia, a szkopy mi brata zabili w Tobruku. Zresztą luteranie są śmiertelnie poważni, to dobre na święta w Europie, gdy jest zimno i śnieg, ale to nie jest religia na upał, a tu po burzy już zanosi się na ciepło. Tak, *gentlemen*, prujemy do metodystów. Będą mieli *Carols by Candlelight*.

Na korcie za hallem rzeczywiście ustawiano jakieś stoiska na kiermasz. Otyłe paniusie i na szczapę wyschli staruszkowie kręcili się tam żwawo, klepiąc młotkami i nawołując się jak dzieci na majówce, pomimo niezgorszego upału i pyłu wżerającego się w oczy i usta. Kościół metodystów stał obok *Shire Hall*'u, niedaleko poczty i jedyne w miasteczku zegarmistrza, który również sprzedawał gazety i prowadził *milk-bar*. Thomas, jak przyciągnięty magnesem, ugrzązł przy wystawie.

— O, znowu gówniarz poszedł oglądać zegarki — zauważył Kevin — on chyba musi mieć sporo rosyjskiej krwi w sobie, *bastard*...

Douglas nie zrozumiałwszy aluzji, wybałuszył oczy na Kevina: po chwili jednak zrozumiał i jak bomba z opóźnieniem, wybuchnął rechotem.

— No, na statku został tylko Charlie i stary, wszyscy się gdzieś urwali — mruknął Kevin. — Karolcio zaraz wyskoczy na parę piw i wracając będzie próbował gwizdać, ale stary nie ruszy się z „Diany”. Nie jest w sosie, kto by jednak przypuszczał, że śmierć Lesa tak go zadziabie?

— Stary jest przesądny, wierzy w prawo serii. Liczy tylko i kombinuje: *who is next?* Kto następny? Kogo teraz śmierć zaczai — wtrącił się Thomas, który w międzyczasie wrócił. — Nie ma tam na wystawie nic nowego z wyjątkiem Doxy, a ta jest *number one*, pierwsza klasa. Czterdzieści pięć kawałków. *Forty five quid, it is not a bargain*...

— Co? Prawo serii? To znaczy, że ktoś inny też musi wkrótce u nas wykitować? — spytał Douglas.

— Uhm, może ja, może ty. Może on sam. Dlatego tak starowina się przejął — wykladał Kevin. — Ty, *Doug*, mało go znasz, boś z nami dopiero dwa miesiące. *Skipper* co rano czyta senniki, aby się pokapować jakie znaczenie ma sen z poprzedniej nocy. Stara się je spamiętać; nie nawijaj się mu rano pod rękę, kiedy nie zajrzał jeszcze do swego wytartego i postrzępionego sennika, wtedy jest wściekły, bo koncentruje się na zapamiętaniu co mu się śniło i nie lubi jak mu w tym przeszkadzają...

Ponieważ słuchali go z zainteresowaniem, mówił dalej:

— Nawet wczoraj wieczorem, na kilka godzin przed zatonięciem „Eureki”, stary, po zdrzemnięciu się na godzinkę, zapamiętał jakiś sen i pytał mnie czy nie wiem co to może znaczyć. Opowiadał mi to, dozorując jak smażyć mu ten befsztyk, bo temu przybłędzie kucharzowi zachciało się przygód, kopanemu. Staremu śnił się mecz hokejowy, hokej na lodzie, *mind you*, a on sam grał na bramce, opatulony w filce i suspensoria, ochraniacze i parkany, opięty w kolorowy sweter i miał taki szeroki bramkarski kijek, jak mają bramkarze. Byłem kiedyś z babą na meczu w St. Moritz koło Luna Parku, to wiem jak to wygląda. Nie wiedział jak się nazywa drużyna, w której gra, jakim językiem mówią gracze i nie mógł sobie przypomnieć jakiego koloru miał sweter, tyle tylko zapamiętał, że sweter był gruby i kołnierz piekł go w szyję. Sędzia biegał i tańczył na rozwieszanej nad lodowiskiem linie okrętowej, Les miał białe kapcie tenisowe, a w ustach listek *gum-tree* i grał na nim, jak ten pijak *aboriginal* Jimmy, co stoi pod drzewem w tym ładnym końcu Collins Street, gdzie tyle zieleni, tuż przy Parlamencie. Zaś przeciwna drużyna grała w hokeja na trawie, ich część lodowiska pokryta była trawą. Gdy któryś z nich zaplątał się pod bramkę starego, robiło się tam błoto i z furkotem wlatywały spod nóg petrele i chmury confetti. Fajnego zajoba ma ten nasz stary — śmiał się Thomas, jak się śmieje młodość z dzi-

wactw na razie niepojętych, a które z biegiem czasu staną się udziałem i jej samej, każdemu to się tak czy inaczej zdarzy: mieć jakiegoś fioła. — Opowiadał mi, z bogactwem szczegółów, połowę już z tego zapomniałem, słuchałem raczej z grzeczności, bo zajęty byłem tym francowatym befsztykiem. Bredził, mówię wam, jak cholera...

9

Dopiero późnym wieczorem, po pertraktacjach z Walterem, miejscowym agentem *Southern Steamship Co.* udało się policjantowi Billowi zorganizować grupę dockerów-ochotników. Walterowi zależało na *menus* potrzebnych do *Christmas Dinner*, mogło mu też zabraknąć piwa na święta, tym bardziej, że z przybyciem „Diany” konsumpcja poważnie wzrośnie, całe miasteczko czekało poza tym na coś, co miało przyjsć statkiem, a przyszło ze znacznym opóźnieniem. Ochotnicy, rozciągnawszy z nadbrzeżnego hangaru druty i lampy aż do statku, żwawo przystąpili do pracy. Z otwartych luków dźwig wyciągał pakę po pace, worek po worku; towarzyszyły temu krzyki i nawoływania Billa manipulującego przekładniami. Kapitan był wściekły: wrzaski robotników nie dawały mu spać, na molo kręciły się dziesiątki mieszkańców przyglądających się przeładunkowi, upał nie ustawał pomimo nocy. Pełnia rozlewała migotliwe srebro jak z czarnoksięskiego tygla, noc była wysoka i jasna, tak piękna, że przypominała niemal kicze kolorowych pocztówek. Spokojne już teraz morze raziło oczy tym ciekącym srebrem poświaty księżycowej, wszyscy byli rozgadani i weseli, jeden tylko Fox nie przeboleał jeszcze wygranej, wypłaconej kucharzowi. Obserwował przeładunek i na liście fajkował każdą skrzynię i worek. Załogi na „Dianie” nie było, jeszcze nie wrócili z wypadu na „miasto”. Jeff leżał na swej koi pijany, co jeszcze więcej denerwowało kapitana. Przeglądał więc

swój sennik i — ponieważ nikogo przy nim nie było — kłął na czym świat stoi: ochotnicy zgodzili się na wyładowanie „Diany”, bo całe Smithton czekało na coś w tym frachcie, ale po świętach zanosilo się na dłuższy postój w porcie, jako że nie wiadomo było, czy gang *wharfies* zdąży załadować transport desek przed Nowym Rokiem, bo to i święta i jakieś kłótnie Unionu z Walterem o nadliczbowe gołziny, a co za tym idzie i wyższe stawki. Byrne porozumiał się już z centralą w Melbourne, jakiś urzędnik kompanii ochrzanił go za to, że zląkomił się na „Eurekę”, że przez to zginął człowiek (a za takie historie *leci* odszkodowanie dla rodziny, *you know?*) inny bubek objechał go za zwłokę, nawymądrzał się, a jemu szczęki zaciskały się w bezsilnej złości i grdyka latała jak zwariowana — to w górę, to w dół — gdy odczytywał ponownie taśmy telegrafu. Teraz przeto, wściekły na cały świat, przyglądał się wyładowywaniu z rosnącym gniewem i kłął w duchu po rosyjsku, a to jedno jeszcze mu zostało ze znajomości zapomnianego już języka.

Pierwszy powrócił Thomas, trochę niewyraźny, bo wlany i od razu napatoczył się na starego.

— Gdzie się szwendasz, zarazo — chrząknął *skipper* — zdaje się, że trzeba was wszystkich wziąć krócej za mordę. Rozpuściliście się jak dziadowski bicz.

Thomas uśmiechnął się głupkowato. Pokazał staremu nową *Doxę*.

— Fajne, co?

— Skąd miałeś forszę? Pewnie znowu ukradłeś komu, lub wycygałeś. Mów. Słyszysz? Mów.

— Fajne, co? — chichotał chłopak. — Czterdzieści pięć baniaków chciał pętelewicz, ale spuścił coś niecoś. Bajer mu zasunąłem ośmiopiętrowy, hi, hi.

— Skąd miałeś forszę? Mów gówniarzu. I gdzie są inni? Będę się musiał do was zabrać znajduchy. Tu nie burdel, tu statek, rozumiesz? Dyscyplina. Dyscyplina musi być, a wy co? Na majówkę — żeście przyjechali, na piknik. Gdzie reszta? „Diana”, zapamiętaj to sobie, zakało porządnej rodziny, to „Diana”, a nie „Queen Mary”.

— Reszta? A, są wszyscy razem, u Luizy. Ona ma fajny domek za miastem. Zalewają śmierć Lesa, stypa, jak się należy. Towarzystwo się wlało, że jeeeej... — tu czkawka podrzuciła tak Thomasa, że aż się zatoczył. — Fajne mieszkanie ma ta zdzira i jest co popić. I trzeba ją pocieszyć, a jakże...

— To wszyscy tam są?

— Cała załoga, *sir*. Zalana w drobny mak.

— Jak ty do mnie mówisz, *son of a bitch*? Jak ty, pastuchu, do mnie?

Stary podniósł głos, więc robotnicy przerwali pracę i przysłuchiwali się rozmowie. Nawet Fox uniósł głowę i uśmiechnął się, kiedy z luku wychynęły trzy postacie, chichoczące z radości. Widok bowiem rzeczywiście był korbowy: na tle piegowatego od nikłych gwiazd nieba wśród olinowań stał kolos Byrne i darł się na Thomasa, który śłaniał się na nogach.

— A no, *sir*, cała załoga jest, melduję *under influence*, ty-ci-tyci wstawiona. Zalewają śmierć Lesa i pocieszają Luizę. A mnie przysłali tu, abym zabrał pamiątki po Lesie i zaniósł tej Luizie, bo była w nim zakochana do spodu, na sto dwa. *In love, very much in love*.

— Co? Rzeczy po zmarłym? Bez mego pozwolenia?

— Yes, *sir*, bez pozwolenia. Wiedziało się nam, że będzie pan miał obiekcje, przeto ułożyliśmy, iż ja gwizdnę *belongings* po Lesie i cichutko je zaurzęduję dla jego dziurni. Ale miałem pecha, wtrądziłem się na pana, no i nie wiem jak to będzie. A chciałem — czkawka go znów podrzuciła i odbiła się kwaśno — te rzeczy podiwanić i zanieść Luizie na pamiątkę. Część tych rzeczy *of course*...

— A wiesz ty, że trzeba to wszystko komisyjnie spisać, zapakować i odesłać do głównego biura w Melbourne? Do dyspozycji rodziny zmarłego, który ciągle jeszcze nie jest uznany oficjalnie za zmarłego? A tylko za zaginionego? Kapujesz?

— Eeee, Les nie miał żadnej rodziny, nikogo, opowiadał nam o tym nieraz w kajucie. Tylko Luizę. Chcę wziąć tylko parę drobiazgów...

(Nie miał żadnej rodziny — przeleciało przez głowę *skippera* — to nie trzeba będzie bulić odszkodowania. To czemu mnie ten bubek z centrali tak ochrzaniał? Lecz James Byrne wkrótce powstydział się tej myśli i z tym większą zajądłością wsiadł na Thomasa).

— Nie pozwolę na żadne zabieranie rzeczy po Lesiel — wrzasnął: — Nie pozwolę!

— Panie kapitanie, niech mnie szlag trafi: co panu po tych łąkach? Spisze się protokół, że nie miał nic, guzik to kogo obejdzie, a sprawi pan odrobinę radości tej biednej Luizie. Ona go naprawdę kochała. Znowu życie kogoś dziabnęło w kuper za to, że kochał. Pojmuje pan: kochała go — Thomas plątał się w czkawce. — Nie dość że miłość ją unieszczęśliwiła, to jeszcze ten pętał Donald weźmie ją po pijanemu, bo tak jej chce, że aż zaniemówił, tylko mu oczy błyszczą jak wściekłemu psu. Dolewa jej i dolewa, *bastard*, chce ją upić. Czy to przyjemnie mieć babę zalaną w drobny maczek? Ten Donald musi chyba być nieświadomiony nekrofil. Chcieć spać z babą, której amant dopiero co wykitował, toż to prawie nekrofilia.

— Thomas — zdziwił się *skipper* i uspokoił się od razu. — Skąd ty znasz słowo *nekrofilia*?

— A bo mnie z budy wylali za kleptomanię, *sir*. Chciałem iść na uniwersytet na psychologię, lecz ojciec tak się tym zegarkiem zdenerwował, że mnie wyklął, wydziedziczył i wyrzekł się mnie *for good*. I zamiast na uniwersytecie studiuję filologię stosowaną i porównawczą na „Dianie”. A „Diana” to nie „Queen Mary”, jak pan słusznie zauważył. Życie nie malina, wiesz pan jak jest. Oszczędnością i pracą ludzie zdrowie tracą. Ach, naser mater, rzekła dziecina, i cóż ci winna biedna kocina? Zresztą ta heca z Lesiem to pana wina, kapitanie. Nie trzeba było się zastrzymywać koło tej, takiej owakiej „Eureki”, to by Les dalej żył. A teraz co? Tylko sny nas będą trapić, a prawo serii wnet zezwala na nas i patrzeć, jak tu kogo z kolei przyuważa...

— Thomas — szepnął Byrne. Nagle zmałał, spowie-

lacial, głos z niego wydobywał się z trudem. — Ty naprawdę myślisz, że to moja wina?...

— W pewnym stopniu to nonsens. Nikt niczemu nie jest winien. Zawsze zdarza się to, co ma się zdarzyć. Ale w jakimś innym sensie jest pan niewątpliwie jedną z przyczyn, że sytuacja umożliwiająca śmierć Lesa w ogóle istniała. Chociaż to nie wiadomo, czy, gdybyśmy ominęli „Eurekę” (a nikt tam nie wzywał pomocy) Les nie wpadłby na przykład do morza, wyszedłszy się wysuszyć i pośliznąwszy się na skórcie od banana koło kuchni. Niczego nigdy nie wiadomo do końca, *sir*, a wszelkie przypuszczenia są niewiele warte.

— Thomas, ty jednak uważasz, że...

— Nie, *sir*. Niczego nie uważam. Mam tylko głębokie przekonanie, że pan powinien mi dać zabrać te parzywe rzeczy po Lesie, niech jego dziunia chowa to sobie na pamiątkę. Jednego dnia i tak to wszystko wyrzuci w kibini mater. Ale jak to sama uczyni, przy okazji jakiejś przeprowadzki, czy z okazji nowego kochanka — a baby podobno wtedy mściwie niszczą każdy ślad przeszłości — jeśli to sama robi, powtarzam, to wszystko *all right*, normalne, amen, alleluja. Lecz gdy pan jej tych zafajdanych ciuchów nie da, to będzie odczuwać całą hecę jako niesamowitą krzywdę, a z pamięci po Lesie zrobi sobie męczeństwo, uraz i kapliczkę. A Les — między nami mówiąc — był sobie przeciętny facet, nic takiego. Ona go widzi nie tylko przez pryzmat swej miłości, ale jeszcze w aureoli bohatera, bo ten kobyłak Donald, aby ją łatwiej dostać, naopowiadał jej różnych wersji jego śmierci, że już sama się w tym gubi i poplątała się i rozczułiła się, o rany... Czyli nowa prawda życiowa, *sir*: nie wiadomo jacy jesteśmy naprawdę; sąd o nas zmienia się zależnie od punktu, z którego ktoś się patrzy. Taki Les to dla pana przeciętniak, dla nas z załogi trochę lizus i bez wyrazu, dla policji to podejrzany typ, dla Luizy to objawienie, a dla *Southern Steamship Co.* jeszcze jeden numer w rejestrze i świadomość, że na morze dostał się fuksem i przez bujdę, bo wyzyskując swój włoski typ, zalał *Marine Board*, iż pływał

na panamskich statkach, choć na morzu nie był przedtem nigdy w życiu, pochodzi z gór, z Omeo. Boki zrywaliśmy w naszej kabinie, gdy powtarzał, jak udawał, że źle mówi po angielsku, byle tylko uwierzyli, że jest Włochem. Widzi pan, a dla Luizy to wzór męskości i delikatności, świata za nim nie widziała, a na niego samego patrzyła o 600 procent korzystniej niż był w rzeczywistości. Czyli: jacy jesteśmy naprawdę? Och, w gardle mi zaschło, *sir*, szklanka *Melbourne Bitter* zrobiłaby mi dobrze. Zardzewiało mi w gardziółku jak tryby tego dźwigu, których Jeff nie naoliwił, bo śpi, a Fox o tym nie pomyślał, bo ciągle duma o tych stu pięciu *quid*'ach wypłaconych Polakowi, pan zaś tego nawet nie słyszy, no, bo pan nasłuchuje w sobie jakiegoś głosu z zaświatów: kto będzie następny w serii?

Byrne oniemiał. Zatkano go. Bezcelność i inteligencja tego młokosa aż go zatchnęła, spurpurowiał ze złości, z drugiej zaś strony rzeczywiście, dopiero teraz usłyszał zgrzytanie trybów motorku przy dźwigu.

— Thomas — szepnął. — Ty jesteś niebezpieczny...

— Nie, *sir*. Ludzie tylko są bezmyślni, to wszystko. I ślizgają się po powierzchni życia, zamiast pobrać pomiary tego zjawiska, czy określić proporcje tego nieporozumienia. Wracając zaś do prawa serii: czy istotnie musi jeszcze ktoś kójfnąć, skoro jeden umarł? A może Les nie był zapoczątkowaniem serii, a tylko takim sobie wypadkiem, przypadkiem i koniec? Bez następstw. Bez przyczyn. Wie pan, kiedyś czytałem stary sennik w bibliotece naszej budy i znalazłem tam taką perłę: „Nagiego murzyna pływającego w becce po wzburzonym oceanie śnić, znaczy”...

— Co znaczy? — Byrne aż się poderwał jak koń dźwignięty ostrogą.

— „Znaczy: umrze ktoś nieznajomy”...

Kapitan zaniósł się dudniącym śmiechem, a potem zapiszczał z zadowolenia. Twarz już mu się uspokoiła, ale brzuch ciągle jeszcze podskakiwał.

— Miałem cię za durnia, Tom — rzekł — ale się myliłem. Chodź dam ci piwa.

— Jadł pan kolację, *sir*? Może panu coś upichcić? — pytał Thomas, postępując za *skipperem*. — Przez ten cały bajc wszystko u nas się rozregulowało.

— Nie, dziękuję. Dobrze masz serce. Nie chce mi się nic jeść.

Stary sięgnął do swej lodówki po butelkę, a chłopak postawił dwie szklanki na stole. Wypili.

— A co będzie z tymi rzeczami po Lesie, *sir* — przypomniał Thomas — mogę je wziąć?

— A bierz, trącał to pies — ciałem kapitana znowu targnęły drgawki śmiechu. — *I couldn't care bloody less...*

— Świetnie, *sir*, bardzo dziękuję. Donald obiecał mi, że jak przyniosę mu te ciuchy, to pokaże mi wreszcie swoją srebrną papierośnicę. Widział ją pan?

Stary znów nalał ostrożnie, aby nie powstała piana i podał szklankę *boyowi*.

— Raz opowiadał mi — ciągnął Thomas — że zwędził ją w muzeum, innym razem znów, iż kupił u antykwariusza, kiedy indziej jeszcze zalewał, że to jakiś chiński talizman przynoszący nieszczęście właścicielowi. Jednym słowem kręci pastuch, ale nikomu jej nie pokazuje, najwyżej z daleka. Razem w jednej kajucie mieszkamy, a nie pokaże jej, bydlak. Tylko z daleka, tylko dla oskomy, na wabia, na smak. Wie kopany, że ja na te świedcełka lecę, że mam słabość. Ach, kapitanie powiem panu, nasze słabości rządzą nami, ot, co...

Kucharz poczuł nagle, że jeszcze jeden kieliszek brandy, a będzie pijany. W głowie jeździły mu jakieś kolejki linowe, szumiały luna-parki, przelewały się powodzie światła i gwar meczów, a teraz oto rozpełzała się po nim jakaś niesamowita obojętność, ubawienie i senność, błys-

kały jakieś spóźnione refleksy. Znowu to wspomnienie świąt. Tak, jeszcze kieliszek, a już, nie odpowiada za siebie: albo się rozchoruje, albo padnie nieprzytomny, albo zacznie płakać. Donald znów dolał wszystkim. Z nocy wlatywały tu przez otwarte okno ćmy i komary, pchały się przez dziurę w moskitierze, inne tłukły się skrzydłami po siatce. Księżyc był beczelnie duży i nachalnie srebrny, wisiał nad lasami i filuternie zaglądał w okno tego pokoju, gdzie towarzystwo wół leżało, wół siedziało, wół spało porozwalane na fotelach. Charlie siedział w kącie pod stojącą lampą z abażurem z rafii i zapłakany od czkawki klarował coś Douglasowi. Doug spał wyciągnąwszy po amerykańsku nogi na poręcz drugiego fotela, w którym siedział uśmiechnięty Kevin. Pod maską tego uśmiechu zapadał się już w otchłań lekkiego delirium tremens. Andy westchnął, rzuciło go gdyż poczuł kwaśny odór dwudziestej chyba brandy. Chandra, alkohol, noc, księżyc, ćmy, walące głucho skrzydłami w moskitierę, srebrna pełnia, pachnie las, dzwoni cisza, dzwoni ucisk w skroni i pogania własne tętno, niepokojem drży całe ciało. „O, najpiękniejsza z chorób, biała gorączko”... — przypomina się mu jakiś wiersz pijacki. Tak, jeszcze kieliszek, a już nie będzie wiedział co się dzieje. Zacznie się opar, mgła, zadymka.

— Nie — przeczy ruchem głowy — *thank you*. Don. Już nie mogę więcej. Dolej sobie, bo i tak już nawalasz: obserwuję cię od godziny, sobie nie dolewasz, co ty kombinujesz?

— Zdaje ci się — Donald machnął ręką, jak gdyby opędzał się od osy. Błyski jego oczu wędrowały pełne niepokoju ku Luizie. — Napij się, to ci dobrze zrobi, będziesz spał...

— Kiedy Thomas wróci? — czknął kucharz. — Czy go przypadkiem nie zauważył stary, jak chciał zabrać te rzeczy po Lesie?

— Cśśś — Donald położył palec na wargach i znów niespokojnie zerknął na Luizę.

Siedziała jak bryła lodu. Wypiła sporo, wzrok miała mętny, ale trzymała się nadzwyczajnie. Nie była spocona, nie była czerwona, ciągle siedziała niby posąg, ścięta w sobie i bez ruchu. Otwartymi szeroko oczyma zaczęła się na Donaldzie, na pewno go jednak nie widziała. Wzrok miała daleki i zagubiony, mętny i nieobecny.

— No, dolej Don. — mruknęła po chwili. — Jeszcze mnie nie zalałeś...

— *What are you talking about?* — fałszywie uśmiechał się Donald. — Po co miałbym cię upijać?

— No, lej, nie gadaj.

Dolał. Wychyliła to duszkiem, przez chwilę się krzywiła, odetchnęła głęboko i sięgnęła po papierosa. Donald rzucił jej pudełko zapalek.

— Ach, szczeniaku, już nie wstajesz podając damie ognia, co? Udawanie tak długo dobrego wychowania już cię zmęczyło, co? Tracisz cierpliwość, chłopcze, bo oto jeszcze nie zalałeś tego Polaka, ani mnie na tyle, byś się zaczął dobierać — szydziła, trzymając papierosa w ustach i czesąc się grzebieniem wyjętym z włosów. Popatrzyła nań kpiąco spod przymrużonych powiek. Rzęsy miała długie, zapewne doklejane, była u kosmetyczki w Launceston, oczy miała podmalowane i pomimo całej mętności wejścia, przytomne i zimne. — A jak sobie umyśliłeś, *darling*, że się do mnie zaczniesz dobierać? Jest podobno siedem sposobów zdobywania kobiety, chłopczyku, wiesz o tym? A w tej sytuacji — na zalanie — są trzy warianty...

Donald wypił do dna, skrzywił się przy tym tak, że kucharz zachichotał.

— Zamknij mordę — warknął do kucharza, utkwivszy w nim złe oczy.

— Tak, *baby*, trzy warianty — cedziła Luiza — każdy tak samo dobry, o ile oczywiście się powiedzie. Tylko, żeby to było naprzód wiadomo, który później okaże się najlepszy? Heca, co? Najlepszy byłby ten czwarty: żebyś ty nagle stał się Lesem. Ale Les nie żyje. Tak, sieroto, porządni ludzie umierają młodo. Bo jak nie kipną, to i tak życie robi z nich łachman, szuję, kanalię. Życie ludzi

skurwia. Uczy i skurwia. Lecz to, czego nas życie — zdawałoby się — tak boleśnie nauczyło, jakoś zawodzi właśnie w chwili próby, ciągleśmy tylko starsi i nic nie mądrzejsi, *you know? What a bloody mess*, proszę ja kogo...

— Dotychczas milczałaś — syknął Donald — to czemu teraz nagle się rozgadałaś?

Kucharz znów zamruczał i parsknął śmiechem, trzęsąc się nieskoordynowanie jak łaskotany niewidomy. Mgła podchodziła mu do oczu, było mu wszystko jedno. „Dogodziłem sobie — myśli. — Ech, *s'winom my radiliś, z wadkoj my pamriom*”...

— Żeby ten Polak zasnął jak reszta — wywodziła Luiza — to byś pewnie próbował zgasić światło, tłumacząc subtelnie, że za dużo ciem pcha się tutaj do światła. Tak byś jakoś urządził, ażeby znaleźć się za mną z tyłu, za poręczą fotela, co? Jakieś pogłaskanie po włosach, jakieś objęcie ramieniem i nagle spadają na mnie wargi, pełne tak zwanej żądz. Ha, ha. Sposób niezły i wypróbowany, tylko, że zawsze trzeba dwojga do tego. Jednego, co chce i drugiego, co też chce, albo nie ma nic przeciwko temu. Jednak, tu, *brother*, leżysz. Ja mam coś przeciw temu. Więc cały elektromontaż na nic. Ha-ha-ha...

— Zatkaj się lepiej, Luizo — przysunął się do niej i nachyliwszy się nad nią, położył dłonie na jej nagich ramionach. Chciała się podnieść, lecz przytrzymał ją i zbliżył się ustami do jej twarzy. — Zatkaj się, idiotko — warknął.

— Bo co? — wytrzymała jego wzrok, wlepiony w nią z odległości trzech cali.

— Bo pożałujesz — krzyknął.

Chichot Andy'ego poderwał go. Cisnął popielniczką w kierunku kucharza, tamtemu popiół zasypał oczy i osiadł na rzęsach. Polak od razu oprzytomniał.

— Donald, niedonochu, pozwalasz sobie trochę za dużo. Możesz zaraz dostać w tve piegowate ryło. Rzuć się lepiej, lebiego w fajans, to ochłonesz, a ja za tobą wodę spuszczę, ciemniaczku na kłapaczu opalany za pomocą sitka.

— Co? Ty mnie w mordę? Kuchciku, taż ja się takich nie boję, takich to ja tuzinami zaprawiam...

— Nie denerwuj się Donald — głos dziewczyny był jeszcze chłodniejszy. — To nie jego wina, że tobie nie udało się przespać ze mną. Ani dziś, ani jutro, ani nigdy. *Never*, mój głupi męski gówniarzu. Nigdy, nigdy, nawet po siedmiu latach na bezludnej wyspie, kapujesz?

Charlie osunął się pod lampę i chrapał. Kevin rozdziawił gębę i syczał niczym powietrze z dętki przez niedostrzeżoną dziurę. Douglasowi jedna noga osunęła się z poręczy fotela i tak zasnął. A kucharz siedział na przeciw Luizy i ciągle prychając popiołem rzuconym mu w oczy, uśmiechnął się głupkowato. Na wszelki jednak wypadek przysunął do siebie ciężką metalową popielniczkę, ażeby było czym się bronić. Donald musiał mieć bardzo niepewny wyraz twarzy, gdyż Luiza parsknęła szczerym śmiechem.

— Masz okropnie nieinteligentną minę — mruknęła. — I wściekasz się, bo jeszcze nic nie rozumiesz z tego, że właśnie z tobą ja nie chcę. Jesteś wymoczek, glizda i pęta. Miałeś wprawdzie dość duże szanse, ale każdemu kiedyś jakieś szanse niepowrotnie przechodzą obok nosa i nigdy nie wrócą. Trochę mi się podobałeś, trochę mnie rozczulileś, zakładając bajer o Lesie, którego rzekomo byłeś przyjacielem itd. Było mi bardzo źle, w takich chwilach czyjaś subtelność jest najbardziej pomocna: ale u ciebie to była poza. Ty chcesz tylko ciała, mięsa, ty chcesz tylko mieć babę, reszta w życiu to dla ciebie szczeniak.

Polak znów zapiszczał z uciechy. Poprzez rozchełstaną koszulę drapał się po owłosionych piersiach. Pomyślał, że zapomniał o pasterce. Zamiast siedzieć tu i chłać patrząc na Donalda zabierającego się do Luizy, lepiej było pójść na pasterkę. Ale też co to za pasterka? Upał, lato, ludzie w koszulach i letnich sukienkach, z plamami wilgoci pod zapoconymi pachami. to ma być pasterka? Co za urok mają takie święta bez śniegu skrzypiącego pod nogami, bez mroźnych kwiatów na szybach, bez tego tłumu zakutanego w

futra i zimowe płaszcze, parującego wódką, odświętnością i topniejącym śniegiem, bez polskich kolęd, o których w ciągu roku zapomina się jakie są naprawdę piękne? A tu co? Będą tu w kółko i niemrawo podpierać melodię trzech czy czterech *carols*, bez tej naszej fantazji, zadzierzystości i uczucia. Nasermater — westchnął — rozkleiłoby to mnie jeszcze więcej. Lepiej już pić. Lepiej już się zalać w sztok. Przypomniła się mu córeczka, potem rodzinny dom, zaaferowane świąteczne bieganie matki, makutry, ryby w szafliku, opłatki i siano pod obrusem. Nie, naj-mądrzej będzie się ululać, w pesteczkę, w drebiezgi, na perłowo, w drobny maczek, na sto dwa, do szpuntu.

— Donald — krzyknął — pies cię trącał, nalej braciszku dubla, ale bez wody, ćwoku. Wody trzeba oszczędzać, bo posucha. No, lej żłobie — podał mu szklankę po piwie.

— Całą? — Donald nie wierzył własnym uszom.

— Całą. Bóg mi powierzył honor Polaków. Zaśmiała się królowna i zdechła. Jam nie z soli, ani z roli. Za Niemien, hen, precz. Lij-że sieroto zagubiona w deszczu.

— Co ty bredzisz? — Donald był wyraźnie zaniepokojony. — Po jakiemu ty gadasz?

— *Je m'en tappe le coquillard, couillon, va* — kucharka zebrało na wspomnienia z Francji. Uśmiechnął się ku latom spędzonym w Paryżu i zaśpiewał: *Je serai bientôt de retour, prenons patience...*

— Zalał się — pokiwała głową Luiza — ma rację. Ale i teraz ci się nie uda ze mną, wymoczku...

Andy ujął szklankę w ręce i podniósł ją pod światło:

— Po co ja używam — pomyślał z niesmakiem — takiego samego języka jak oni? Nasiąkłem ich przekleństwami, widocznie nie chcę ich drażnić innością, to zwykle ludzi najbardziej dotyka: inność. Ach, mój Boże — westchnął i zaczął ostrożnie wlewać w siebie brandy.

Było już późno, kiedy Thomas z zawiniątkiem rzeczy po Lesie pod pachą stanął w furtce domu, gdzie mieszkała Luiza. Przystanął i westchnął; właściwie dopiero teraz zrobiło mu się żal Lesa.

— Szkoda chłopca — mruknął.

W głowie mu szumiało, o mały włos byłby, idąc tu, zbłądził. Luiza mieszkała w wynajętym domku za miasteczkiem, od Smithton było szmat drogi po wertepach, przez las. Nad domkiem kiwały się sennie tuje i topole, w trawach szumiały cykady, w Thomasie był żal po koledze.

— Cholera — splunął — szkoda chłopca. Cóż warte jest to życie od przypadku do przypadku? Czasem widzi się w życiu jakąś konsekwencję, kiedy indziej daje się ono domyślać koszarnej wprost przypadkowości. A gdyby tak Les nie zaofiarował się, że pójdzie po wodę sodową dla Jeffa, to pewnie by przeżył katastrofę „Eureki” i teraz leżał w ramionach Luizy. A my wszyscy zapewne pilibyśmy w hotelu, w wewnętrznym barze, gdzie właściciel wypuszcza tylko „swoich” gości, gdyż prawo zakazuje wyszynku piwa i alkoholu po dziesiątej wieczorem. W Wiktorii, w Melbourne jest jeszcze gorzej, bo tylko do szóstej. Wszyscy wiedzą, że w „Royal Mail Hotel” można dostać piwa do późna w noc, wie o tym i jedyny policjant w tym miasteczku. Ten to chyba jest najbardziej przegrany: ani wytoczyć Walterowi sprawy o to, ani samemu pójść do *cupboard* i wpuścić w siebie parę piwek z lodu gwarząc z kumplami, tak jak wszyscy. Przed dziesiątą musi oficjalnie kupić kilka butelek *Melbourne Bitter* i potem sam to doić w chałupie. A więc, gdyby nie ta woda sodowa, to byłibyśmy dziś w hotelu i grali z pijakami w strzałki. A Les żyłby sobie i migdał się ze swą dziewczyną. Donald na pewno ukradłby forszę kucharzowi, skoro ten wygrał setkę w konie i jeszcze by Polaka napuszczał, by fundował. A tak, to nawet namawiał go w barze, aby pił i sam płacił za wszystko, on skąpy *bugger*, byle tylko móc dobrać się

do Luizy. Co to się na świecie robi przez tę jedną durną sekundę, w której jeden zaofiarował się drugiemu, że mu przyniesie ćwiartkę wody sodowej? I jeszcze nie musiałbym się pętać po nocy z tymi łachami pod pachą, nie musiałbym zażywać starego spod mańki, a może w tej chwili miałbym już tego nowego Tissota od Waltera, kto to wie? Nie, nigdy nikt nie będzie wiedział tego na pewno.

Nagle zastanowiła go cisza. Okna domu były ciemne. Kiedy podszedł pod nie, usłyszał tylko chrapanie.

— Ależ sobie dogodzili — uśmiechnął się. — Chrapia na cztery głosy.

Lecz pomimo chrapania i jak gdyby poza nim, cisza była przenikliwa i nieprzyjemna, stężona i wszystkoobejmująca.

— Donald — zawołał. — Ty też śpisz? *Louise, and you?* Przyniosłem rzeczy.

Ktoś chrapnął *staccato*, potem inny, jak gdyby włączył na liharmonii wtyczkę *tremolo*, jeszcze inny bulgotał przez sen.

— Donald — krzyknął. — Gdzie ty jesteś?

Przez werandę wszedł do korytarza, na prawo powinien być ten *lounge*, gdzie pili. Czy mu się nie pomyliło? Z pokoju z lewej strony dobiegł jęk. Lecz z *lounge'u* znowu koncertował kwartet tak zabawnym chrapaniem, że Thomas cicho się zaśmiał.

— Wszyscy mają polipy? — kpił w myślach. — Ależ ja ich jutro będę naciągał, kto widział tak okropnie chrapać?

Macając po ścianie doszukał się kontaktu, kontakt pstryknął, lecz dalej było ciemno.

— Cóż do cholery? — zachnął się. — Co za głupie kawały? A może elektryczność nawaliła? Chyba nie, przecież na ulicach było światło, w kościele katolickim właśnie kończyła się pasterka, światła jarzyły się w całym miasteczku. W oknach domu, który minął przed chwilą, jaśniały zasunięte story, więc? Chociaż kto wie? Może defekt w

elektrowni nastąpił minutę temu? Może tylko tu trzasnęły stopki? Trzeba by sprawdzić.

Przez moment słuchał. Jęku nie było. W sąsiednim pokoju chrapano przyciszonym *allegro*, znów musiał się uśmiechnąć: ależ się wlali. Kto by pomyślał, że i w chrapaniu może być tyle rytmu? Zaświecił zapalną, blask go oślepił, w mroku, który potem stał się jeszcze gęstszy, zapamiętał, że za uchylonymi drzwiami wejściowymi był licznik i tablica ze stopkami. Postąpił poomacku w tym kierunku, znów potarł zapalną, usłyszał jęk, lecz musiał poczekać, aż zapalną się wypali. Nie chciał rzucać jej byle gdzie: dom był drewniany i stary, a wielodniowa posucha na wyspie stwarzała niebezpieczeństwo pożaru. Radio ciągle o tym przypominało i ostrzegało: *fire danger* ogłoszono na całej wyspie. Okres Bożego Narodzenia to pora największej suszy, ograniczono spożycie wody, zakazano używania *sprinklerów* w ogródkach, tak, trzeba tej zapalce dać się wypalić na dłoni. Jeszcze by ją cisnął gdzie nie trzeba, lub nie zdążył zadusić butem: lichy nie śpi. Znowu usłyszał jęk. A tam chrapanie szło w najlepsze. Zapaliwszy nową zapalną spostrzegł, że światło było wyłączone w całym domu. Nacisnął rączkę na *on*, wszędzie strzeliło światło.

Pierwszy pokój w lewo to sypialnia Luizy, stąd szedł ten jęk. Otworzył drzwi bez pukania, światła w pokoju były zgaszone. W bladej poświacie lustro, stojącego w kącie, zobaczył swoją sylwetkę, lecz zaraz dostrzegł na tapczanie jakiś kształt. Nacisnął kontakt i krzyknął. Na pokrwawionej narzucie leżała Luiza. Krew na skroni i szyi już nieco zaskrzepła, w prawej ręce trzymała jeszcze rozbitą butelkę, zapewne nią się broniła. Biała sukienka była pomiętoszona i poplamiona, włosy się polepiły, ale po ruchu biustu wystającego z rozdartej sukienki widać było, że Luiza jeszcze żyje.

Thomas ogarnął szybkim spojrzeniem pokój, był pusty, w nieładzie, taca z kieliszkami spadła w czasie walki na podłogę: wokół niej były okruchy szkła. Na tapczanie leżała przygotowana widocznie do snu piżama, pantofle

nocne stały pod łóżkiem, w jeden z nich wpadł czerwony od kredki niedopałek papierosa i szpilka do włosów. Pokrwawiona chusteczka męska leżała tuż przy drzwiach, obok zaś kuta w srebrze papierośnica Donalda. Papierośnica! Thomas drgnął, zwilżył wargi językiem i skupił się w sobie: na chwilę wszystko jakoś się wyłączyło, odpłynęło, wokół nie było nic poza tym srebrnym pudełkiem z Hong-Kongu. Ukłął i z nabożnym skupieniem w oczach oglądał po raz pierwszy z bliska ową papierośnicę pełną brzuchatych Buddów, spiętrzonych pagod i smoków o wylupiastych oczach. Spojrzał szybko poza siebie i posłyszał charkot Luizy: pokój był pusty, a tylko własne serce chłopca biło nieprawdopodobnie głośno. Znów zerknął na Luizę. Pokusa była zbyt silna. Tak silna, że aż zadrżał, wiedział, iż ona już nim rządzi, wstydził się, wiedział, dokładnie wiedział, że popełni kradzież, czuł nagły ucisk skroni, gorąco własnej krwi i magnetyczne przyciąganie tego przedmiotu.

— Śliczna — modlił się z zachwytem, rozdygotany jak liść osiki. — Bajeczna. *Marvellous* — szeptał.

Bał się jej dotknąć, oglądał ją z wszystkich stron, spocony z wrażenia, zaniemówił, zatchnęło go i z trudem przełknął tężającą ślinę. Bał się jej dotknąć, wiedząc, że może są na niej odciski palców Donalda, mordercy Donalda, które będą potrzebne później w śledztwie. Lecz ruchem rąk, który go samego zaskoczył i przeraził, już ją trzymał przy piersi i chichotał z radości.

— Gównu śledztwo — szepnął triumfalnie — musiałem to zrobić, musiałem to ukraść, punkt, kropka, koniec. Papierośnica jest moja.

Całe napięcie wyparowało zeń, ogarniało go błogie zmęczenie.

— Już się stało. Będzie co ma być. Nic nie będzie — pocieszał się — papierośnica jest moja.

W *lounge'u* ktoś ziewnął przeraźliwie, widocznie obudzony światłem chlustającym prosto w oczy. Był to Charlie, ocknął się najszybciej po zamroczeniu. Popatrzył rozbawiony po pokoju i schlanych jak bydlęta kolegach, mruknął coś,

ziewnął, przetarł oczy, przesunął ręką po włosach, nagle przypomniał sobie Donalda i Luizę.

— Donald, Donald? — huknął jak na majówce w lesie. — No, jak ci idzie synku? — Zachichotał, coraz więcej z tego wieczora przypominało się mu. „Pewnie ją miał, no i co mu z tego? Wszystkich bab i tak nie wyla-buda?” Pomyślał o Donaldzie z lekceważeniem: „Ach, tylko *sex* i *sex*. Ciekaw jestem czy mu się udało?”.

Okrzyk Charliego wstrząsnął klęczącym w drugim pokoju Thomasem. Nieprzytomnym ze strachu wzrokiem ogarnął ponownie pokój, jak gdyby go przedtem nie widział. Wywrócone białka oczu dziewczyny zwisającej z tapczanu były niesamowite. Zadrżał, szły po nim mrówki strachu, zawładały nim, paraliżowały, w gardle coś piekło, poczuł, że ręce się mu pocą, a papierośnica nagle parzy. Lecząc opanował się, na chwilę przymknął oczy, a potem, nie patrząc na Luizę, schował papierośnicę do tylnej kieszeni i z krzykiem wybiegł z pokoju:

— Charlie, Charlie, chodź tu — wołał biegnąc korytarzem. — Donald zabił Luizę. Zdaje się, że jeszcze żyje. Charlie, chłopcy, nieszczęście...

12

Kiermasz i *Carols by Candlelight* na placu poza kościołem metodystów odwołano ze względu na popełnione morderstwo oraz dlatego, że wszyscy mężczyźni mias-teczka, uzbrojeni jak się dało, wyruszyli na obławę na Donalda pod wodzą Billa, miejscowego jedyne go policjanta. Szukano zbiega po okolicznych lasach i gąszczach. Smith-ton wymarło już w porze obiadu. Jeszcze rano odbyły się nabożeństwa w kościołach sześciu wyznań, w pięciu kaza-niach nawiązano do tragicznego finału niemoralnego ży-cia Luizy (choć bez wymieniania jej z nazwiska, co i tak

było niepotrzebne, bo wszyscy wiedzieli o kogo chodzi), lecz około południa, zostawiając nawet tradycyjny *Christmas Dinner* z gorącym angielskim *plum puddingiem* (na ten upał, ach tradycja ściąga z wszystkich ciężkie frycowe) mężczyźni wyruszyli na obławę z zawiniątkiem sandwichów pod pachą, wpuściwszy uprzednio w siebie po dwa piwa w *Royal Mail Hotel*, na wszelki wypadek i dla kurażu.

Walter-hotelarz kłął co wlażło, że całe wyszukane i bogate *menu* na nic, bo odgrzewane indyki to już nie to, ale że wszyscy goście i bywalcy wybierali się na obławę, więc poszedł i on. W hotelu pozostała tylko jego żona i kilka wystraszonych pijaczek, które wołały nie wracać do pustego domu. Siadły więc w udekorowanym na święta *lounge'u* i było im raźniej w towarzystwie i przy pełnych szklankach. W *Smithton* nic się nigdy nie działo, gdy więc zdarzyło się coś, co będzie w gazetach, Walter musiał przy tym być, by móc potem długo i szeroko opowiadać o tym klientom. *Douglas* trochę łypał okiem na porozkładane na stoiskach paczki, żał mu było kiermaszu i paczek od metodystów, ale musiał iść. Wszyscy szli. Zresztą *fête* odbędzie się pewnie jutro, lub pojutrze, jeszcze tu jakiś czas pobędą w *Smithton*, więc nic straconego. Na statku został jedynie *Jeff*, w mieście tylko kobiety, starcy i dzieci. Był dojmujący upał, wszyscy się pocili, lecz mimo to *Bill* włożył mundur i czapkę, wziął broń, był bardzo przejęty i oficjalny. Po raz drugi w czasie pobytu w *Smithton* zdarzyło się, że zabrał broń idąc na służbę; policja australijska jest nieuzbrojona.

— *Gentlemen* — przemówił, ogarnawszy wzrokiem ochotników uzbrojonych w strzelby, kije i siekiery, zebranych na placu przed hotelem — podzielimy się na trzy grupy. Miejscowi poprowadzą dwie grupy, dowodzone przez kapitana i pierwszego oficera, trzecia pójdzie pod moim dowództwem. Morderca jest zapewne uzbrojony: zwykle ma przy pasie nóż fiński, mógł też zabrać z kuchni *Mrs Langford* jakiś inny nóż albo tasak. Nie udało się nam tego stwierdzić, ale w kuchni ofiary wszystkie szuflady

były pootwierane. Ma też niewątpliwie coś do jedzenia jako że i lodówka, którą zastałem otwartą, była pusta. Zbrodniarz posiada również pieniądze, gdyż kucharzowi skradziono portfel, a pewne podejrzenia w kierunku niektórych członków załogi (tu załoga popatrzyła się na Thomasa) nie okazały się słuszne. Mr. Fox spotkawszy *cookie* wieczorem w hotelu wypłacił mu bowiem wygraną. (Bill, mówiąc to, patrzył w wierzchołek wysokiej *casuariny*, stojącej przed hotelem, co miało znaczyć, że boleje nad tym wypadkiem nielegalnego bookmakerstwa, ale, że ze względu na ważniejsze teraz sprawy, władze nie myślą zajmować się tym wykroczeniem. Podobnie patrzył w niebo, gdy potępiał sprzedaż alkoholu poza dozwolonymi godzinami, wołał wtedy nie patrzeć nikomu w oczy, bo by mu roześmiano się w nos). Człowiek, którego szukamy, jest najprawdopodobniej przygotowany do ucieczki i kilkudniowego pobytu w buszu. Może uciekać na Lancefield lub Burnie, innych dróg tu nie ma. Wokół, jak miejscowi wiedzą, są tylko bagna w kotlinach i nieprzenikniony busz, oraz zarośłe gęstwiną wzgórki. *It is a very rough country*. Daleko uciec zbrodniarz nie może: albo ugrzęźnie w bagnach, albo go ktoś zauważy przy drogach, wiodących do dwóch już wspomnianych miejscowości. Trzeba go odnaleźć i ująć. To wszystko. *Good luck to you all*. Szukamy do 9 wieczorem, potem wracamy. Policja na całej wyspie jest zaaalarmowana, doświadczenie uczy, że złapie się go na pewno, chodzi tylko o to, aby uczynić to jak najprędzej, gdyż zbrodniarz może znowu kogoś zabić. Uważajcie, *gentlemen*. W każdej grupie powinno być przynajmniej dwóch ludzi ze statku, może zdołają Donaldowi przemówić do rozsądku, że opór jest bezcelowy.

Podzielili się więc na grupy i wyruszyli w trzech kierunkach. Bill powiodł swą grupę w kierunku na Lancefield, Byrne na Burnie, Foxowi przypadło w udziale przeszukiwanie piaszczytych łąk i wydym na zachód od ujścia Kaczej Rzeki. Wkrótce pierwsi weszli w zarośla i drzewa *ti*, drudzy w chaszczę poza domem Luizy, trzecich długo jeszcze było widać z miasteczka wśród łąk przypor-

towych. Ze wschodu wiatr przywiewał tuman brudnego dymu, nad wzgórzami wisiało kłębowisko burej mgły, doliny nasycaly się swądem płonącego od strony Burnie lasu. Czasem poprzez dukty lasu, lub prześwit zwalonych drzew jawiły się brunatne, szare, lub rude zwaliska chmur, dramatycznie spięte nad *bushfire* w okolicach Burnie.

13

— Daj co zjeść, Jeff.

Jeff odwrócił się na ten głos i zmartwiał. Przed nim stał Donald. Bez uśmiechu, szary i zmęczony chłopak powtórzył:

— Daj co zjeść, Jeff. I zapalić.

Bez słowa poszli do kuchni. Jeff trzymał się z tyłu, siedł o kilka kroków za Donaldem. Nos mu się spocił do tego stopnia, że okulary zachodziły parą. Mechanik bał się, więc zerkał naokoło, czy kogo nie zobaczy. Port jednak był pusty, kwiliły tu smutno mewy, a czasem ponad srebrną powierzchnię wody wyskakiwały jak błyski, rybki pyszczki. Nikt dziś nie łowił ryb w porcie, mola były puste i wymarłe. Jak na dłoni widoczna część Smithton była cicha i wyludniona: mężczyźni poszli na obławę, kobiety i dzieci trzymały się w obrębie zabudowań. Zapadał wieczór.

Drzwi od kuchni były zamknięte. Donald odstąpił od nich, aby zrobić Jeffowi miejsce. Ten w zdenerwowaniu przez dłuższą chwilę nie mógł znaleźć właściwego klucza w pęku, jaki mu był zostawił kapitan pod nieobecność załogi na statku. Donald spoglądał bacznie na wyludnione miasteczko. Postanowił, że zaraz po posiłku przemknie się wzdłuż mola, a potem nadbrzeża i nurknie w sitowia rozpościerające się poza hangarem *Southern Steamship Co.* Wreszcie Jeff otworzył drzwi. W nozdrza uderzył ich ciepły zapaszek jedzenia i ścierek, na blasze stał baniak

jeszcze ciepłej zupy. Na suszących się ściereczkach roilo się od much. Donald chochlą zamieszał w garnku i z zadowoleniem stwierdził:

— Pomidorowa!

Pił prosto z chochli. Jeffa jak gdyby nie dostrzegał; pijąc zupę uważnym wzrokiem lustrował półki kuchni. Wziął z nich kilka puszek *tomato juice*, z lodówki kawał szynki, z plecionego kosza-schowka zabrał bochen chleba, co chwilę podchodząc do zupy i pijąc z chochli po parę łyków. Popatrzył nagle na mechanika i powiedział spokojnie:

— Tamci pewnie niezadługo wrócą?

Jeff milczał, nos mu się ciągle pocił.

— No i co z tobą będzie, Don? — zaskrzeczał, gdyż z wrażenia dostał chrypki.

Donald zastanowił się czy odpowiedzieć. Zuł kawał białego chleba, wtem wśród słoików *chutney*, *pickles* i pudełek z przyprawami dostrzegł papierosy kucharza: dwie paczki Philip Morrisów. A także zapalki. Wziął je, wsadził do kieszeni i dalej milczał.

— Po coś to zrobił? — jęknął mechanik. — Tak zamordować kobietę? Przecież to straszne. Donald, co teraz z tobą będzie?

— Pójdę do kajuty, zabiorę parę swoich rzeczy i znikam z „Diany” — odezwał się wreszcie Donald. — Dziękuję ci za to, żeś otworzył kuchnię. Spróbuję nawiać, chociaż właściwie nie ma po co. Nic już nie ma sensu — mruknął. Gorzki uśmiech wykrzywił jego usta.

— Wiesz co się za to czeka? — szepnął Jeff.

— Tu w Tasmanii jest u władzy *Labor*, to nie wieszają. Dwadzieścia lat — odparł Donald. — Będę miał czterdzieści jeden lat gdy odsiedzę swoje. No i cóż? Jeszcze można będzie pożyć kilka lat. Mógłbym w więzieniu nauczyć się na przykład introligatorstwa i potem otworzyć jaki *business*. Wiesz, Jeff? Tu mało introligatorów w Australii. A ceny dyktują cholerne. W ubiegłym tygodniu czytałem w gazecie, że *Public Library* z Adelaide wysłała 3.000 tomów okrętem do Anglii do oprawy i że

łącznie z kosztami przesyłki będzie to jeszcze taniej, niż gdyby to robiono tu, na miejscu. A może nawet prędzej. Tu trzeba nieraz czekać miesiącami na opracowanie książki.

Jeff zaniemówił. Wszystko to było tak nieoczekiwane, że zaskoczenie przyprawiło go o tick: zaczął krawatem wycierać okulary.

— O ile oczywiście wyjdę po tych dwudziestu latach — westchnął prawie komicznie Donald. — Przez dwadzieścia lat dużo może się stać, zmienić. Można milion razy dostać kręčka w więzieniu, szalu, hyzia, fioła. Można nabawić się gruźlicy, mogą mi wykryć raka, można popełnić samobójstwo, można spokojnie umrzeć na przycz: kto to wie, co może być za dwadzieścia lat? Dwadzieścia lat, to kawał czasu a jeszcze do tego w więzieniu. Och, Jeff, żebyś wiedział jakie życie jest śmieszne.

— Ale po co to zrobiłeś? — nalegał Jeff.

Donald milczał. Poszedł do kajuty i pakował swoje drobiazgi do marynarskiego worka. Zawiązał go starannie, zamknął na kłódkę i przez chwilę przyglądał się wnętrzu kajuty. Potem wrócił do kuchni.

— Po co? A czy to dziś ma jakiegokolwiek znaczenie? — podjął rozmowę i skrzywił się. W grymasie tym był prawie piękny. Twarz jego była spokojna, w nastającym mroku nie było widać piegów, głos był równy i też spokojny.

— No, so *long, Jeff* — wyciągnął rękę do mechanika. — Dziękuję ci, *Pommy*...

— Żal mi ciebie — szepnął Jeff, przestępując z nogi na nogę, jak gdyby stał na rozżarzonych węglach.

— Żal? Żal, człowieku, to najdrańciwsze uczucie. Daj sobie spokój, Jeff, przestań o mnie pamiętać. *See you later, aligator*...

— Tak, żal mi ciebie... — powtórzył Jeff.

— Żal? — Donald odłożył worek i usiadł na krawędzi stołu. — Nie zgrywaj się, *Pommy*. Wiesz dobrze co będzie. Złapią mnie, wsadzą do kizia, może powieszą. Na sądzie pogmerają się we mnie, będą wszystkiego chcieli

dociec, będą bawić się w mądre rozpoznawanie urazów, w doszukiwanie się ich źródeł w mym parszywym dzieciństwie, te stare pierdoły sędziowie będą kiwać perukami, ludek będzie o mnie czytał w brukowych pismach, pęczek dziennikarzy zarobi trochę forsy na moim procesie i w końcu wlepią mi 20 lat, albo powieszą. Bo zbrodnia była bestialska, a co gorzej głupia i niepotrzebna. Jeszcze najlepiej by zrobili, gdyby mnie zaraz po ujęciu ten zasrany Bill powiesił na miejscu. Człowiek w ogóle nikomu nie jest potrzebny, a co dopiero takie bydlę jak ja. Świat dalej sobie pójdzie swoją drogą, jednym będzie dobrze, innym źle, jedni będą naciągać, a drudzy będą naciągani, będą ludzie kochać się, nienawidzić, żreć o byle co, o forszę, przez plotki, o babę, o głupstwa. No i co?

— Jakto: no i co? — zdenerwował się Jeff. — O co ci chodzi?

— O nic. Jeszcze trochę pobawię się z nimi, niech czują się stróżami bezpieczeństwa, niech biegają zaaferowani, niech się bajerują, że są podporami ładu.. I ten Bill, co hierze łapówki. I ten Walter, co nie dolewa piwa do pełnego, a od Luizy brał dawniej procent za nasłanego jej klienta, turystę lub komiwojażera. Bo i turyści i komiwojażerowie lubią spać z babą, kapujesz? I ten stary Bvrne, co — o czym pewnie, zarazo, nie wiesz — wozi tu na boczku opium do Smithton. I ten kleptoman z dobrej rodziny Thomas. I ci rybacy z portu, którzy nacinają *Taxation* i nie wykupują licencji. Tak, Jeffuniu, jeszcze trochę dam im okazję, by się czuli stróżami bezpieczeństwa, ładu i moralności, sprawiedliwości i innych bajców. Pozwólmy ludziom, niech się czują wspaniałymi. Szukając mnie zapomną o swych niedostatkach natury moralnej, oczyszczą się trochę ze swych brudów we własnych kaprawych oczkach. O, jeszcze pobawię się ździebko z tą ferajną.

Jeff zbliżył się doń konfidencyjnie i zerknąwszy tajemniczo wkoło, jak gdyby w obawie, że go ktoś może posłyszeć, szepnął:

— Donald, jeśli chcesz, to dam ci cjankali...

Mewy kwiliły, od wody szły pierwsze powiewy nocy, chlupała woda obmywająca burty. W nadbrzeżnych szuwarach odezwały się żaby.

— Wiesz — ciągnął dalej Jeff, płacząc się trochę w zdaniach — od tego czasu, co wam opowiadałem, pamiętasz?, ach, no to zawsze mam troszeczkę cjankali. Rozumiesz? Pamiętasz tę historię z Herbertem? Jeśli chcesz, to dam ci kapsułkę. Połkniesz i już. I masz cały przeogromny świat gdzieś.

— Odknaj się z twoją zarzyganą cjankali, gonokoku — warknął. — Sam zażyj; będzie jednej szmaty na świecie mniej. Fruwaj w podskokach gnojku. Ale już, ślepak, precz mi z oczu, bo skaleczę...

Anglik cofnął się przerażony i bąkał coś pod nosem.

— Znikaj mi z oczu, ty swołocz, ty łajno cichutkie, ty bucu wpuszczony w skarpetki! Zrobiłem świństwo, ale ja za to zapłacę pełną cenę, *understand?* Niech oni mnie skazują, niech mnie uśmiercają, to ich prawo, rozumiesz? Zamordowałem tę biedną i porządną kurewkę, owszem: zabiłem, to była chwila i faktu tego nie odmieni żadna skrucha, żaden żal; gównu z żalu przyjdzie. Zrobiłem świństwo, ale ja za to płacę pełną cenę. Tego jednego wymagam od świata i ludzi: niech robią co chcą, ale niech nie wymigują się od pełnej taryfy... Za dużo ulg i machlojek na tym parszywym świecie, za dużo wyprzedaży po niżonych cenach, na raty, za dużo odwołań, brania pod pic i pod łezkę. Nie ma targu, jest pełna cena.

— Ty jesteś religijny? — płaczliwie spytał Jeff.

— Religijny? Mało to jest ziemskich strachów, że bym się bał jeszcze pozagrobowych? Zresztą nawet te ziemskie strachy miałem gdzieś, to mam się może bać tamtych? Nie wiem, czy jestem religijny, jestem zwykły bugger. Odpieprz się zresztą stąd: idę.

Zarzucił sakwę na plecy, uśmiechnął się nieledwie, klepnął mechanika w ramię i odbiwszy się od burty, wyskoczył na molo. Ponieważ była pora odpływu, skoczył prawie yard w górę.

— *So long, Jeffy* — machnął jeszcze ręką. Obejrzał się, poprzez olinowanie „Diany” zerknął na chmury nad drugim brzegiem delty — czy będzie pogoda? — i tyle go było widać. Za jego wzrokiem i Jeff popatrzył na chmury i pomyślał, że już niewiele widać w mroku. Za chwilę Donald powrócił i z *jetty* krzyknął:

— Przepraszam kucharza za tę forszę. Musiałem ją gwizdnąć. Niech mu wypłacą z mego konta w *Southern Steamship Co.* Sam i tak nie mógłbym już tego zrobić, już tej forsy nie podejmę. Przyszedłem też tu dlatego, abyś, gdyby coś ze mną się stało, mógł w sądzie zaświadczyć, że przyznałem się do zbrodni i kradzieży, że nic nie kręcę.

— Donald! Zostań tu — zawołał Jeff. — Zaraz chłopcy wrócą. Po co ci się po nocy włóczyć? Zostań!

— Ani mi się śni! — zaśmiał się tamten z mroku.
— Jeszcze się pobawię troszkę z tymi sierotami...

Okolo dziesiątej wieczorem uznano, że nie ma sensu dalej chodzić po lesie i odwołano obławę. Walter zaprosił wszystkich ochotników na przekąskę do swego hotelu. Poszli tam rozradowani, choć zmęczeni: czuli się jak po pikniku. W hotelu czekali na nich trzej policjanci, przybyli z Burnie białym Customline’em, przeto Bill zdecydował się na wejście do *pubu*, mimo, że minęła już dziesiąta. Był tam również dziennikarz, który nadleciał helikopterem z Melbourne. Sprawa „Eureki”, a teraz znów morderstwo, dokonane przez jednego z bohaterów tamtej katastrofy, pobudzały wyobraźnię czytelników. Na uratowanych Norwegów, którzy z „Eureki” dopłynęli szalupami do Wyspy Trzech Hamaków, ogłoszono zbiórkę. Zaraz też zaczęły się sypać listy i dzwonić telefony od czytelników, domagających się, aby także zbierać i dla tych, którzy próbowali

„Eurekę” zaciągnąć do Queenscliff. Przesyłano czeki i datki, a teraz zdarzyło się to morderstwo. Wyobrażnia więc czytelników była naprawdę pobudzona. „Herald” miał o czym pisać, ludzie o czym mówić, na nowe wydania czekano na placyku przed drukarnią „Heralda”, trzeba więc było posłać własnego wysłannika do Smithton.

Północ już dawno minęła, kiedy Andy wyrwał się z grona podochoconych mężczyzn, zachwyconych sobą, przygodą, dziennikarzem, który ich fotografował, przymilał się o szczegóły, gadał, sypał kawałami, stawiał piwo i ciągle notując, wypytywał się o nowe szczegóły. Smithtonianie poczuli się oto w centrum zainteresowania. Pochlebiało im to, że o ich miasteczku piszą gazety, mówi radio. No, nareszcie coś się tu dzieje, coś co interesuje całą Australię, a nawet może i Nową Zelandię. Uderzała im ta sława do głowy, niemal uwierzyli, że są bohaterami. Jeden przez drugiego się chwalił, coś jeszcze wysupływał z pamięci, inny go odpychał, aby samemu powiedzieć coś zupełnie innego notującemu wszystko dziennikarzowi. Tym właśnie znudzili kucharza. Ponieważ kucharz w swym ostatnim europejskim wcieleniu sam był dziennikarzem, więc z początku obserwował reportera z pewnym zainteresowaniem. Po jakimś jednak czasie doszedł do przekonania, że ma do czynienia ze zwykłym pętakiem od kryminalnych Michałków. Żaden porządny dziennikarz nie ruszyłby się w samo Boże Narodzenie, wszyscy są teraz na urlopie. Posłano więc jakiegoś młodzika. Kucharz obserwował go, jego przeświadczenie o własnej ważności, taniutki i nieudolne wysiłki, aby zaimponować miejscowym mieszkańcom, nadętą minę i ciągle powtarzanie: *tak, to bardzo ważne, powoli panowie, ja nie jestem dalekopis*. Kucharz uśmiechnął się do młodzieńca z wyrozumiałością: co bracie zalewasz ni w pięć ni w dziewięć o dalekopisie, wreszcie machnął ręką i podeszedł do ponurego typa, pilota, który tu przywiózł dziennikarza helikopterem. Tamten stał w kącie i spuszczał w przeliku whisky, krzywiąc się przy tym pogardliwie, jak gdyby odrabiał pańszczyznę. Ponieważ nikim się nie interesował, wszyscy skupili się wokół dzien-

nikarza. Pilot stał w kącie, nic go nie obchodził gwar głosów, czasem tylko dawał żonie Waltera znak, aby mu dołała whisky. Andy podszedł do niego i spytał:

— Pana to nie interesuje?

— A pana?

Kucharz uśmiechnął się i nic nie powiedział. Już nauczył się, że i tak by mu nie uwierzyli, gdyby przyznał się, iż sam był również dziennikarzem. Braliby to za przechwałki, zwykłe emigranckie przechwałki. Wśród emigrantów jest sporo blagierów, ot, różnie na człowieka działa napór nowej rzeczywistości i kontrast ze starą. Przez chwilę chciał opowiedzieć pilotowi, jak sam we Francji robił reportaż z katastrofy górniczej w Masywie Centralnym, ale powstrzymał się od tego.

— Nie — wzruszył ramionami wstawiony pilot. — Już przyzwyczaiłem się do tego, że zawsze dzieje się coś godnego tego, abym leciał z jakimś reporterem. Zapamiętaj sobie pan: *zawsze coś się dzieje*. Mnie interesuje whisky.

— Pan powinien być trzeźwy — zauważył ubawiony kucharz.

— A owszem, jutro będę — zapewnił pilot. — Nie odlecimy stąd prędzej, niż jutro po południu, to jeszcze się wyśpię. I będę trzeźwy. Może polecimy nad ten *bush-fire*, ale o ile to będzie duży pożar lasu, taki z ofiarami i stratami idącymi w setki tysięcy funtów, a nie jakiś tam nędzny pożarek, który sam wkrótce się dopali. Nas drobiazgi nie obchodzą, *dear sir*.

— Trochę zgrywa się pan na zblazowanego — pokiwał głową Polak.

— Nie, *dear sir*. Co gorsze, taki już jestem. Przesyt, drogi panie, ot co panu powiem. *Déformation professionnelle* — dodał okropną francuszczyznę. — Po co jednak ten chłopak zabił tę prostytutkę?

— Bo mu odmówiła. Nie chciała z nim spać.

— I za to, mój Boże, ją zabił? — ryknął zdrowym śmiechem. — Ależ to dureń! Małoż to bab na świecie? *What a bloody stupid bugger!* To podobno recydywista?

— Siedział, ale za bójkę. To porządny chłop — tłumaczył kucharz — dosyć koleżeński, prymitywny wprawdzie, ale nie zakłamaný i nie wazeliniarz. A to coś jeszcze znaczy na tym parszywym świecie.

— Podobno panu ukradł pieniądze, jak słyszałem.

— Owszem, widocznie musiał. Nie mógł uciekać bez pieniędzy.

— I to pan tak mówi? Poszkodowany?

— Nie uwierzy pan — Andy zajrzał w siwe oczy pilota — ale mam głębokie przeświadczenie, że on mi tę forszę kiedyś zwróci.

— Dziwny z pana facet — podniósł szklankę pilot. — Pańskie zdrowie! *Bottom up!* Ej, wy Polacy, wam ciągle się wydaje, że własne głębokie przeświadczenie to coś znaczy, że ma wagę argumentu. Latałem z Polakami podczas *Battle of Britain*.

Wypili i wkrótce potem Andy wyszedł. Było już dobrze po północy. Krzyż Południa błyszczał na niebie, jak sztuczne perły. Cała ta konstelacja byczo się nazywa — pomyślał — chociaż jest niewąsko przereklamowana.

Zmęczenie i whisky sprawiły, że był osowiały. Tasmania? Donald? Luiza? Obława? Na Boga, co ja tu robię? Kto tu tak narozrabiał, że ja jestem w Australii i szukam Donalda, który zabił puszczałską Luizę, że chodziłem po lesie, zaglądałem za krzaki, odchylałem gałęzie, nawoływałem się w buszu z kolegami (z kim? z kolegami? jacy to koledzy?) podczas gdy we mnie biesiły się wspomnienia Drohobycza, świąt, matki.

Kto *wtedy* mógł myśleć o Australii, kto mógł przypuszczać istnienie takiej „Diany”? I kto mógł wiedzieć, że na tej „Dianie” kucharzem będę ja? — myśli Andy i wybucha śmiechem. — No, właśnie, kucharzem, w pepitkowych spodniach jakie noszą kucharze we wszystkich operetkach i komediach muzycznych. Kucharzem — zaczął podśpiewywać — *Kucharzu, czy ci nie żal?* Ech, życie to wesołe miasteczko. Rzuci człowieka w jakiś kąt świata i potem człowiek zostaje tam siłą bezwładu, czasem z wyboru, czasem z przekory do samego siebie, czasem sam nie wie dla-

czego, najczęściej o tym nie myśli, bo i po co? Życie już tak jest przemyślnie urządzone, że wszędzie trzeba najpierw na nie zarobić: papu, a potem fidrygałki. Gdziekolwiek się nie obrócisz, d... zawsze będzie z tyłu. Kropka. Zapisz to sobie chłopcze i opraw w ramki nad koją. Żaden Heraklit z Efezu tego nie wymyślił, a kapral Fida z Uściługa. Co też teraz może być z Fidą? Gdzie jego cholera poniosła?

Warto by napić się wody, pali go pragnienie i zmęczenie. Włazłby gdzie do ogródka i odkręcił hydrant, ale nie pójdzie. Nie. To by było *trespassing, my home is my castle*. Jeszcze pomyślał, że złodziej. Iiii... wytrzyma już do statku. Zapalił papierosa. Ha, pomyślał, papierosy się kończą, jeszcze jeden powód, by wrócić na statek: ma tam w kuchni kilka paczek. Zaciągnął się dymem, poczuł ostry smak nikotyny w płucach, uspokoiło go to.

Za dużo piłem — myśli i mruczy do siebie przestrozę: uważaj, nie pij za dużo. *A ja jestem kucharz Andrzej i się pławię w hecnej chandrze*, — podśpiewuje na melodię „Nie dbam jaka spadnie kara”. Ubawiło go to, kiedy uzmysłowił sobie na jaką melodię nuci. To „się” mi się nie podoba. Nie powinno być: *i się pławię*. Eeee, co sobie głowę zawracasz — strofuje się — za dużo wypiłeś”.

„Chodziłem po tym marnym buszu a w oczach plątały się mi obrazy wysłizganej łożami sań drogi do Medenic. Skrzwło się na niej zimne słońce mroźnego popołudnia. Białe pola, wrony nad polami, dymy chałup wplatające się w koloryt wieczoru. Ciężkie miedziane niebo i fioletowe blaski słońca zapadającego się poza lasami. Chandra? Owszem. A jednak — gdyby człek umiał być obiektywny — Australia to piękny kraj. Krajobrazy? W dechę. Klimat? Niezły. Tyle, że inny. Ale do wszystkiego można się przyzwyczaić, a nawet polubić. Zarobić? Można. Więc co? Dobrze tu czy źle? *Ani tu dobrze ani źle, w tym sęk, że starzejemy się* — przypomniła się mu piosenka z polskiego kabaretu w Melbourne. Z drugiej strony to też prawda, że wszyscy, niepisana konwencja nauczyliśmy się stękać i narzekać. Po prostu wpada, aby tęsknić, aby zalewać się łzami i odstawiać latarnika. Każdy z nas

lubi te brawa i misteria, jakie w jednoosobowym teatrze gramy sami przed sobą. Żeby tak można wyzwolić się z tej manieri? Czy emigrant nie może być szczęśliwym człowiekiem? Owszem: tęsknię, ale mnie do Polski nie ciągnie. Chętniej pojechałbym do Francji, na stare śmieci. Moje polskie stare śmieci już nie istnieją, Drohobycz został dalej i nieprawdziwiej niż w złej bajce, nie ma już dawnych ludzi na tamtych miejscach. A we Francji jeszcze mógłbym sprawdzić me wspomnienia. Owszem: tęsknię tu, ale też jakąś częścią świadomości wiem, że wrosłem w to życie, że się doń przyzwyczailem, a jaka jest ludzka *capacity* do przyzwyczajania się ciągle do czegoś innego? W Polsce nie tęskniłbym za Polską, ale denerwowałyby mnie różne braki, prymityw, chamstwo, a własne rodzime, chamstwo boli najgorzej. Tęskniłbym też za podróżami, za młodością, a że moja młodość i wiek męski upłynęły poza Polską, to czyja wina? Wniosę protest do gazowni miejskiej w Kłaju o to, właśnie o to? Ech, życie nie malina...”.

Przypomniął mu się dziennikarz. Ale ważniaka odstawiał, obnosił się ze swym *flashem*, jak kura z jajem. „A może mi trochę zazdrość? Że facet żyje innym życiem, życiem do którego się przygotowywał i w którym każdy dalszy etap jest konsekwencją i kontynuacją poprzedniego? Że nie ma u niego takich dziur, jak u nas? Zazdrość? Chyba nie. Jakkolwiek wydawać się to może nonsensem i zgrywą, jestem zadowolony z życia kucharza. Oprócz goryczy i czasem złości nie wiadomo na kogo i nie wiadomo za co, nie opuszcza mnie i duma, że żyję życiem robotnika. Ja, socjalista, żyję jak robotnik, a ci co w Polsce zgrywają się na dziennikarskich posadach i okłamują się nawzajem swym rzekomym socjalizmem, nie umieliby być robotnikami. Będą się wazelinować, sprzedawać, byle tylko być na górze i uniknąć losu robociarza. Heca, co? Nie żyję u siebie, nie wykonuję zawodu, o którym marzyłem i do którego się przygotowywałem, życie prywatne też nie obeszła się ze mną łaskawie, ale na jeden luksus mnie stać: sam siebie nie okłamuję i mogę mówić i robić, co mi się

chce. Jestem naprawdę wolny. Nawet, żeby to miała być wolność zasrania sobie samemu życia. Zawsze chciałem poznać życie od dołu, od spodu, od podszewki, nie od biurka i wazeliny, nie od strony podlizywania się i bajeru: od flaków. To mnie interesuje i to jest mój drugi luksus. Heca, co? W Polsce jako dziennikarz miałbym zawistnych, wrogów, a tu? Nikt mi pozycji kucharza nie zazdrości, nikt mi jej zawiścią nie zażabia. Żyję wśród prostych ludzi, Australijczycy nie są nieżyczliwi, te wyrzutki na „Dianie” są nawet dość odczytane i niegłupie, choć nieraz takie typy, że dawniej nie mógłbym ani podejrzewać istnienia podobnych. Guzik ich obchodzi polityka, nikt też ich pod pic nie bierze, o przyszłych pokoleniach nie mówią, dość, że im zostawia sporo. Każdy z nich żyje na swój sposób, a ojczyznę pojmują tak, aby im wszystkim było dobrze, żeby mieli prawo popyszczyć, żeby mogli ze swym wolnym czasem robić, co im się żywnie podoba.

Święta. Mój Boże: święta, Haneczka pewnie już śpi szczęśliwa szczęściem dziecka, które pod choinkę otrzymało prezenty od tatusia. A ja co? Chodziłem po lesie, wyparowywałem wczorajsze pijaństwo, myślałem o domu rodzinnym, którego już nigdy nie będzie, zastanawiałem się, czy zupa pomidorowa nie skwasi się na blasze. Muchy, komary, spocone pachy, obrzękłe od upału palce. Boże Narodzenie? Fajną miał mordę ten pilot w barze. Ech, pójdę na statek, przyłożę głowę do przybrudzonej poduszki. Niech już — jeśli muszą — męczą mnie sny, a nie jawa. Sny. Ciekawe, co też mi dziś się przyśni? Może ja, stojący na pustym i pobombardowanym placu przed katedrą w Kolonii? Może ja na wyścigach w Monte Carlo? Kto wtedy wygrał? Ruggieri. Trintignant i Levegh, Sommer i Behra, kto jeszcze brał udział w tych wyścigach? Miałem dobre miejsce na trybunie. Prasowa trybuna. A może przyśnią się mi jasełka? Byłem przecież raz trzecim królem Baltazarem na jasełkach u siostr. Klasztor ich był zaraz płótem od naszego domu”.

Nagle przystanął: Jasełka?

— Jest Boże Narodzenie, a więc w kościele powinna być szopka. Ale o tej godzinie kościół na pewno jest zamknięty. Zamknięty? Spróbuj!

Pomysł zobaczenia szopki właśnie teraz bardzo go ubawił i podekscytował.

— To ci heca — mruczał — że mi to akurat teraz do głowy przyszło. Pokolęduję sobie. Ech, piękne mamy kolędy. Jaką sobie teraz zaśpiewasz, Jędrusiu, a może tę: „Gdy piękna panna”? Albo tę, którą matka lubiła najwięcej ze wszystkich: „Hej w dzień Narodzenia”. Pokolęduję sobie, niech mnie drzwi ścisną, solo, swym chropowatym i zardzewiałym tenorkiem. Solo, noc, pusty kościół, wokół obcość, a ja będę śpiewał kolędy.

Bardzo mu się ten nagły pomysł podobał. Opuściło go zmęczenie, nie czuł już pragnienia, odmłodził.

Kościółek nawet z zewnątrz śmierdzał suchym drzewem i nagrzanym w ciągu dnia lakierem. Pod samym kościółkiem było jeszcze ciemniej niż na ulicy. To jednak szczęśliwy zbieg okoliczności: boczne drzwi ustąpiły pod naciśnięciem klamki. Wewnątrz ciemność utkana była w gęstą ciszę, pachniał воск i więdnące kwiaty, oraz kurz i nagrzane sprzęty. Migotliwa lampka wieczysta przed głównym ołtarzem rozszarzała ciemność w jednym miejscu. Andy wyjął z kieszeni latarkę elektryczną, którą zabrał był na obławę i promieniem światła opukiwał wnętrze w poszukiwaniu szopki. Przed bocznym ołtarzem światło jego latarki wywabiało z ciemności kolorowe figurki z gipsu, i papier maché. Były naiwne i proste, miały jednak w sobie dziwny i zniewalający wdzięk. Podeszedł bliżej i przyglądał się im z rozrzewnieniem. Powoli wszakże rozrzewnienie bledło, zanikało. E, w Drohobyczu szopka była inna. Tu grube płótno, zamoczone w cemencie, nieudolnie naśladowało grotę, niewprawna widać formowała je ręka, gdyż bloki imitowanej skały wydawały się zbyt duże w proporcji do postaci. Uśmiechnął się z politowaniem: gdzie tu mogłaby być szopka ze strzechą ze słomy, albo krakowska szopka z wieżami, pastuszkami w kierezjach, mnącymi w rękach rogatywki z pawimi piórami? A gdzie kolędni-

cy? Rozjęczy się pozytywka i będzie wygrywać na cymbałkach jedną z tych czterech kolęd, jakie mają Anglosasi i co? A gdzie te ludowe kolędy, te pastorałki, a przyspiewki, radosne i frywolne, niefrasobliwe i takie swojskie?

Był i pijany i trzeźwy, był i w Drohobyczu i w tym nędznym Smithton i we wszystkich miejscach swych wigilii, spędzonych poza domem: w niewoli, w partyzantce, w więzieniu Gestapo, u znajomych, u nieznanym, nawet na zbieraniu moreli pod Mildura, nawet w szpitalu, ze ślepą kiszka. Ach, ileż było tych wigilii?

— Andy — usłyszał poza sobą szept — to ja, Donald.

Donald musiał powtórzyć kilka razy te słowa, zanim dotarły one do świadomości kucharza. Odwrócił się do marynarza i patrzył nań jak nieprzytomny. W oczach miał łzy.

— Ech, baba jestem — mruknął po polsku i otarł oczy chusteczką.

— *What do you say?* — niecierpliwiał się Donald.

— Ach, wybac — kucharz uśmiechnął się z zażenowaniem — gadałem po polsku. Wydawało mi się, że jestem w Polsce.

Obaj trzymali w rękach zapalone latarki, skierowane w podłogę, aby światło nie raziło ich oczu. Mierzyli się wzrokiem w półmroku, nie padło więcej żadne słowo. Przed kościołem przechodziła grupka marynarzy z „Diany” wracali z baru na statek, rozmawiali głośno i dowcipkowali. Zgasili więc latarki i stali obok siebie w ciemności. Później znowu rozległy się czyjeś głosy i kroki, umawiano się, że o szóstej rano wszyscy spotykają się przed *Police Station* i znowu wyruszą na obławę. Głosy rozplynęły się w nocy a kroki odeszły w dal.

— Słuchaj stary, — zaczął Donald — ja ci tę forse lepiej zwrócę. Zapal światło, przelicz. Mnie już nie będzie potrzebna. Słyszysz? Przepraszam, że ci ją podiwaniłem. No, bierz. Nie wydałem nic. Nie było gdzie.

— Co zamierzasz dalej zrobić? — kucharz zapalił latarkę i przybliżył ją nieco do Donalda, ażeby lepiej zobaczyć jego twarz.

Donald odsunął rękę kucharza z latarką i mruknął:

— Zgaś to. Chodź na papierosa. Siedzę tu od kilku godzin, chcę mi się palić, jak cholera... I pić...

Wyszli. Donald poczęstował kucharza jego własnymi papierosami, zabranymi z kuchni, o czym ten nie wiedział. Napili się wody z hydrantu. Zapalili, a potem usiedli w wysokiej trawie za malutką zakrystią.

— Trzeba uważać na niedopałki — powiedział Donald. — Kościół spłonąłby w parę minut.

Z worka wyjął puszkę konserw. W blasku gwiazd kucharz poznał puszkę *Corned-Beef* z „Diany”.

— Na tym będziemy dusić sztrumle — wyjaśnił Donald.

Palili w milczeniu, patrząc w wysokie niebo, już jak gdyby mętniejące nieco przed brzaskiem. Z oddali poszczykiwały psy, gdzieś bliżej grał patefon, widocznie w jakimś domu tańczono, gdyż za melodią przylatywały czasem zgęszczone echa głosów. Za płotem szeleściły sucho palmy i obłędnie grały cykady.

— Posiedź ze mną do rana — powiedział Donald — a potem odprowadzisz mnie na policję. Wolę tam nie iść sam. Bo gdyby Bill chciał mnie uderzyć, to musiałbym go zadusić jak szczenię, albo dźgnąć fińskim nożem, a już mam dość rozrabiania. Niech mnie aresztuje, niech nakłada kajdanki i niech dzwoni do Lancefield. Ale niech w żadnym wypadku nie próbuje mnie bić, bo skoczę mu do gardła i marna będzie jego godzina. Niech też nie umoralnia mnie kazaniem, gdyż zgłaszam się z dobrej woli i nie mam nerwów na kazania. Dlatego pójdziesz ze mną, dobrze?

Znowu palili i milczeli przez jakiś czas. W pewnym momencie kucharzowi zabrakło papierosów, zaczął szukać po kieszeniach i mrużyć coś po polsku.

— Proszę cię, częstuj się — uśmiechnął się Donald — i tak podwędziłem je z twej kuchni. Byłem na statku. Widziałem Jeffa. Miał chyba pełne portki strachu, ale jeszcze gotów był odstąpić mi trochę cjankali, obrzyganiec. Musi mieć niewąskiego hyzia na tle cjankali.

Kucharz zaśmiał się cicho, ale nic nie powiedział. Wziął papierosa i wsadził go w usta.

— Wiesz? — ciągnął Donald, podając mu ognia. — Dawniej, kiedy myślałem o śmierci, skłaniałem się raczej do tego, że chyba kiedyś popełnię samobójstwo. Młodość jak mówią, często myśli o samobójstwie. Tak sobie kombinowałem: mając pięćdziesiąt lat, może mniej, u szczytu sił i zdrowia, aby zaoszczędzić sobie i bliskim, (bo i ja nie wykluczałem, że będę miał jakichś bliskich, a jak się okazuje, nie mam) tego ponurego widowiska i niewygody z takim zasmarkanym starcem, któremu już to i owo płacze się w rozmięklej głowinie; mając więc pięćdziesiątkę rąbnę sobie w kalarepę i po krzyku. Ale teraz to już sam nie wiem co mądrzejsze: żyć, czy odejść. Myślę, że człowiek bardzo jest przywiązany do życia, tym więcej, im śmierć staje się możliwsza. Heca, co?

Pamiętam, kiedyś w Melbourne jechałem tramwajem. Siódmką. Na Prahran wsiadali ślepcy w podniszczonych ubraniach, jak wiesz jest tam Instytut dla Ociemniałych. Jechałem chyba wtedy do tatuazu. Oczy ich były puste, mętne jak nieświeże jaja, gdy je rozbić. Odzież mieli podniszczoną, staroświecką i brudną; no, jasne, przecież sami nie mogą o nią dbać, a inni robią to na odtrąbiono, bo nawet najbliższym trudno stale kochać kalekę i dać mu wszystkie starania. Ślepy i tak tego nie widzi. Dobroduszna konduktorka rozmawiała z nimi, znała ich po imieniu, pomagała im wysiadać. Ten moment, kiedy ślepy opuszcza tramwaj i staje bezbronny, sam jeden przeciwko całemu widzącemu światu, na wstędze asfaltu od wozu do chodnika — ugrzązł mi nie wiem czemu najgłębiej w pamięci. Za ślepcami szły pełne niepokoju spojrzenia innych pasażerów, śledzących z napięciem każdy krok tych nieszczęśliwych. Lecz gdy tylko niewidomi dobrnęli bezpiecznie do chodnika, gdy domacali się ręką i dopukali laską gdzie są, towarzyszące im spojrzenia widzących od razu się z nich wyłączyły, znowu stały się po ludzku niewidzące i obojętne.

Donald otarł czoło z potu, poprawił się, obróciwszy się w trawie na drugi bok. Przez chwilę milczał i patrzył na Polaka jak gdyby oczekiwał od niego pomocy. Polak ułożył się w trawie na wznak i palił spokojnie papierosa. Co jakiś czas odwracał się do puszki i na jej wgłębienie strącał popiół. Wiedział, że milczący zwykle Donald teraz musi mówić.

— Tym samym tramwajem — ciągnął Donald — jechała też para innych staruszków. Byli uśmiechnięci, znasz taki uśmiech na wszelki wypadek: trochę rezerwy, trochę zażenowania, trochę bojaźni, że nie zrozumieją, lub nie dosłyszczą co się do nich powie, a wtedy ich uśmiech staruszków-emerytów uratuje sytuację. Ona była w zielonym płaszczu, siwa, pomarszczona, tak jak spłwiała materiał, co po wielu praniach zbiegł się znacznie. On trzymał na kolanach podniszczoną siatkę z owocami i paczkami, uśmiechał się do niej, w oczach jawiły się mu śliskie łyzy, w uszach miał kępki zarostu, kołnierz koszuli był wytarty, ale czysty. Trzęsącymi się rękami co chwila sprawdzał, czy nie zgubił biletu, siatkę przekładał z kolana na kolano, z nosa mu ciekło, więc odkładał siatkę i zaczynał szukać chusteczki, a bojąc się, że za daleko zajada, kręcił się niespokojnie, zerkając czy to już, czy nie trzeba wysiadać. Gdy tak się kręcił, z siatki wypadły mu mandarynki. Chciałem mu pomóc w zbieraniu, lecz staruszek się zaczerwienił, w szparkach oczu pojawiły się błyski nieprzytomnego strachu, widocznie bał się, że mu zechcę ukraść owoce, palce jego były suche, szponiaste, pokryte wysypką. Cofnąłem się więc speszony, a konduktorka pozbierała mu pogubione mandarynki. Mój Boże, myślałem, że mnie wtedy szlag trafi. Palił mnie wstyd i aż mnie w środku kłuło z żalu, złości, współczucia dla tego emeryta, i lęku, że i mnie może czeka taka starość. Starość to też kalectwo, pies mi w grób siusiał. Wtedy to umyśliłem sobie, iż skończę samobójstwem. Wracalem od jednej dziwki z Camberwell, zmęczony i syty jej i jej pieszczot, wyżęty z żądzy i młodości, senny, otępiały i zgliwiały, może nawet zniechęcony, a jednak wiedziałem, że najle-

piej umrzeć w kwiecie wieku, przerwać pieśń, kiedy jeszcze brzmi na całego. By oszczędzić innym i sobie tej ponurej, schorowanej, zniedołężniałej starości. Naser mater — myślałem — sam skończy ten bajc i elektromontaż, tak będzie najmądrzej. Nic nikomu nie będę winien, nic od nikogo nie będę potrzebował, trącał to pies... A jednak dziś? Powiedz, czy starość może mieć radości, czy i w tym okresie życie przedstawia jeszcze jakiś sens i urok?

— Nie wiem, chyba ma. Trzeba umieć je znaleźć, bo ja wiem? — kucharz podrapał się po torsie. — *The trouble is*, że ja jeszcze nie byłem stary, więc nie umiem nic miodajnie na ten temat powiedzieć.

— Przecież jesteś starszy ode mnie — zdziwił się Donald.

— Niestety i to prawie dwa razy. Gdy byłem w twoim wieku czterdziestoletni mężczyźni też wydawali mi się starcami. *Funny, isn't it?* Zawsze są młodszy od ciebie i starsi od ciebie, mocniejsi od ciebie i słabsi od ciebie. Największy kozak i zabijaka znajdzie kiedyś jeszcze większego zawalidrogę od siebie, najmądrzejszy facet natknie się zawsze na jeszcze mądrzejszego od siebie, czasem tylko trudno znaleźć głupszego od siebie, ale do tego ludzie na ogół się nie przyznają. Najtrudniej to właśnie wiedzieć, kiedy się napatoczysz na mocniejszego. Niby to proste, a takie niełatwe. Gdyby ludzie zdawali sobie z tego sprawę, uniknęliby wielu kołomyjek i smrodków. — ziewnął. — Tak, Donald, życie nie malina...

Znowu trzasnęła zapałka. Donald zaciągnął się i z uwagą popatrzył na jasnozieloną smugę brzasku, kładącą się nad lasem w kierunku na Burnie. Zakwiliły jakieś ptaki, przez trawę szły chrzęsty i szmery, wietrzyk strząsnął rosę i zafalował kiściami mimoz. Zegar na wieży Shire Hall'u wybił czwartą. Przez chwilę podnieśli uszy, zdziwieni, że dotychczas nie słyszeli zegara, który przecież musiał bić co godzinę. Od morza szumiał przypływ.

— Zmienia się wiatr — pokiwał głową kucharz.

Milczeli i obserwowali chmury na niebie. Wschód widnokregu był teraz brudnoróżowy, lecz jaśniał z każdą

niemal sekundą. Gwiazdy zbladły i rozcieńczały się w pobrzasku nadchodzącego poranka, pułap nieba obniżył się, kontury lasów i domów rysowały się ostrzej. Dniało. Śpiewało coraz więcej ptaków. Świturliły, tilipiły, kiwikały, czyrczyły, ćwirćwikały, pitupituliły jak orkiestra przed koncertem. Z niedalekiej kępy drzew zanosły się kookaburry skrzeczącym śmiechem, niby pijane i swarliwe przekupki, ptasia próba na chwilę ucichła, słysząc było tylko odległe rytmiczne terkotanie cykad i szum przykościelnych palm, wreszcie orkiestra ptaków zagrała równo, obficie i radośnie wśród świeżości i w akustycznej ciszy poranka.

— Tyle ptaków o świcie i tak pięknie śpiewają — pomyślał z zachwytem kucharz — więcej tego i ładniej świergoła niż gdzie indziej na całym Bożym świecie, niż po wszystkich kątach gdzie dotychczas mnie nosiło.

Słuchał, przenikał go zachwyt, rozlewał się w nim błogi spokój, prawie szczęście. Obserwował kwiaty *Christmas-Tree* na klombie za kościołem; cały ich krzak płonął czerwienią; niósł się odurzający zapach. Opodał były *frangipanni*. Co za zapach! Życie — filozofował — ma jednak w zanadrzu tyle nieoczekiwanego piękna. Ta jedna chwila wynagrodziła mu zmęczenie i chandry z poprzednich dni, zapłaciła mu za nie z nawiązką. Westchnął do Boga, by ustrzegł Haneczkę od podłości i brudów życia. „Pokaż i jej, że i *takie* chwile istnieją, pomóż jej być porządnym człowiekiem. Nie forsa, nie umiejętność kiwania innych, nie zaszczyty, ale taki zachwyt, ale cisza i czystość serca. To jej daj, Panie Boże, o to Cię proszę. Wszystko niech zdobywa sama, ale to jej daj. Bez tego ludzie to ślepcy”.

— Wczorajszy *bushfire* na wschodzie chyba już wygasł zauważył Donald. — Patrz, nie ma już tej burej zadymionej mgły nad tą stroną wyspy. *It's going to be a fine day...*

Andy pokiwał głową. Przebiegło mu przez myśl, że pilot nie będzie musiał lecieć nad płonący las. Wróci do Melbourne z tym pętaczyną, który będzie dumny, że z reportażu przywiózł taką interesującą story. „O co ci idzie”

— zżymał się sam na siebie — „niech chłopak się cieszy, ma prawo do satysfakcji. Tettryczesz Jędrus”...

Tak, wróć, a ludzie sącząc piwo wieczorem po *backyardach* robotniczych domków i w ogródkach will będą czytać o „Dianie”, „Eurece”, Donaldzie i Luizie, o takim jednym rejsie do Smithton, o obławie i co na ten temat powiedział miejscowy aptekarz, miejscowy pastor, miejscowy *publican* Walter i inni miejscowi notable. Niektórzy będą pasjonować się zbrodnią, inni oburzać, żałować, lub przerzucać artykuł o niej obojętnym wzrokiem, pewni, że im coś takiego nie mogłoby się nigdy w życiu przydarzyć. Jeszcze inni, żyjąc w normalnych i nudnych ramach swych egzystencji będą marzyć o przygodach na morzu i zazdrościć marynarzom taniego romantyzmu, jaki niewątpliwie będzie przebijał z reportażu „naszego specjalnego wysłannika”. Znajdą się i tacy, co z niesmakiem przerzucą wzrok z opisu morderstwa na sprawozdanie z meczu cricketowego, lub wyścigów na torze Flemington. Ach, życie... Najwięcej zaś będą japa ruszać o Luizie (moja pani, osiągnęła ją sprawiedliwość boska, a jakże!). Przez płoty *backyardów* rozmawiać będą sąsiadki, starsze babsztyłe ze *slumsów*, zaś dobrze utrzymane paniusie z bogatego Tooraku będą robić to samo, tyle, że rozparte wygodnie w fotelach i patrząc na przyciszoną telewizję. I niejedna młoda żona starego męża, kiedy za dwa dni zobaczy w telewizji urodzonego Donalda, pomyśli sobie, iż właściwie mogłaby się z nim przespać — ona by się nie broniła, jak ta idiotka, prostytutka Luiza — byle tylko nikt o tym nie wiedział. Bo pozory w naszej moralności i cywilizacji są najważniejsze.

Andy przyglądał się Donaldowi. Ten, odchylając przybrudzony już od przedwczoraj bandaż na lewym przedramieniu drapał się po tatuażu bardzo delikatnie bardzo brudnymi palcami. Twarz miał teraz spokojną i trochę głupkowatą.

— Jak to się stało, że zamiar samobójstwa wywietrzało mu z głowy i to w sytuacji, w której byłoby ono pozornie czymś logicznym? Czy jest to instynkt życia za wszelką cenę? Czy zrozumienie, że samobójstwo niczego nie roz-

wiązuje? Może to tchórzostwo, zmęczenie, brak odwagi przed tym krokiem? Ale niemałej też odwagi trzeba, aby stanąć oko w oko z odpowiedzialnością za swój krok, ze śledztwem i tysiącem pytań. Donald wie już co to śledztwo. Więc jak to jest z Donaldem? Czemu oddaje się sam w ręce policji? Jak on to powiedział? „Zrobiłem świństwo, życia już jej nie zwrócę, ale przynajmniej sam zapłacę pełną cenę za to”. A co mówił wtedy na „Eurece”, kiedy zgadało się o tej urwanej ręce i o odszkodowaniu za nią? Akurat coś przeciwnego. A może to nie było nic różnego, tylko to samo inaczej ujęte? Człowiek wierzy w coś, uznaje coś, rozeznaje jakoś, wyznaje coś, aż nagle widzi, gdy go ostatecznie przyprzeć do muru, że tamto wszystko *rubbish*, że to nie tak, że właściwsze jest co innego...

To tylko szanownym i godnym durniom z miast, siedzącym w normalnych uporządkowanych egzystencjach, sprawach i warunkach, wydaje się, że wszystko wiedzą o sobie, że bezbłędnie wiedzą jak postąpiliby wtedy a wtedy, że znają siebie, swoje reakcje i odruchy. Najbardziej bawi mnie to, gdy ludzie twierdzą: ja bym czegoś takiego nie zrobił, ja bym takiego uczynku nie popełnił, ja nie potrafiłbym być świnia. Tak, jak gadał ten stary bęcwał, skądinąd porządny chłop, Charlie. Ech, przyjdzie na człeka taka minuta, dwie, że nie jest sobą i potem wszystko inaczej już się układa. Szkopuł tylko w tym, że nie każdy potem poniesie odpowiedzialność, a konsekwencje narastają systematycznie i kiedyś przysypią niby lawina. Gdy przyjdzie płacić pełną taryfę, dopieroż zaczyna się kręcenie, bajerowanie, doklejanie motywów, naciąganie okoliczności, nadbudowa i retusz. Ten w miarę drań, w miarę porządny, w miarę głupi Donald nie popełniłby tej zbrodni ani w minutę później, ani w dwie wcześniej i oto jest zbrodniarzem na całe życie. I powiedzcie tu, że nie przypadek formuje człowieka... Ech, życie. Człowiek rodzi się pod znakiem Przypadku, nie jakichś tam znaków zodiaku, koziorożca, skorpiona, raka, czy innej fauny wyobrażeń, bajerów, kopnięć. Podobnie też umiera, cześć!

Donald ujął go za łokieć:

— Co z tobą, Andy? Zmęczony jesteś, *old boy*, co? Naprzód szukałeś mnie, i przedtem i potem piłeś, przebębniłeś, całą noc z takim *bastardem* jak ja i musiałeś się nasłuchać mych bzdur. *Never mind*, wkrótce się wyśpisz. A wiesz, co? Bycza była twa zupa pomidorowa, podjadłem sobie niewąsko w kuchni, rozmawiając z tym półkretynkiem Jeffem. Czy to zupa z puszeki?

— Uhm, z puszeki. Ale zaprawiłem ją trochę i podbiłem mlekiem z mąką, co zastępuje śmietanę.

— Dobra była, w sam raz słodka, w sam raz kwaskowata. W dechę.

Chwilę milczał, nagle parsknął śmiechem:

— W Pentridge, w ciupie, dają pomidorową zupę co niedzielę...

Melbourne 1958.

POSŁOWIE OD AUTORA

Ce n'est pas le mot qui me gêne, c'est la signification — powiedział kiedyś ulubiony przeze mnie aktor Pierre Fresnay.

Język polski, szczególnie dla Polaka na obczyźnie, to najczęściej skarb narodowy, spuścizna po ojcach, rynsztunek i konwencja, a dużo mniej — niż wždy u postronnych narodów — po prostu łącznik, środek porozumienia na co dzień i wyrażenia pewnej aury, czy środowiska. L'argot czy slang mają prawo obywatelstwa nawet u bardzo dobrych autorów i w utworach wyższej rangi niż mój „Rejs do Smithton”. Nie szokują one Francuza czy Anglosasa w tym stopniu, w jakim denerwuje polskiego czytelnika byle jędrne czy dosadne określenie, które znajduje w druku mimo tego, że wszyscy je rozumiemy i nieraz posługujemy się nim w mowie.

Ponieważ my nie mamy własnego argot zdecydowałem się, dla oddania atmosfery i realizmu dość specyficznego środowiska, na przetykanie języka literackiego wyrażeniami i powiedzeniami wiechowolwowsko-kapralskomarynarskimi. Nie jest to bynajmniej próba stworzenia argot, czy slangu, ani dorywcza antologia batiarskorubasznych słów, nie doszukujemy się w tym logiki, jest to tylko zamierzony środek ekspresji.

Ponadto w formie wyjaśnienia, a także acknowledgement podaję, że z podobnym wypadkiem, zatonięcia opuszczonej przez załogę francuskiej bazy wielorybniczej „Janina” na Morzu Północnym, spotkałem się w którymś z krajowych magazynów. Autora, ani nazwy magazynu niestety nie pamiętam. Statek poszedł wówczas na dno w 30 sekund. Natknięcie się na wspomniany reportaż sprawiło, że zaczęłą kiedyś nowelę zacząłem dalej pisać. Moje notatki leżały już w teczce kilka lat, gdy porzucając pracę kucharza na małym statku „Leedery” powróciłem do Melbourne i w poczekalni dentysty wziąłem do ręki ów magazyn.

STARY OCEAN

*Jackowi i Hani
gdy podrosną*

I.

Mężczyzna, który na mój dzwonek otworzył drzwi, od razu wydał mi się jak gdyby znajomy. Drzwi uchylił tylko na tyle, aby wysunąć na zewnątrz rudą głowę i taksując mnie pilnie swymi rozbieganymi oczkami, spytał:

— To w sprawie mieszkania?

— Tak, szukam pokoju — odparłem, zastanawiając się skąd ja mogę znać tego staruszka; bo wrażenie, że go znam, utwierdzało się we mnie z każdą sekundą.

— Pan samotny?

— Owszem, samotny — uśmiechnąłem się — kawaler.

— Pije pan?

— Jeśli nadarzy się dobra okazja. I palę. I lubię słuchać płyt gramofonowych. Pracuję przeważnie w nocy, a w dzień zwykle śpię, popołudniu siedzę w domu. Poza tym jestem trochę dziwakiem, jak utrzymują moi nieliczni znajomi. Już wie pan wszystko o mnie.

— A jakiej jest pan narodowości i skąd pan tu przyjechał?

— Jestem Polakiem. Ostatnie dziesięć lat pracowałem przy wydobywaniu ropy naftowej na Nowej Gwinei. Tu mam job w porcie. Ile ma kosztować ten pokój?

— Jestem Mr. Howard — przedstawił się. To znaczy: wyciągnął rękę i otworzył szerzej drzwi. Był w kolorowym, dość przybrudzonym szlafroku i starał się uśmiechnąć. Ale pomarszczona jego twarz jeszcze bardziej się skrzywiła, był okropnie, prawie urzekająco brzydki. — Proszę wejść!

Idąc za nim przez mroczny hall, znowu zastanawiałem się, gdzie już tę twarz widziałem. W korytarzu było ciemno, u jego wylotu wycinał się prostokąt niedomkniętych drzwi oświetlonego pokoju. Lecz nie weszliśmy tam. Mr. Howard otworzył jedno z bliższych drzwi, po ciemku nadusił kontakt i ruchem ręki zaprosił mnie do salonu. Sam podreptał dokądś, słyszałem, że przekręcił klucz w jakichś drzwiach i wrócił.

— Omówimy tu warunki — mruknął — i przyjrę się panu.

Wskazał mi fotel, a sam usiadł na poręczu kanapy i bezceremonialnie przyglądał się mi przez dłuższą chwilę. Zrobiło mi się trochę nieprzyjemnie: ostatecznie szukam pokoju, ale pokojów do wynajęcia jest sporo i nikt nikomu nie wyrządza łaski, przyjmując go za lokatora.

— Czy mogę obejrzeć pokój, który pan chce wynająć? W ogłoszeniu w „The Age” czytałem, iż ma to być duży, słoneczny pokój z używalnością wspólnej kuchni — powiedziałem, by przerwać to milczące wpatrywanie się we mnie.

— Zaraz — szepnął staruszek — spokojnie panie Nowak.

— O! — zdziwiłem się — to pan zna moje nazwisko?

— Był pan we Francji, prawda? — dopytywał się, a jego wyblakłe oczy niemal uśmiechały się, jak u sztubaka zadowolonego z wypłatanego figla. — Mieszkał pan przez jakiś czas w Tuluzie?

— Zgadza się: mieszkałem — odparłem. W odruchach widocznie wiele pozostało mi z tamtych czasów.

kiedy w siatce *Orange II* używano mnie do wykonywania wyroków na zdrajcach; zanim usiadłem na wskazanym mi fotelu, zlustrowałem pokój i wybrałem inny fotel, stojący w kącie, tak, aby za nim nie było żadnych drzwi, skąd mogłaby przyjść niespodzianka. Siedząc w kącie miałem cały pokój przed sobą.

Mózg zarejestrował również, że stojąca obok mnie popielniczka z kutego żelaza na wysokiej metalowej nóżce, może w razie potrzeby służyć do odparowania ciosu. Pomimo wielu spokojnych lat dzielących mnie od tamtych czasów tamte odruchy pozostały we mnie. Ostrożność nie zawadzi. — Owszem, mieszkałem — powtórzyłem — ale skąd zna pan me nazwisko?

— Znam też pańskie ówczesne nazwisko okupacyjne, Suchoń, oraz pseudonim *Maldoror* — zachichotał.

— O *kay* — rozsiadłem się w fotelu i patrzyłem na staruszkę. — Czy będziemy dalej mówić po angielsku, czy może po francusku?

— Możemy mówić po francusku — odpowiedział, zaciągając tuluzańskim akcentem.

Wyjął z kieszeni szlafroka fajkę, zaczął ją czyścić. Nachylił się w kierunku popielniczki, stojącej na małym stoliku i strząsnął do niej resztki popiołu z fajki. Popukał cybuchem w brzeg mosiężnej popielniczki — dźwięk ten był miły — a potem jął nabijać fajkę tytoniem z pudełka, które wydobył z drugiej kieszeni. Bardzo był rzekomo zaabsorbowany tą czynnością, ale widziałem, iż mnie obserwuje. W jego twarzy nie było już kpiącego uśmiechu, a jakieś napięcie. Sięgnąłem po papierosa i zobaczywszy, że jego nabijanie fajki potrwa jeszcze chwilę, zapaliłem sam. Zaciągnąłem się, czekając na dalszą rozmowę.

Lecz dalsza rozmowa nie następowała. Staruszek ugniatał kciukiem tytoń, robił to już wszakże machinalnie, zapatrzył się bowiem w zasłonięte storami okna, nie wiem czy bezmyślnie, czy coś rozważał. Obejrzałem pokój gruntowniej: stały tu trzy skórzane fotele, kanapa, aparat telewizyjny, stół do kawy, ściany zaś wypełnione były pół-

kami na książki niemal pod sam sufit. Przy jednej z półek stała mała drabinka. Grzbiety książek błyszczały matowo złoceniami, były mocno przykurzone, dawno tu, widać, nie sprzątano. Przesunąłem palcem po talerzyku-popielniczce, została po tym ruchu smuga na metalu, a na moim palcu plama brudu.

— Przyzna pan — zacząłem — że rozmowa nasza, przez fakt, iż pan mnie zna, a ja pana nie mogę sobie ani rusz przypomnieć, jest trochę dziwaczna...

Milczał. Przesuwał w zębach fajkę, szczękanie to nie było przyjemne. Wtedy dostrzegłem, że z lewej nogawki piżamy nikłym połyskuje proteza, podczas gdy nad pantoflem prawej nogi widać było ciało stopy. Aha, zrozumiałem.

— *Bon soir, Vieil Océan* — zaśmiałem się. — *Comment ça va?*

— Poznał mnie pan — mruknął w roztargnieniu i skrzywił się, jak gdyby nie zaszło nic godnego uwagi.

Widziałem go zaledwie kilkanaście razy w życiu, rozmawialiśmy zwykle krótko. Był dowódcą naszej siatki; z takimi rybami, które są wysoko w hierarchii konspiracyjnej, pionek, jak ja, nie spotyka się co dzień.

— Wie pan, że Julek nie żyje? — spytał nagle i nagle dostrzegłem, że czoło ma spocone, a w oczach strach.

— Wiem — odpowiedziałem — nie było w tym pańskiej winy. Nieraz myślałem sobie o tym. Nie, nie było w tym pańskiej winy, *Vieil Océan*. Byłem na jego pogrzebie, należałem też, jak pan sobie zapewne przypomina, do jego obstawy w tej akcji, z której nie wrócił...

— Bardzo to ładnie z pańskiej strony — pokiwał głową — że chce pan mnie pocieszyć, Maldoror, jednak... Ach, tak, rzeczywiście przypominam sobie teraz pana z tego dnia, z koszar Cafarelli, był pan również i w kafejce Juliena.

Wyjął zapalnik i zapalił wreszcie fajkę.

— Zestarzałem się, co? — popatrzył mi w oczy.

Milczałem. Nie chciałem kłamać, tak, postarzał się bardzo, naprawdę nie do poznania. Przez ostatnie czternaście lat z mężczyzny w sile wieku stał się zniedołężniałym starcem.

— No, cóż? Ja też jestem o czternaście lat starszy — uśmiechnąłem się niewyraźnie, bo mi się go żal zrobiło.

— Wszyscy się starzeją. Ja przytyłem, pan zeszczuplał.

— Mówił mi o panu Ignac, brat Julka — podjął znów rozmowę — pisywaliście do siebie, prawda?

— Tak, pisywałem do niego czasem z Nowej Gwinei. Ale on do korespondencji jeszcze cięższy niż ja. Nic mi jednak o panu nie wspominał. Zresztą nawiązaliśmy łączność dopiero jakieś dwa lata temu, przedtem przez wiele lat nic nie wiedzieliśmy o sobie. O Ignacu wspomniał mi raz pewien polski misjonarz, grywali w brydża w Darwinie, a że tam Polaków mało, więc ksiądz go zapamiętał.

— Nasz kontakt też był luźny i dziwny — wzruszył ramionami — Ignac jakoś mnie unikał, może to zresztą tylko przeczulenie starego dziwaka, Ignac jeszcze chce żyć, więc moje towarzystwo nie było dlań, przypuszczam, atrakcyjne... Młodość nie łgnie do starości — westchnął.

— Dziwne jednak, że wszyscy — wypowiedziałem swą myśl — spotkaliśmy się w Australii. Ignac miał znowu dokąd wyjechać, to niespokojny duch. Nosi go ciągle z miejsca na miejsce, tak mi pisał do Brisbane, gdzie zatrzymałem się na pewien czas u znajomych. Pracę w porcie on mi właśnie wyrobił przez jakiegoś przyjaciela. Szkoda, że Ignaca nie ma w Melbourne, liczyłem, że może razem zamieszkamy.

— Tak, dziwne, że wszyscy spotykamy się w Australii — pykał fajką. — Niewielu z nas przeżyło *Orange II*.

Dopiero teraz oblały mnie wspomnienia, naszła mnie przeszłość z tamtego okresu. Iluż z naszej grupy przeżyło te czasy? On, Ignac, a Ignac to bliźniak Julka, i z Polaków to jeszcze ja. Charles jest podobno obecnie prefektem w Châteauroux, bokser Louis jest trenerem w Marsylii, Leon zginął w Indochinach, Robert zmarł jeszcze

w czasie okupacji najzwyczajniej w łóżku, zatruwszy się rybą, a Anglicy Dodo i Johnny nie powrócili z obozu koncentracyjnego. Constant, malutki Belg z wąsikami *à la Menjou*, padł w strzelaninie w Lyonie, ach, był jeszcze u nas Doktor, tego to rozerwał granat. Jakoś mu się odbezpieczył sam w kieszeni i chłopca rozniosło, gdy pod prefekturą w Tuluzie czekał na Duchêne'a, aby tym granatem wykonać wyrok na kolaboratorze i konfidentcie Gestapo, który i tak, jak się miało potem okazać, popełnił samobójstwo w Niemczech, w Sigmaringen.

— Ach, wspomnienia — machnąłem ręką — człowiek nigdy nie wyzwoli się z pęt wspomnień, choć każdy wie, że nie ma powrotu w przeszłość.

Lecz zaraz zorientowałem się, że to zdanie przypomni mi znowu Julka. Istotnie przypomniało. W jednej chwili poszarzał, zmałał.

— Nie, to nie była pańska wina, *Vieil Océan* — przekonywałem go gorąco. — To był przypadek, jak na wojnie. Szkoda Julka, ale pańskiej winy w tym nie ma... Nic też nie poradzimy na to, że nasze niespodziewane zetknięcie się przypomniało nam dawne, nieomal zapomniane czasy...

2.

Mieszkało się mi tu wspaniale. Było stąd do pracy trochę dalej niż z pokoju, który znalazł mi Jim, pracujący ze mną w porcie. Przemieszkawszy tam kilka dni musiałem wynieść się, gdyż właścicielka domu była tak gadatliwa, że przechodziło to wszelkie pojęcie i nie można się było od niej odczepić. Tu, u Howarda, po tygodniu czułem się tak zadomowiony, jak gdybym mieszkał w tej willi od lat. Howard był milczący, grzeczny, dyskretny. Rozmawialiśmy mało, bo spotykaliśmy się rzadko. Willa była pusta, stary musiał mieć lekkiego szmergla: mieszkał

sam w siedmiopokojowej willi. Dom stał w dużym ogrodzie i był zapuszczony tak jak i ogród. Raz na tydzień przechodziła tu jakaś staruszka i coś tam czyściła i sprzątała, nawet nie wiem dokładnie co tu robiła, bo spałem wtedy. Grunt, że zachowywała się cicho, nie przeszkadzała mi. Howard w ciągu dnia dokądś wychodził, spotykaliśmy się wieczorami, zwykle na krótko, przeważnie wtedy, gdy wychodziłem już do pracy. Opuszczając dom, zamykał swą sypialnię na klucz i na kłódkę. Kiedyś czuł się źle; chciałem mu podać do łóżka kawy, ale mi przez drzwi powiedział, że mu się poprawiło i przyjdzie na kawę do salonu.

Biegły tygodnie, poznawałem Melbourne.

Mieszkało się mi u Starego wspaniale. Inne pokoje zawalone były gratami, bo Howard posiadał antykwariat na *Eastern Market*, mój był schludnie umeblowany, mogłem korzystać z jadalni, salonu, kuchni i łazienki. Cisza mi odpowiadała; w hallu stał telefon, lecz nikt do Howarda nie dzwonił, on sam korzystał zeń rzadko.

Z kilku przypadkowych spotkań z Howardem na przestrzeni trzech tygodni pamiętam takie krótkie zaczątki rozmów, jakie nie mogły zresztą się rozwinąć, bo niedługo potem wychodziłem:

— Miał pan ostatnio jakieś wiadomości od Ignaca?
— spytał raz.

— Nie, nie pisał do mnie. Mówił mi Sosna, to mój znajomy, że pisał do niego. Ignac jest w Queensland, wziął pracę *stockmana* na jakimś pustkowiu.

— Sosna? To ten przyjaciel majora Michniewicza — zdziwił się.

— Tak, zaciągnął mnie kiedyś do Michniewiczów na brydża. Pan ich zna?

— Tak. Major Michniewicz to mój wspólnik, mamy antykwariat. Co niedzielę jadam u nich obiad, bo p. Michniewiczowa zawsze tak serdecznie zaprasza, że nie sposób odmówić. Nienawidzę zresztą gotowania, nigdy głębiej nie odczuwam samotności i starości, jak wtedy, kiedy stoję nad małym rondelkiem i coś pitraszę sobie na kuchence.

Stało się już niemal zwyczajem, że w niedzielę bywam u Michniewiczów. A więc pan ich zna?

— Poznałem ich niedawno.

Innym razem w niedzielę, przed wyjściem na obiad, stary zagadnął mnie:

— Dawno już chciałem spytać, skąd do pana ten pseudonim *Maldoror*? Wiem, że z Lautréamonta, ale skąd do pana?

— Byłem wówczas — odparłem — pod silnym wrażeniem Lautréamonta, to stąd. Pamięta pan, że na akcję prawie zawsze zabierałem pod pachę tom „*Les Chants de Maldoror*”, wyglądałem z nim jak student. Dziś już nie umiem zanalizować, dlaczego ten wpływ wówczas był tak duży, jakoś mi wychłódkło, cały Lautréamont na nowo wydaje się mi niezrozumiały i dziwaczny. Zresztą pański pseudonim, *Vieil Océan*, też jest stamtąd.

— Oczywiście — uśmiechnął się. — Inkantacja Lautréamonta do Starego Oceanu zawarła w sobie jakieś niewyrażalne piękno. Obrąłem ten pseudonim, by było trudniej zgadnąć. Ale skąd ten Maldoror do pana? Przecież Maldoror to geniusz zła, upadły anioł, facet, który nie je, nie śpi, nie śmieje się: same przeciwieństwa z panem, co? Nie ma też uczuć ludzkich, nienawidzi rodzaju ludzkiego, ma coś z demona obsesji itd. Skąd to do pana?

— Och, widzi pan — rozgadałem się — w powieści Lautréamonta podobało mi się przede wszystkim to, iż wyrzekł się w niej czasu, osób, problemów. Do mej roboty strzelania i wykańczania zdrajców trzeba było również wyrzec się tego wszystkiego i tylko dobrze strzelać, i dobrze ruszać makówką, aby zaplanować akcję i wykonać ją na sto dwa, a potem bez strat się wycofać. Do tego trzeba było nerwów i to mocnych nerwów, na pograniczu niemal obsesji: wszystko inne wysiada, zostaje robota.

— Jasne, że tak właśnie trzeba było, jasne. I tego was uczyłem. Ale co do tego miał Maldoror? Kto zresztą może twierdzić, że pojął i zna Lautréamonta?

— Obierając pseudonim chciałem, aby to dzieło rąbania zdrajców mówiło tak za mnie, jak utwory mówiły za

Lautréamonta. Przecież o nim nic pewnego właściwie się nie wie. Jego dzieło wyraża się samo przez się, bez żadnych powiązań z życiem autora, o którym, jak i o jego śmierci nic prawie nie wiemy. Niech za mnie mówi moja działalność, myślałem w Tuluzie. Niech za mnie mówią moje strzały, akcje, rozwalanie kolaboratorów i agentów. Byłem młody, a więc głupi i melodramatyczny, szczególnie tego melodramatu było sporo w takich niecodziennych okolicznościach jak konspiracja, gdzie jedynie śmierć była czymś realnym. Nie ma zresztą o czym mówić, panie Howard, odczuwam pewne zażenowanie i uśmiech politowania wobec samego siebie. Teraz jestem stróżem portowym, emigrantem i to życie, co mi pozostało jeszcze przed śmiercią, chciałbym sobie względnie wygodnie ułożyć, bez melodramatów i patosu. *Voilà!*

— A dobrze się tu panu mieszka? — spytał po chwili.

— Wspaniale.

— Nie zgrywaj się pan — skrzywił się — uważa pan zapewne, że jestem maniakiem.

— Nie. Uważam, że jest pan bardzo miłym starszym panem, w którym nieraz z rozczuleniem, a nieraz ze złością dostrzegam Starego z *Orange II*. To rozdarcie ludzi pomiędzy tych, jakimi są, a tych, jakimi ich znamy z naszych wspomnień, jest chyba tragicomiczne.

Kiedy indziej znowu, spotkawszy mnie w *milk*-barze, gdzie kupowałem papierosy, wracał ze mną do domu.

— Ignac nie wrócił jeszcze? — spytał.

— Mówił mi Sosna, że otrzymali od niego list. Sosna to wujek jego dziewczyny.

— To Ignac zostaje tam? — ożywił się. — Co on tam robi? Czy nie uważa pan, że to jest po prostu nieprzyzwoite, aby bliźniacy byli do siebie aż tak podobni?

Nie odpowiedziałem nic. Dochodziliśmy właśnie do willi. O coś go jeszcze pytałem, aby podtrzymać rozmowę, ale Stary znowu ścichł, wyłączył się, nie było go, choć szedł obok mnie.

— No, cóż, dziwak — myślałem sobie po raz nie wiem który. — Ale co to mnie obchodzi? Mieszka się mi tu

wspaniale, przyjemnie mi było spotkać tak nieoczekiwanie swego szefa z *Résistance*, a że dziwak, no to co? Czemu jednak nie wrócił do Belgii? — przebiegało mi przez głowę. — Mógł jechać choć do Konga, a wybrał Australię?

Mieszkalem więc u Starego. Z początku nie chciał on nawet brać ode mnie komornego, że to niby po znajomości, że razem w Ruchu Oporu, w końcu jednak zgodził na sumę, którą mu zaproponowałem. Ostatecznie, skoro dał ogłoszenie do gazety, to chciał mieć z tego trochę pieniędzy. Dokuczała mu widocznie pustka w domu, nie tyle samotność, co pustka. Powiedział mi kiedyś: „Jestem starym człowiekiem, już mnie wykańczała ta pustka i cisza. Chciałem, aby ktoś był w domu...”. Interesował się od dawna historią i folklorem ludów pierwotnych Australii — zwykle małowunny, mógł na ten temat mówić długo i z ożywieniem — wypytywał więc mnie o Nową Gwineę. Był zgorzsony, że przebywałem tam ponad dziesięć lat i nic mnie nie obchodzili tamtejsi krajowcy, że nic o nich nie wiem.

— Pracowałem w Shell Company — tłumaczyłem — łodziami i *carrier*'em dowoziłem żywność przez dżunglę, trzeba było uważać na węże, na komary i inne robactwo, na cholerną malarię i tysiąc innych plag i kłopotów, cóż więc mogli mnie obchodzić krajowcy? Tyle, że uważałem, czy i jak pracują, czy nie kradną. Parę dni postoju w Port Moresby, znowu podróż do Petapetak i tak ciągle w kółko. Nadojadło mi to, teraz chcę spokoju i chłodniejszego klimatu, miasta i jego wygod, samotności w tłumie. Nie wie pan jakie to *chouette* uczucie, gdy idzie pan miastem, w wielotysięcznym tłumie i może pan milczeć. Tam każdy biały był automatycznie przyjacielem, bo tak mało było białych; należało zresztą trzymać fason przed tubylcami. A tu? Idę sobie przez tłum i bimbam sobie z niego, kupuje pan? Idę na piwo z tym, z kim chcę. A tam trzeba było pić z byle kim, bo biały, a białych mało. Nie, już chcę spokoju i wygod miasta: dlatego do różnych eskapad Ignaca podchodzę trochę ironicznie. Tu szukał złota, tam rudy uranowej, ówdzie opali, teraz jest *stockman*'em i bawi

się w kowboja. Facet polata trochę i uspokoi się. Już wolę tę pracę w porcie — pracuję tam jako *night watchman* — nocne obchody portu — węży nie ma, ludzie spieszą się dokąds, coś robią, nie draży ich apatia, jak tam. Nic tu na mnie nie skoczy, nie ma komarów, jest uroczy chłód nocy, w domu mam łazienkę i spokój, trzeba będzie może rozejrzeć się za żoną, kupić dom, założyć rodzinę i zacząć się starzeć pogodnie, bez przygód. To mój program Mr. Howard. Z lekkim uczuciem zażenowania widzę, że nie mam żadnych pasji, żadnych *hobbies* i zainteresowań. Przez wiele lat na Nowej Gwinei nie widziałem Polaka, prawie zapomniałem mówić po polsku, o książki nie było łatwo, poczta często ginęła, więc teraz chciałbym zanurzyć się z powrotem w ten żywioł polskości, w książki i gazety, zobaczyć co nowego działo się w literaturze przez ten czas, od wojny; ale pan tego zapewne nie zrozumie: pan tu mógł zawsze z kimś pogwarzyć po francusku i kupić książki francuskie, belgijskie, czy szwajcarskie.

— Nie uwierzy pan — mruknął — ale od wyjazdu z Francji nie rozmawiałem po francusku, a gazet, ani książek z Belgii też nie sprowadzałem. Po co mi to? W *Public Library* natknąłem się na kilka książek francuskich o *aborigines*, to był cały mój kontakt z tym językiem. O kraju nawet nie myślałem. Po flamandzku też nie mówiłem i nie czytałem.

— Niemożliwe — krzyknąłem. — Nie wierzę panu. Ani razu nie pomyślał pan o Belgii? *Incroyable!* Czemu pan nie wrócił do Belgii, tam żadni Rosjanie, jak u nas, nie odebrali panu możliwości i ochoty do powrotu. Co pan ryzykował? Myśmy bali się tych wszystkich mniej lub więcej stalinowskich okresów i etapów, ale pan?

Zrobił minę, jak gdyby żałował, iż rozmowa przyjęła ten obrót. Pomyślał chwilę i rzekł:

— Każdy emigrant często myśli o swym kraju, może i ja to robiłem, nie pamiętam. Co jakiś czas nachodziły i mnie wspomnienia, ale przez sen. Taka różnica pomiędzy nami, że ja myślę o swym kraju najwyżej podświadomie, po prostu nie chcę o nim myśleć. To już przełożona karta...

— Nonsens — kiwałem przecząco głową. — Mówi pan bzdury.

— Ach, to zbyt skomplikowane — szepnął z niechęcią w głosie — zmieńmy temat.

Podczas długich nocnych obchodów portu nieraz myślałem o Starym. Ignac, zapytany o niego w liście, a wy czuwałem u Starego jakiś niepokój związany z tym imieniem, napisał tak:

„Stary Hendricks jest niewątpliwie kopnięty, ale to z gruntu dobry facet. Ostatecznie jego przeszłość okupacyjna wykazała, że posiada charakter i inteligencję; na tym odpowiedzialnym stanowisku zachowywał się wzorowo i po ludzku, tolerancyjnie i kulturalnie. To byczy chłop, ale ma hyzia, szmergla i kukunamuniu. Wyobraź sobie, że ni stąd ni z owąd u faceta zaczął się w ostatnim dniu okupacji jakiś przełom. Pamiętasz pewnie, że Stary Ocean wysłał Julka na akcję celem zlikwidowania Duchêne'a, tego, który jakoś cudem wymigiwał się i wymigał od następnych zamachów. Strzelał do niego Constant (który później zginął w Lyonie), Caesar podłożył mu bombę pod drzwi, lecz zginęła wtedy tylko kucharka Duchêne'a. Czatuający na niego Doktor został rozerwany granatem, który wybuchł mu w kieszeni, choć był przeznaczony dla tamtego. Julek — jak zapewne pamiętasz — padł właśnie w akcji na tegoż Duchêne'a. Stąd u Starego jakieś przeświadczenie o jego winie w stosunku do Julka, że niby nie powinien był go wysyłać, skoro dostał od losu ostrzeżenie, bo trzy zamachy już się nie udały. Stąd ta jego obsesja na temat Julka, a że Julek był mym bratem i bliźniakiem, ta *uneasiness* przeniosła się i na mnie. Michniewicz mówił mi raz po pijanemu, a to są koledzy i współpracownicy i często łupią razem w karty, że Hendricks-Howard nieraz podejrzewa, że to ja jestem Julkiem wcielonym w postać Ignaca, po to, aby się na nim zemścić. Kiedy dowiedział się, że przyjechałem do Australii i też do Melbourne, doszedł do wniosku, że jest to jakaś przestroga wyższych sił, czy coś w tym rodzaju. Coś bredził o tragediach antycznych i przeznaczeniach, o wysłannikach losu i tym podobne głośne

kawałki. Jeśli potrafisz, to wytłumacz Staremu, niech da sobie spokój ze mną: nic mu ode mnie nie grozi. Jestem tylko Ignacem, bratem Julka, który wprawdzie zginął może niepotrzebnie, lecz tego nikt wówczas nie mógł wiedzieć. Czasem ciekawi mnie, co spowodowało ten przełom u Hendricksa. Do dnia śmierci Julka, pomimo tylu innych strat, był Starym Oceanem, którego baliśmy się wszyscy i kochaliśmy go. Zniewolił nas ku sobie swą indywidualnością, brawurą i spokojem. Byliśmy wtedy młodzi, więc imponował nam, bo dokonał rzeczy wielkich. Dziś to łachman człowieka, facet poza burtą. Szkoda go, lecz cóż na to poradzimy? W dniu, gdy partyzanci zawładnęli Tuluzą, kiedy miasto ożyło i oszalało, zachłystując się do nieprzytomności wolnością, Stary złożył na ręce pułkownika Benin dymisję. Wszyscy dziwili się temu, ale, że zdarzeń zachodziło wówczas tak dużo, więc pomknęliśmy ku innym przygodom i szybko zapomnieliśmy o *Vieil Océan*. Stary podobno wyjechał w góry, coś nam o tym mówiono, potwierdził to już tu, Michniewicz, ale spokój gór, zamiast wyleczyć, wykończył go. W pół roku później stary Hendricks, roztrzęsiony i chory, wypłynął jeszcze w oddziałach FFI, atakujących oblężone garnizony niemieckie w Wysokich Alpach koło Briançon. Nawąła już przeszła ponad tą połacią Francji, oswabadzano już Alzację i wkraczano do Niemiec, ale w Alpach, na Południu, ciągle jeszcze broniły się osaczone garnizony niemieckie. Właściwie nie broniły się, a odstrzeliwały, bo władze zapomniały o nich i zgrupowały tu jedynie trochę zbieraniny partyzanckiej, aby oblegała Niemców i wzięła ich głodem. Więc tam, koło St. Jean de Maurienne, pomiędzy St.-Jean a Briançon wypłynął Hendricks, już bez swego pseudonimu. Zdziażdżał już wtedy mocno, pętał się, raczej przeszkadzał niż pomagał, musiano go tolerować, gdyż miał wysoki stopień i zasługi, a wolał tu siedzieć, niż jechać, jak wszyscy, do Paryża. Jednego dnia dostał szoku nerwowego, wylądował w szpitalu w Grenoble, a wkrótce później, pomimo wielkich zasług, otwierających mu drogę do jakiejś spokojnej synekury, wyjechał do Australii. Ty byłeś

w Paryżu, z Tuluzy poszedłeś z polskimi oddziałami partyzanckimi z Gers, zaciągnąłeś się z powrotem do regularnego wojska polskiego, ja kręciłem się jakiś czas w Alpach. Wyjazd Starego do Australii wydawał mi się nonsensem, kpiliśmy z tego z Paulem (ma kafejkę w Aix-en-Provence, już od lat straciłem z nim kontakt), a w parę lat później również znalazłem się — o ironio — w kraju kangurów. No, trzeba było dokądś wyjechać, skoro do Polski bałem się wracać, a ten daleki i surowy kraj mnie nawet pociągał. Nie mogłem już, nie potrafiłbym powrócić do spokojnej egzystencji, więc zgodziłem się na Australię. Nie wiedziałem wówczas, że spokoju w Australii będzie powyżej uszu. Dlatego też po licznych próbach i dziesiątku zawodów wybrałem teraz zawód *stockman'a* na gorącej Północy. Trochę tu wszystko wygląda jak na kowbojskich filmach. Ale zapewne poniesie mnie dalej, gdzie indziej, w niezbadany i nieznany Arnhem Land, w pustkę i dzikość.

Ostatecznie trudno się dziwić, że młody wtedy student, rąbiący ludzi z rozkazu i ryzykujący tyle razy swe życie, lekceważący prawo partyzant i tak zwane karzące ramię Podziemia — nie umie dziś dostosować się do normalnego życia w tym kraju z nieprawdziwego zdarzenia i szuka ucieczki w egzotycznych podróżach. Zresztą to samo przeżywałeś i wiesz. Po nocach często śnią się mi twarze tych, których zgładziłem. Wówczas to był sport i obowiązek, cała podbudowa wątpliwości etycznych przysłała dopiero teraz. Tropią mnie i trapią po nocach tamte sytuacje, lecz we śnie już inaczej rozwijają się i rozgrywają: przeważnie już nie strzelam do kolaboratorów i zdrajców, a to oni walą do mnie. Budzę się mokry od potu, może sprawia to ten obmierzły i duszny klimat tropiku. Czuję jakąś zgagę. Czy wówczas nie brano często dziwacznych zbiegów okoliczności za dowody? Czy nie doszukiwano się tylko tego, co potwierdzało podejrzenia powzięte z góry? Czy ostatecznie wolno jednostce, czy nawet małej grupce, brać wymiar sprawiedliwości w swe ręce? Czy naprawdę lepiej przez pomyłkę rąbnąć jednego niezupełnie winnego, niż zawahawszy się przepuścić jed-

nemu winnemu, który w walce, bo ostatecznie to była walka, mógł zadenuncjować i tym samym zabić pięciu innych potrzebnych w tej walce? Tak mówił wtedy Stary i umiał nas przekonać, bo imponował nam i kochaliśmy go. Dziś już by nas nie przekonał, dziś nie kochalibyśmy go do tego stopnia, co wtedy. Jeśli o mnie chodzi, byłby dziś tylko starszym urzędnikiem w przedsiębiorstwie żyjącym z naszych złudzeń i dającym pożywkę tym złudzeniom, bez których człowiek zresztą nie ujedzie. Złudzenia są nam potrzebne jak chleb i powietrze. Jak to się właściwie stało, że profesor literatury, człowiek z protezą stopy, a więc wolny od jakiegolwiek obowiązku wojskowego, okazał się takim fantastycznym szefem? I znowu te same pytania: czy nie szafowano wyrokami zbyt lekkomyślnie?

Chyba nie, a jednak chciałbym to wszystko doszczętnie zapomnieć, wywabić z siebie i zacząć życie na nowo. Ale czy można życie zaczynać na nowo? I czy taka próba ma sens? Rozklejam się, ot co. W każdym razie uspokój Starego.

Zabawne, ale dopiero teraz uzmysłowiłem sobie, że nigdy nie pisałem do Ciebie o Starym, że tu jest, że spiknąłem się z nim, że go widziałem kilka razy, że przez Sosnę zgadaliśmy się o nim z Michniewiczami. Nawet nie wiem czemu tego nie uczyniłem. Stary to nieszkodliwy dziwak, ale zawsze jakoś mnie onieśmiał, czy ja wiem jak to nazwać? Wiesz, że wyszukana terminologia jest mi obca i nie lubię jej: wszystkie urazy, obsesje, idiosynkrazje, predyspozycje i obciążenia mam po prostu gdzieś. Nimfomanka — to bez ceregieli: dziwka, obsesje — to kukunamuniu. Może zbyt upraszczam sobie życie i ludzi, ale to chyba mi wolno: to mój jedyny luksus, że nie muszę się zgrywać, ani przed nikim, ani przed sobą samym. Tak samo mogą ludzie upraszczać sobie jeśli chodzi o mnie, amen. Od ludzi trzymam się z dala, zakładam i wiem, że wszyscy okażą się draniami, o ile dojdzie z nimi do konfliktu. A z Hendricksem-Howardem, nie wiem. To nie jest zwykły wariat, coś mnie w nim onieśmiał, złości, trochę roztkliwia, a trochę najeża nieufno-

ścią. Po prostu czuję, że jeszcze spotkam się z facetem w jakiejś niemiłej sytuacji, że będzie draka, że nasze losy splotą się jeszcze bardziej niż dotychczas, niż nawet w Tuluzie. Jestem przeświadczony, iż jakiś krąg losu zamyka się nad Starym i nade mną i że los ten musi się spełnić. Co napisawszy, lojalnie dodaję, że to może być bzdura, więc nie przejmuj się tym, bo może i ja mam, albo będę miał, lekkiego szmergla.

Zresztą, drogi Zenku, to jest powodem, że wyjechałem na gorącą Północ. Nie żebym łudził się, iż ucieknę przeznaczeniu, gdyż bimbam sobie na to określenie i nie wierzę w żadne przeznaczenie, ani nawet nie zastanawiam się, czy można przed nim uciec. Wolę usunąć się w pustkowiu, jako że nie mam nerwów na tłok ludzi i spraw. Hendricks mnie peszy, idą zeń jakieś obce sygnały, których nie umiem odcyfrować. Nie chcę też przebywać wśród ludzi, którzy mi w tak żywy sposób przypominają moją przeszłość. Bo po tej przeszłości mam lekką zgagę. Mam nad sobą miedziane niebo, wokół prymitywne życie i przyrodę, to człowieka czyni prostszym i realniejszym, może nawet młodszym.

Stary to mruk i nie wiem, czy będzie z Tobą na te tematy rozmawiał, lecz jeśli będzie, to go uspokój: nie było jego winą, że Julek zginął, a Staremu nic ode mnie nie grozi. Niech pozbędzie się tej swej *uneasiness* w odniesieniu do mnie...".

3.

Na dnie snu czekał na mnie Julek.

Siedział na stole w pokoiku za kafejką Juliana i beztrosko machał nogami obutymi w nowe żółte sandały. Był opalony, sportową ciemną koszulę miał rozpiętą pod szyją; wszystko w jego postaci, nawet zawinięte rękawy nad

opalonymi i owłosionymi rękami świadczyły o tężyznie, młodości i spokoju. Palił *gauloise'a* i uśmiechał się do Juliana i jego córki. A ja siedziałem na przeciw niego, tak jak wtedy, ale to nie byłem ja z owego dnia owych lat. Siedziałem na zydlu, nie w kombinezonie, jak wtedy, i nie młody, jak wtedy, a na przeciw Julka siedział obecny lokator Hendricksa-Howarda, w jakimś ubraniu, którego nawet nie pamiętałem kiedy je miałem, choć wydawało mi się znajome i moje. Siedziałem na przeciw niego i dziś chciałbym się spytać, czy wie, że zginie, lecz wówczas zagadnąłem :

— Jak się czujesz, Julku?

— *Ça va* — odparł. — Mam tylko jakieś głupie przecucia, cholera...

— Kto nie ma złych przeczuć? — wzruszył ramionami *Viel Océan*, patrzący na chłopca z chłodnym wyrzutem w swych białych oczach. — Nie zadawaj głupich pytań — zachnął się w mym kierunku. — Nie zwracaj mu głowy, Maldoror!

Do kafejki wbiegła wtedy jakaś kobiecina z głośnym biadoleniem, czy może stąd zatelefonować do kliniki, do córki, która rano pojechała na poród. Uśmiechnęliśmy się byli wszyscy, słysząc zza przepierzenia jej głos i odpowiedź żony Juliana. Życie stanowczo umieszcza swe konflikty w nieodpowiednich miejscach i momentach, z punktu widzenia kompozycyjnego i artystycznego jest ono często idiotyczną groteską. Wydawało się to nam wówczas wspinała hecą: tu facet idzie rozwalić prefekta, a tam ktoś akurat musi rodzić, kiedy całe miasto jest podniecone i dyszy oczekiwaniem na sygnał. Nawet kręcący się tu i ówdzie Niemcy i milicjanci są niespokojni. Nikt nie wiedział w tym momencie, że władzy ich będzie tu jeszcze na jakieś dwie godziny.

— *Julék, ne va pas!* — krzyknęła córka Juliana. Była zwykłą dziewczyną: czarne włosy, perkaty nosek, drewniane pantofelki na nogach i perkalowa sukienka na wątłym ciele.

— Czemuż wam na tym zależy, aby właśnie on poszedł?
— głos jej we śnie potężniał, jak gdyby rozprzestrzeniały go megalony, choć wtedy, zorientowawszy się, że głos jej może być słyszany w kafejce, krzyczała bolesnym szeptem.

— Cóż wam na tym zależy — zwracała się do starego — aby właśnie on poszedł zlikwidować tego drania Duchênc'a? Czy jego życie nie jest cenniejsze niż tamtego *salaud*? Tamtego i tak złapiecie jeszcze. Nie idź, Julek!

Nagle, jak gdyby rozświetlona reflektorem w nocy rzeczywistość błahych drobiazgów wypłynęła na wierzch, wykroiła się z gestwy i substancji snu i wynurzyła w nadzwyczajnie jasnym kształcie: ona go kochała. Że też nikt z nas wtedy nie zrozumiał: tak mogą krzyczeć tylko matki i kochanki. A ona wówczas miała może szesnaście lat, niewiele więcej.

— *Tais-toi!* — szarpnął ją za ramię ojciec.

Vieil Océan uspokoił Juliana gestem ręki. Zwykle był mało mówny, więc i teraz nikt nie oczekiwał od niego, aby zabrał głos. *Vieil Océan* milczał, nagle wszystko działo się w zwolnionym tempie snu i nierealnych proporcjach, rozwiewało się niby opary nad bagnem. Dziewczyna miała głowę jak cysterna ropy w Petapetak, a kolana Julka siedzącego na stole błysnęły trupim połyskiem i cała postać uniosła się jak płachta na wietrze. Jakoś tak się stało, że przez sen pomyślałem o Lautréamontie. I znowu byłem pod jego wrażeniem, nawet wydawało mi się, że go rozumiem, że go wreszcie rozumiem. Zeszedł do dolnych warstw piekła, osądzano go, że był genialnym szaleńcem. Niechć zaś do rodzaju ludzkiego jest u Maldorora czymś obsesyjnym, czymś wszakże zupełnym i integralnym. Człowiek jest jedynym i świadomym promotorem zła na tym świecie, a przez swe perwersje, sadyzm i fałsz sprawia, że jest czymś pośledniejszym od każdego zwierzęcia. Pchły nie stworzą arcydzieł sztuki, ale też nie popełnią kłamstwa i zbrodni. Żyjemy w czasach, gdy mniejsze zło urasta do miary niemal cnoty, co już samo w sobie jest niesamowitą grandą. Dewaluacja wszystkiego i premiowanie kantu. O ileż gorsze od najbardziej mrocznego średniowiecza, a nawet od

koszmarnych wizji Lautréamonta są nasze czasy, z rzeczywistością komór gazowych, obozów koncentracyjnych, łagrów, donosów, zakładników, tortur, dzieci mrących od bomb i z głodu, czasy ludzi myślących i czujących narzuconymi przez propagandę schematami! Nasze czasy otwierają jeszcze głębsze pokłady zła niż w maniakalnych zwidzeniach szaleńca. Stąd zapewne — przez wyczucie nadchodzącej epoki — ta jego nadwrażliwość, to głębokie rozumienie spraw ludzkich, współczucie dla niewinnych ofiar, miłość ku latom dziecięcym, niemal anielsko czystym, stąd wiara w czystość wieku dojrzałego. Och, myślę sobie o liście rozplakatowanej w Tuluzie na czerwonych ceglach domów przy rue des Remparts: szesnaście fotografii Ormian, Włochów, Rosjan, Polaków, Żydów i Hiszpanów. Miało to dla mieszczaucha francuskiego znaczyć, że ruch oporu, czyli bandycki sabotaż organizują tylko cudzoziemcy. O. wieku wzbudzania ksenofobii! A w naszej *Orange II*? Stary to Belg, Constant też, Charles to Francuz, dalej jest trzech Anglików, trzech Polaków, nie, czterech: bo i Leon. Doktor to Hiszpan, a bokser Louis — Francuz. Paul, obecny kafejkarz w Aix również. Co to mi się plecie przez ten durny łeb?

A w jeszcze innej sferze snu tli się przypomnienie, że dziś wieczorem przybija do portu S/S „*Aurelia*” i przywiezie tysiąc dwustu emigrantów głównie z Włoch i Grecji. Będzie na *Pier* wrzawa, tysiące znajomych przychodzących witać przyjezdnych, rozmowy tych z mola z tymi na pokładach, czekającymi na odprawę celną w nowym kraju osiedlenia. A na bramie portu, w budce, w mundurze portowym będę ja. I Jim, podchmielony Jim, który służbowym telefonem chętnie będzie przywoływał z miasta taksówki, szczególnie gdy go o tę przysługę poprosi młoda i ładna kobieta.

Vieil Océan uspokoił Juliana gestem ręki. Tamten puścił ramię córki, córka zamilkła, a zza przepierzenia niesło się szybkie trajkotanie kobiety połączonej w międzyczasie z kliniką. Z rozmowy można było wywnioskować, że mąż córki tej kobiety był milicjantem.

— Tak, *chérie*, widziałam go, wziął mundur i broń, spakował dokumenty i wyniósł się mówiąc, że ewakuują milicję i że partyzanci lada chwila zaczną tu harmider. Wziął ze sobą twoje zdjęcie ślubne i powiedział, że nie wie kiedy wróci i czy w ogóle wróci. Tak, tak *t'en fais pas*, grunt, że miałaś lekki poród, bardzo się obawiałam, bo ja z tobą męczyłam się sześć godzin. Co? Waży trzy kilo? Trzy i pół? *Pas mal, ma fille, pas mal*. Śmieszny? No, chyba. Wszystkie noworodki są śmieszne. Przyniosę ci wieczorem trochę owoców, tak, coś do czytania także, Henri Bordeaux? Dobrze. Wyrwałam się teraz tylko na chwilkę, bo Jean-Paul płacze, tak, żegnał się z ojcem, ale co on tam z tego rozumie, za mały. A nasza konsjerżka nie chciała go wziąć do siebie, ani na chwilę, *figure-toi*, bo nas teraz jawnie nienawidzą w całej kamienicy. Więc lecę, a wieczorem jak małego położę, to zajrzę do kliniki. *Au revoir, chérie...*

Obiektyw snu przesunął się teraz na otwartą przestrzeń placu Esquirol. Tramwaje, natłok, za Garonną słychać strzały, właściciele zamykają swoje sklepiki, większe sklepy już dawno zapuściły żaluzje. A Julek idzie z papierosem w ustach, skręca w rue des Remparts, za nim kroczy Louis, ja z innymi z obstawy wyprzedzamy Julka, trzeba będzie jakoś wyciągnąć posterunki z bramy, aby Julek mógł wejść na schody. Paul zataczał się, udając pijanego i coś mamrotał, posterunki poszły za nim, opowiedział milicjantom przygotowaną z góry historyjkę, że tu nie daleko na drugim piętrze jest tajna drukarnia. I podał adres wiceprezesa Towarzystwa Przyjaźni Francusko-Niemieckiej. Ja stanąłem na przeciw wejścia do kamienicy, w której zamieszkał prefekt na czas remontu w prefekturze, przed lustrem kafejki i odwrócony tyłem do ulicy obserwowałem w nim ruch uliczny. Paul o jakieś sto metrów dalej czekał, wytłumaczył się milicjantom, że lepiej będzie jak on tu zostanie, nie chce, aby w drukarni poznano, że to on sypnął. Gdyby milicjanci wracali za wcześniej, miał ich przyjąć strzałami jeszcze w sieni. Widzę Julka. Przystaje przed patrycjuszowskim pałacykiem, któ-

rego fronton pełen jest rzeźb i wchodzi. Pochłania go mrok sieni, jeszcze przez chwilę słyszę, albo mi się zdaje. jego kroki, może mi się zdawało wtedy, a może zdaje mi się teraz, we śnie, bo przecież miał sandały. Sylwetka Louisa migała co chwila wśród przechodniów, stał o jakieś sto metrów w przeciwnym kierunku.

Wieczorem tego bogatego w wydarzenia dnia trupa Julka przywieziono do kafejki Julien. W kilkanaście minut po wejściu Julka do kamienicy, zajechało przed nią auto pełne Niemców. Przyjechali, aby ewakuować prefekta. Leżał już od trzech dni, złożony ostrym atakiem ischiasu, pielęgnowała go służąca, bo żonę i dzieci wysłał już był do Montauban. Przez te kilkanaście minut, zanim niespodziewanie nie przyjechali Niemcy, denerwowałem się, czemu nie słyhać z domu żadnego strzału. Czemu, na miłość boską, Julek nie śpieszył się, czy zachwiał się w postanowieniu, czy wdał się z Duchênem w rozmowę i wyjaśnianie mu niepotrzebnych spraw? Drżałem cały, zerkałem w bok, Paul stał niedaleko i zaglądał do sieni, czy milicjanci nie nadchodzą. Nawet nie cieszyłem się z kawału, że milicja przeprowadza rewizję u kolaboranta, zmartwiałem zaś zupełnie, gdy przed dom zajechało auto niemieckie i trzech oficerów, zdziwionych iż nie widzą posterunków, wbiegło do wnętrza. Paul, widząc Niemców, przezornie wycofał się do innej bramy i czekał, co nastąpi. Z domu, gdzie mieszkał wiceprezes Towarzystwa Przyjaźni Francusko-Niemieckiej wybiegli trzej milicjanci w skórzanych kurtkach, rozglądali się za pijaczną, co ich mylnie poinformował, lecz zobaczywszy przed domem prefekta auto niemieckie puścili się biegiem na swoje posterunki. Wkrótce wyniesiono Duchêne'a i auto odjechało. Milicjanci dalej zostali, byli zaniepokojeni, jęli mi się przyglądać. Przeszedłem kawałek ku placowi Capitol, wróciłem, Julka nie było. Na rogu ulicy i placu, na tarasie zobaczyłem Paula: przedostał się tu tyłami kamienic, był zdenerwowany, co chwila zaglądał w ulicę des Remparts. Nic. Julka ani śladu. Po jakimś czasie powlekliśmy się zgaszeni do kafejki Julien. Przez głowę przebiegały mi

myśli, że może trzeba było zacząć strzelaninę, gdy wynoszono prefekta: byłem jednak wtedy sam, bo Louis zniknął, szanse więc były żadne, pewna śmierć: ja jeden przeciwko czterem Niemcom z szoferem i trzem milicjantom. Zły i zdetonowany wróciłem do kafejki Julienu. Może Niemcy natknęli się na Julka w mieszkaniu prefekta i go zastrzelili? Zbiegli potem z niesionym na rękach prefektem, wpełchnęli go do samochodu i odjechali w kierunku Esquirolu. Do domu prefekta nie można było wejść, bo posterunki wróciwszy, nie ruszały się już sprzed domu, więc co, na miłość boską, stało się z Julkiem? Nastrój w kafejce był ponury. W godzinę później Tuluza trzeszczała od strzałów, wybiegliśmy na ulicę i grzaliśmy do uciekających Niemców. Wieczorem do kafejki Julienu przywieziono ciało Julka.

Lecz trzaskanie strzałów w mieście zanika, niepokój o Julka i radość z wolności rozplywa się znów niby mgiełka i nastaje inny fragment snu: Ach, to znowu Julek, ale jeszcze ciągle żywy, idący ze mną do kina. W bramie kamienicy na placu Wilsona kupiliśmy dwa tuziny ostryg. Ostrygi, tak, musiało to być w jakimś miesiącu, którego francuska nazwa zawiera w sobie literę „r”, nie, to nie było latem, wiały wówczas chłodne podmychy. Rozmawiałem wtedy z Julkiem o Starym.

— Szanuję go i kocham jak ojca — mówił Julek — poszedłbym za nim w ogień. Czasem myślę, że on nas wszystkich hipnotyzuje, bo jak inaczej to sobie wytłumaczyć, że ma nas wszystkich tak w garści? Jesteśmy w grupie, o której nawet nie wiemy, jaka jest pod względem politycznym, jakie ma powiązania; tyle wiemy, że rąbamy szwabów i zdrajców i to nam wystarcza. Ale czy my jesteśmy jakąś przybudówką organizacji komunistycznej, socjalistycznej, wojskowej, katolickiej, anarchistycznej? Co my jesteśmy?

— Ach — zachnąłem się. — Jakie to może mieć znaczenie? Odwalamy konieczną robotę, ktoś to musi zrobić. Wolę to niż wysadzanie mostów, transformatorów i wykołajanie pociągów. Tam zawsze może zginąć i sporo nie-

winnych ludzi. Tu rąbię w faceta, którego mi wskazano, którego już rozpracowano i co do którego nie ma już chyba wątpliwości.

— Chyba — mruknął Julek. — W tym cała rzecz. Chyba, to nie znaczy: na pewno.

Zadzwoił telefon. Otworzyłem oczy: ach, to Melbourne, willa nad morzem, stary Howard-Hendricks-Vieil Océan drepce do telefonu, z hallu słysząc jego kroki, pociąga nieznacznie protezę, przez rolety pada światło białego dnia. Jak większość obudzonych nagle ze snu w ciągu dnia, nie wiem, jaka to może być pora: rano, czy popołudniu. Leżę przez chwilę, resztki snu wyparowały już ze mnie, patrzę na pokój z niechęcią, na meble, na radiogram i płyty, na książki porozkładane na stole, na mundur strażnika portowego. Jest już trzecia popołudniu. Za chwilę znowu słysząc za drzwiami kroki, to Howard, więc kaszlę.

— Czy wyspał się już pan? — pyta starczy głos przez drzwi. — Mam tu ciekawą książkę o *aboriginals*. Chce pan przejrzeć? Właśnie dzwonił pan Michniewicz, pytał jak się czuję, bo wyszedłem wcześniej z antykwariatu, skarżąc się na ból głowy...

4.

— Skąd Hendricks miał pieniądze na ten dom i antykwariat? — myślę, jadąc tramwajem do portu. — I że pozwolił sobie na taki luksus, aby nie mieć lokatorów? Przecież tracił na tym: lokatorzy mogli mu komornem spłacać dom, o ile wziął go na raty. A dom tak długo stał pusty.

Byłem zadowolony, że mieszkalem tu bez innych lokatorów. Gdyby ich było więcej nastąpiłoby to nieuniknione chodzenie sobie po piętach, właściwe pensjonatom i domom, gdzie brano więcej lokatorów. Akurat kiedy chce

się skorzystać z łazienki, okazuje się, iż ktoś tam jest i zebrało się mu na dłuższą kąpiel. Akurat gdy się chce usmażyć befszytk, okazuje się, że wszystkie palniki kuchenki gazowej są zajęte. Byłem przeto zadowolony, że tu nie ma lokatorów, a jednak nie opuszczało mnie zdziwienie, że Stary pozwolił sobie na tak nieoszczędne podejście, czy jak to nazwać. Widocznie nie zależało mu na tym, może miał trochę uskładanych pieniędzy: był tu kilkanaście lat, może się dorobił, takich jest sporo. W pierwszych, tuż po wojnie, latach napływu emigrantów do tego kraju było jakoś łatwiej, antykwariat też mógł przynosić dobry dochód. Ale Michniewiczowie, którzy przyjechali razem z nim, pracowali we troje, a ciągle narzekają i stęskają, że wzięli na siebie za duże zobowiązania, kupując na spłaty dom, meble i auto. A Stary był sam, choć co prawda, ten człowiek nie miał prawie żadnych potrzeb: chodził w podniszczonych ubraniach, jadał byle co, czasem się troszkę napił, a jedynym luksusem były paczki tytoniu holenderskiego, zawsze magazynował kilka w szafie w kuchni, jak gdyby bojąc się, że jednego dnia zabraknie tytoniu w sklepach. Może jest to lekka skaza po tamtych czasach, kiedy były ograniczenia? Znam ludzi, którzy nawet w zamożnej i nie znającej żadnych ograniczeń Australii magazynowali żywność na wszelki wypadek. Może to to? Ale przecież Stary w Tuluzie zawsze chodził elegancko ubrany, a tytoniu nie brakło mu nigdy. Więc jak jest z tą jego forszą? Ma ją, czy nie?

Tego rodzaju myśli zaprzątały mnie, lecz kiedy zdałem sobie z tego sprawę, rozłościłem się na siebie. Co mnie to obchodzi?

Z portu wychodziły grupki dockerów. Rozmawiali zżywieniem, w porcie wszyscy i zawsze mówią podnieceni. Że też ten nastrój udziela się pracującym tu i przechodniom? Nie dochodząc do swej budki dostrzegłem zarysy statków. Ten wysoki dziób z prawej to *S/S „Aurelia”*. Dalej za nim stoi francuski frachtowiec *S/S „Nouvelle Caledonie”*, po lewej przybiła *„Neptunia”*. Na molo ruch, auta, pakunki, odświeżenie ubrani ludzie: przyszli witać

znajomych. Opodal stoi kilku znudzonych policjantów, patrzą apatycznie jak przez otwarte w kadłubie statku drzwi ładuje się żywność, bo żywność w Australii tania. Obok przechadza się jakiś grubas z bródką: czeka na tak-sówkę. Na pasku ma transistor, spod pachy wydiera mu się głos Jean Sablon, to kontynentalny program 3UZ. wszędzie są głosy, kolory, szum, ramiona opalonych kobiet i napisy: NO SMOKING.

Godziny wlekły się beznadziejnie powoli. Marynarze rozmawiali z prostytutkami, śmiechy ich były głupawe i płaskie, konwersacje idiotyczne, na molo ciągle kłębiły się tłumy, wśród nich przesuwali się policjanci i rozgorączkowani ludzie, szukający w gęstwie twarzy kogoś znajomego.

Jako pewnego rodzaju przewinę — ach, czemuż o tym nie myślałem wcześniej? — poczułem w sobie nieoczekiwane to o tyle lat spóźnione przeświadczenie, że byłem lekkomyślny i naiwny, że my wszyscy z siatki *Orange II* byliśmy lekkomyślni i naiwni. Czy dziś, gdyby zaistniała potrzeba, poszedłbym znowu rozwalić kogoś z wyroku Podziemia? Gdyby doszło do nowej, tak samo wyraźnej etycznie wojny jak wtedy, to chyba bym poszedł. Ale poszedłbym bez dawnego entuzjazmu, za dużo bohaterów zginęło, za dużo kanałii i tchórzów przeżyło; powinno być na odwrót. Przeczekiwanie, interesiki, ostrożność, czy to nie korzystniejsze niż poświęcenie? Może korzystniejsze, ale nie ważniejsze, nie czystsze. Lecz poświęcenie z reguły bywa zbyt lekkomyślne. Jednak poszedłbym, gdyby zaistniała potrzeba, ale byłbym mniej łatwowierny, żądałbym więcej dowodów i tłumaczeń na wszystko. Bzdury wałkują ci się po głowie, Zenku — strofowałem siebie — w wojsku jest rozkaz i niczego się nie tłumaczy. Więc poszedłbym, ale nie chciałbym już iść do *réseau Orange II*. Były przecież oddziały leśne w Corrèze i w Alpach i w Pirenejach, tam wolałbym iść. Bezpośrednia walka? Tak ale i tam mogły być nadużycia władzy, niesłuszne rekwizycje, pomyłki. Trudno, gdzie drwa rąbią, tam trzaski lecą. Nie było mi dobrze z tą refleksją o dawnej łatwowierności;

trwał we mnie ów osad niesmaku wobec własnej przeszłości. Coś tu było nie tak, jak być powinno.

Zachowanie się Starego po *Libération* braliśmy za skromność, za nieafiszowanie się zasługami; nawet podobalo się to nam. Podał się do dymisji, twierdził, że nasza robota skończona i usunął się w cień. Wszyscy wtedy „sprzedawali” swe zasługi, prawdziwe, lub najczęściej wyolbrzymione, a za nie sypały się odznaczenia. Nikt z *Orange II* nie otrzymał żadnego krzyża czy medalu, z wyjątkiem Charlesa, ale ten, zaraz po wypędzeniu Niemców z Tuluzy, przystał do grupy FTPF. Nawet byliśmy dumni z tego, że nas pominęto: trącał pies odznaczenia, dla nas ważniejsze było poczucie dobrze spełnionego obowiązku. Nie nadstawialiśmy głów dla jakichś tam odznaczeń.

Jim zaparzył herbatę w portierce. Mam jeszcze pół godziny do swego obchodu. Patrzę na Jima: ołówkiem pozakreślał w gazecie nazwy koni, które przedpołudniem obstawi u nielegalnego bookmakera, „urzędującego” w małej uliczce za pobliskim hotelem.

Ci ludzie jakoś żyją po swojemu, tak jak im się chce, jak umieją, według własnego widzimisie. A my emigranci? A ja? Zawsze będę inny. Zawsze będę ich raził swą innością, nigdy nie przystosuję się do nich. Nawet gdybym powrócił do Polski, to i tam raziłbym swoją innością, bo inne doświadczenia nas formowały, różne mole gryzły, a warstwy zdarzeń inaczej nakładały się w naszej psychice.

Jak jednak mogły naprawdę wyglądać ostatnie dwadzieścia minut życia Julka? Czy rozmawiał ze swą ofiarą, czy też z innego powodu powstała nieprzewidziana zwłoka? Jak to mogło naprawdę się odbyć? Nikt i nigdy już tego się nie dowie. Był Julek, poszedł na akcję, przyjechali Niemcy, zabrali Duchêne'a, a dopiero wieczorem, kiedy Tuluza była już wolna, rozśpiewana, pijana w łomocie flag, do kafejki Juliana przywieziono ciało Julka. Czemu właściwie nie przeprowadzono wówczas sekcji zwłok? Ach, śmieszne, wtedy sekcję zwłok? Poległ partyzant, to wszystko. Pośpieszono w nocy do koszar Cafarelli na Bulwarze

Strasburskim, jakieś zakonnice myły ciała, w wozowni rozlegały się uderzenia młotków, cieśle sposobili proste trumny, młode dziewczyny zносиły naręcza kwiatów. Kwiaty pachniały, równoważyły smród trupów — był wtedy upał. Pogrzeb odbył się nazajutrz. Tłumy partyzantów z mitralietkami, oraz dziesiątki tysięcy cywilów, głównie kobiet i dzieci odprowadziły długi kondukt na cmentarz, byli księża, mowy, wieńce, nawet czerwone sztandary w szpalerze francuskich, polskich, amerykańskich, angielskich i belgijskich, upał lał się z nieba. Dobrze, że przyśpieszono i skrócono tę ceremonię ze względu na pastwiący się nad miastem upał.

Dziś uzmysławiam sobie mocniej niż dotychczas, że byłem już w kafejce Julienu kiedy wniesiono tam zwłoki Julka. *Vieil Océan* wrócił był skądś przed chwilą, był wzburzony i roztrzęsiony, opowiadał o strzałach na ulicach, my bezładnie chwaliliśmy się, jak to wyskoczyliśmy z kafejki i też wzięliśmy udział w walce. Pięć czy sześć osób mówiło naraz, była to radość młodości z przygody, walki i uniknięcia śmierci; lęk o Julka jakoś wtedy na chwilę zanikł, tyle było do opowiadania. Lecz ta część miasta była już wolna, wywieszano flagi i lampiony, pito i śpiewano po kawiarniach, więc żona Julienu przypomniała o kolacji. Śmialiśmy się, że kolacja dla Francuza to rzecz święta, Julien otwierał stare butelki wina, od lat trzymane na tę okazję, zasiadaliśmy właśnie do stołu, gdy przywieziono da knajpy zwłoki Julka. Obok mnie stał Ignac, miał zaciśnięte kurczowo szczęki, po policzkach ściekały mu łzy, nawet nie obcierał ich. Tak samo bez słowa tkwił obok mnie, gdy przewiózłszy zwłoki Julka jakimś wózkiem od węglarza, składaliśmy je w koszarach. *Vieil Océan* stał obok nas i milczał bez ruchu, bez gestu, postarzał się w tej chwili o wiele lat. Patrzył jak zakonnice i studentki wzięły od nas ciało i przeniosły je do wozowni. Próbuje teraz rozgarnąć wspomnienia jak korallikowe zasłony w drzwiach kafejki Julienu, aby dokładnie zobaczyć tamtą chwilę. Zdziwiłem się wtedy, że trup Julka leżał w skarpe'kach, choć przedtem brat Ignaca

poszedł na akcję w nowych sandałach, których mu trochę zazdrościliśmy. Aha, sandały zdjął mu z nóg Stary, na pamiątkę, tak mówił. Pasa też już w trumnie nie było, może mu ktoś go odpiął, składając ciało do trumny. Nagle na wierzch wszystkich spraw wynurzył się ten szczegół, z gmatwaniny zdarzeń i drobnych nieważnych szczegółów wykroił się ten jeden, jak gdyby oświetlony reflektorem w nocy, ów pas. Drobiazg, myślę sobie, jak nasza pamięć nieraz okrutnie bawi się nami: nie pomnę już oto twarzy osób, które stały ze mną wokół trumny, a nieistotny, nieważny pas zawładnął obecnie moją pamięcią. Podobnie jak w Polsce wszyscy chłopcy w konspiracji snobowali się na wysokie oficerskie buty, tak w Tuluzie owego roku wszyscy młodzi partyzanci chcieli nosić stare francuskie pasy żołnierskie i nimi opinali swe eleganckie, czy też wytarte spodnie *zazou*. Nachylam się nad tamtą chwilą, analizuję ją, nie, nic z tego nie wydobędę. Postanawiam porozmawiać ze Starym, może on więcej pamięta. Wiem, że taka rozmowa nie ma sensu, czuję wszakże, że muszę pomimo tego zapytać Starego. Tak, trzeba. Przykrość przykrością, Ignac prosił, abym do tych spraw nie powracał; nie zaznałbym jednak spokoju, jeśli bym Starego nie poprosił o wyjaśnienie.

Nad ranem port opustoszał nieco. Lampy paliły się niemrawo i nikło, skrzypiały dźwigi, nocne gangi dockerów rozmawiały przy pracy, woda pochłupywała, po molu walały się zwoje lin, sterczały zwaliska skrzyń. Kiedy powróciłem z obchodu swego rewiru do ziewającego w portierce Jima, powiedział mi:

— Był do ciebie telefon, *a personal call*.

— Kto dzwonił?

— Jakaś dziewczyna.

— Dziewczyna?

— *Yes, a girl*. Zadzwoń jeszcze raz trochę później.

Przez chwilę zastanawiałem się, kto to mógł być. Może córka właścicielki domu, gdzie poprzednio mieszkałem, pewnie ma jakąś pocztę dla mnie: może to Cesia Michniewiczówna, a może Irka narzeczona Ignaca? Wszy-

stkie trzy pracują po szpitalach, mogą mieć właśnie nocny dyżur. Wzruszyłem ramionami: najwyżej zadzwoni jeszcze raz. Jim zaprosił mnie za barierkę gestem ręki, bo znowu studiował program jutrzejszych wyścigów. Z szafki wyjąłem sandwicze i filiżankę, Jim ponownie na migi wskazał mi ciepły jeszcze czajnik.

— Acha — przypominam sobie — Starego nie było już na pogrzebie. Jeszcze w nocy stał nad trumną Julka, a potem gdzieś znikł. W mieście zjawily się polskie oddziały z departamentu Gers, chłopcy mieli nawet mundury, spotkałem tam wielu znajomych z niewoli i z centrum demobilizacyjnego. Po dwóch dniach bezhołowania, bo Stary Ocean nie odnalazł się, przyłączyłem się do nich. I z tymi oddziałami ruszyłem zaraz na Cagnac-les-Mines. Ignac przystał do innego oddziału, też spotkał znajomych z Krakowa.

Jem sandwicze z polską kielbasą kupioną na St. Kilda i wspominam etapy marszu na Cagnac, potem Brive i Limoges. Za Limoges postrzelaliśmy się tego z Niemcami, wycofującymi się z Bordeaux, było sporo strat, wzięliśmy około dwustu jeńców. Znowu telefon, podchodzę doń, dając znak Jimowi, aby się nie fatygował.

— Czy pan Nowak? Tu Michniewiczówna. Dzwonię z polecenia ojca, ażeby zechciał pan wpaść do nas dziś wieczorem przed wyjściem do pracy, lub jutro, jeśli pan dziś zajęty. Ojciec ma jakiś interes do pana.

— Dobrze, z miłą chęcią. Będzie brydżyk?

— Brydżyk u Michniewiczów jest częścią składową atmosfery, ale oprócz tego ojciec chciałby z panem porozmawiać. A czemu to pan nie pokazuje się u nas? Bojkotuje pan nas? Mam nowe płyty długogrające „Holiday in France” i Yves Montand, może miałby pan ochotę posłuchać?

— Z przyjemnością, dziękuję. Pani dzwoni ze szpitala?

— Uhm — pewnie znów chwyciła cukierka. Ta dziewczyna stale je cukierki. Nastąpiło parę spazmatycz-

nych westchnień, widocznie szybko przełykała cukierek, aby móc mówić. — Tak ze szpitala. Nocny dyżur, panie Zenku.

— Były jakieś interesujące wypadki? Ma pani dużo roboty?

— Iiii... — wzdycha Cesia, lubująca się w opisywaniu najbardziej tragicznych wypadków — nic ciekawego. Dwa zderzenia, znowu pijani kierowcy. Dziś to spokojna noc, nieraz to nie mamy nawet czasu na plotki...

Wkrótce pożegnaliśmy się. Podczas pierwszych tygodni pobytu w Melbourne byłem u Michniewiczów dwa czy trzy razy, zaproszony przez nich na brydża. Sosna opowiadał im o mej kolekcji płyt, o moim wieloletnim pętaniu się po Nowej Gwinei, jednym słowem robił ze mnie interesującego ekscentryka. Może w ten sposób wprowadzając mnie towarzysko do nich, chciał zastrzec się przed moimi ewentualnymi *faux pas*, gdyż formy i życie towarzyskie celebrował, jak gdyby to były sprawy najważniejsze. Przestrzegał tych form z niegdysiejszym wdziękiem, nie bardzo rozumiejąc, że na tle innych czasów i warunków może wyglądać czasem komicznie, lub denerwująco. Wiedział iż często jestem roztargniony, a ludzie roztargnieni są mistrzami w wywoływaniu kłopotliwych sytuacji i nieporozumień. Tak, Michniewiczowie i Sosna to mili ludzie, ale jak wszyscy oficerowie zawodowi starej daty, trochę jeszcze więcej wczorajsi niż przeciętni emigranci. Córką Michniewiczów jest postrzelona, jej problemem jest otyłość, związana z nadmiernym łakomstwem: lubi słodczy. Każdy ma jakieś problemy, jeden taki, drugi inne. Michniewiczową wywieźli Niemcy na roboty do Halle an der Salle. Cesia więc, jako małe dziecko, stale odczuwała brak słodczy, teraz nie przejdzie obok *milk*-baru, aby nie kupić cukierków. Każdy ma istotnie jakieś problemy, hopsztosv, szmergle i fioły: jeden takie, a drugi inne. To co gryzie, lub pasjonuje człowieka określa w jakiś sposób jego tonację i wysokokaratowość, o ile tak można rzec, a określa w sposób bardziej niezawodny niż pochodzenie, charakter i wykształcenie. Zresztą, miły sercu Zenku, nie filozofuj,

bo jest godzina trzecia osiem nad ranem, wokół port, nuda portierni, Jim, czas wspomnień i swoje zawsze dobre mnienie o sobie i tak dalej...

5.

Zbudziło mnie uporczywe dreptanie Howarda za drzwiami. Skoro tylko kaszlnąłem, zaraz spytał przez drzwi:

— Nie śpi pan już? Czy można wejść? Jest list od Ignaca. Był w rannej poczcie.

Wszedł nie czekając na mą odpowiedź. Był wzburzony, w rękach obracał ten list.

— Z Sydney — mruknął, napotkawszy mój wzrok. — Są na nim sydneyjskie pieczętki. Ignac z pewnością tu przyjedzie, jak pan myśli? Niech pan szybko przeczyta.

Wziąłem kopertę z jego rąk, ziewnąłem. Otworzyłem list i przebiegłem go oczyma, zdając sobie sprawę, iż śledzi mnie rozbiegany wzrok Starego, który z wyrazu mej twarzy chciałby dorozumieć się jakie list zawiera wiadomości. List był krótki.

— Ignac istotnie przyjedzie tu jutro, lub pojutrze, raczej jutro. Prosi, abym zarezerwował mu gdzieś pokój, pyta, czy byłoby to możliwe tu?

Po chwili, czując, że Stary krępuje się zadać dalsze pytanie, choć świerzbi go ono bardzo, dodałem:

— Píše, że organizuje z kimś wyprawę do centrum Australii. Znowu go, cholera, dokąds niesie — wzruszyłem ramionami.

— Wyprawę? — spytał zamyślony o czym innym. Mrugał przez chwilę oczkami, zaraz wyszedł. W progu dodał: — Oczywiście przenocujemy go tu.

Ubrałem się, czekał na mnie w jadalni.

Zasiedliśmy do jajecznicy. Stary wyciągnął do mnie butelkę francuskiego koniaku, przyniósł też jakiś flamandzki chleb z rodzynkami, dosyć kwaskowaty. Jak zawsze tak i teraz przypominał mi, że kupuje go u jednego grocera w City, ożenionego z Holenderką. Jedliśmy więc ową jajecznicę i zwyczajem anglosaskim mówiliśmy o pogodzie, że zdaje się wreszcie będziemy mieli deszcz, już za dużo tej posuchy i tych ograniczeń, jeśli chodzi o podlewanie ogrodów. Nie wolno bowiem było już od tygodnia używać automatycznych sprinklerów, trzeba ciągnąć wąż gumowy po całym ogrodzie. Trzeba było podlewać kwiaty trzymając węża w ręce, co męczyło i złościło Starego. Znów kielišek, papieros, on nabił fajkę i dociekał z kim i dokąd Ignac chce wyruszyć w niezbadane połacie tego ładu.

— A pan nie pojechałby z nim? — pytał.

— Chyba nie, nie mam ochoty.

— To niebezpieczna rzecz taka wyprawa. Upał, łatwo zbłądzić, skorpiony, piasek, brak wody, trzeba też odpowiednio dobrać ekwipunek. Już niejeden śmiałek przypłacił to życiem. Powinni wziąć ze sobą jakiegoś czarnego, oni są nieocenieni: — gdy zbłądzą umieją znaleźć wodę, mają niezwykle zmysły pustyni. Szósty, czy siódmy zmysł: pustyni.

Wzruszyłem ramionami i wyciągnąłem się. Znów ziewnąłem.

— Przepraszam, że tak ziewam i to jeszcze przy stole — powiedziałem — ale jestem niewyspany i zmęczony. Nie, takie przygody nie są dla mnie. Niech jedzie sam, jeśli koniecznie chce.

— Gdybym był młodszy — westchnął Stary — pojechałbym z nim.

Przed domem rozległ się gwizdek listonosza, to popołudniowa poczta. Stary szybko podreptał do skrzynki wiszącej u bramy do ogrodu, patrzyłem za nim. Widziałem jego ciemną sylwetkę, gdy stanął w progu, na skrzyżowaniu dość mrocznego korytarza i zalanego słońcem popołudnia. Ziewnąłem znowu i nagle poczułem się nie-

swojo: od razu przypomniał się mi cały sen. Dość często ostatnio śnił się mi Julek. Warianty snu — a cóż pewnego wiemy o snach? — zmieniały się, zachodziły na siebie, zlewały się w jakieś inne kompozycje, odgrywały się w jakichś innych sekwensach, z określonych składników i elementów wykwiwały niesamowite abstrakcje i koszmary, czasem aż śmieszne w swej niemożliwości. Wiedziałem: nonsensy, lecz wzbudzały we mnie nieprzyjemne uczucie i rozdrażnienie. Co gorzej, rozdrażnienie i jakaś zgaga psychiczna były trwałe, nie rozpływały się szybko, ani zanikały.

Śnił mi się Julek siedzący w rogu kafejki Julienu i pijący aperitif. Sączył go wolno i patrzył w szkło kieliszka. Ze zniechęceniem i obrzydzeniem odwracał się od nas, a my — jak to we śnie wszystko ma swą dziwną logikę i przyczynowość — sądziliśmy Starego za jakieś nie ulegające wątpliwości sprzeniewierzenie pieniędzy. Byliśmy tramwajarzami, aczkolwiek mieliśmy na sobie mundury pracowników *Pompes Funèbres*. Oskarżenie przeprowadzałem ja i chociaż trzymałem w ręku notatki, nie mogłem z jakiegoś powodu zorientować się w nich i pot występował mi na czoło z przerażenia: Taki wstyd, nie pchaj się na afisz jeśli nie potrafisz. Stary zanosił się ostrym i nieprzyjemnym śmiechem, próba — bo nagle okazało się, iż jest to próba jakiejs sztuki w gimnazjum — nie udała się, więc Julien przyniósł wszystkim dobrej kawy na wzmocnienie. Próba ciągnęła się już była długo w noc, a jutro ma być premiera. Premiera nazajutrz, a tu wszystko w prozku, nic nie wychodzi, byliśmy zdenerwowani i źli. W drugim kącie kafejki siedział jakiś facet, pewnie dziennikarz, nie mogłem go rozpoznać, choć wiedziałem, że skądś go znam. Acha, to Maliniak, skryba z Komisji Demobilizacyjnej w Auch. Nie. To nie było w Auch, a w Mirandzie, Miranda to małe miasteczko w departamencie Gers, był tam stary zameczek i pomnik któregoś z czterech muszkieterów Dumasa. Po co to wszystko mi się przypomina? — zastanawiałem się zaskoczony anarchią mej pamięci, czy niepamięci.

— Przecież to i tak się nie uda — odezwał się wreszcie Julek — po co się męczycie? Oddajcie ludziom forszę za zakupione bilety. Owszem, będzie wstyd, ale mniejszy niż gdybyście mieli zbłądzić się na scenie. Ogłóście, że z przyczyn od was niezależnych przedstawienie nie będzie mogło się odbyć — i po krzyku! Możecie dodać, że ktoś zachorował, że Stary mnie zamordował, albo że wyjeżdża nagle do Meksyku; dajcie sobie spokój z tym emigranckim zapałem do amatorskich przedstawień. Zawsze uważałem, że lepiej nic nie robić, niż robić coś złe. Zawsze lepiej jest poczytać sobie coś aniżeli chodzić na emigranckie zebrania, bo tam tylko klituś-bajduś i jakieś wczorajsze wielkości na tle innych warunków i sytuacji. My wszyscy jesteśmy daltonistami na pewne sprawy, wszyscy korzeniami tkwimy w innym życiu, w dawnym życiu. Znam tu jednego kapitana marynarki handlowej, był na dużych statkach transoceanicznych, a tam kapitan to Bóg, teraz zaś ma tu atelier fotograficzne do spółki z dwoma facetami. No i rządzi się tam jak dyktator, wydaje polecenia i to tonem jak gdyby ciągle dalej był kapitanem marynarki, a współpracownicy cieślami okrętowymi. Cholera, że na emigracji każdy z nas jest ciągle tym czym był, a nie tym czym jest. Heca, co? Heca, bo do faceta nie dociera, że już nie jest kapitanem, a współnikiem w zakładzie fotograficznym. Każdy z nas ma to skrzywienie, kapujesz, Zenobiu-szu?

Stary wracał, pamięć snu ulotniła się, pozostał tylko niepokój, jak gdyby stan podgorączkowy lęku. Stary znowu stanął w drzwiach, na krawędzi światła i mroku, czytał list, który rozerwał idąc ku domowi... Przeczytał go kilkakrotnie, potem zmiąwszy go w kulkę, schował do kieszeni.

— Nic ważnego — wyjaśnił. — Rachunek.

Byłem — nie wiem czemu — przekonany, że nie mówił prawdy, ale ostatecznie to jego sprawa.

— Czy pan pamięta — spytałem — jaka właściwie rana spowodowała śmierć Julka? Nie umiem sobie przypomnieć gdzie dostał. Leżał na wznak, tak go przywie-

ziono na jakimś wózku, tak też leżał w trumnie, nie pamiętam żadnej rany, plamy, czy dziury w ubraniu tylko skrzepłą krew w kącie otwartych ust.

— Och, to już było tak dawno — mruknął, sięgając po kieliszek.

— Zapewne dostał z tyłu, a więc czy uciekał? Czy to było wtedy kiedy wycofywał się po próbie zamachu? Gdyby go Niemcy zastrzelili na schodach, może wzięliby zwłoki ze sobą. Nie wynieśli go jednak, ani nie zaalarmowali posterunków w bramie. Nie bardzo to wszystko rozumiem.

— Ma pan świetną pamięć — pochwalił mnie. — Jeszcze koniak? Zdaje się, że rąbnęli chłopca z tyłu. Jak do tego doszło, przyznaję, nie myślałem. Cóż to zresztą dziś pomoże? Na nic się nie przyda. Dobry ten koniak, co?

— Owszem, dziękuję, świetny. Lecz jeśli otrzymał kulę z tyłu, to jak to się stało? Wszedł na górę i co dalej zaszło? Nie umiem też już dzisiaj odtworzyć w pamięci jak wyglądał moment przywiezienia zwłok Julka do kafejki Julienu? Kto przywiózł trupa? Jak obcy ludzie mogli wiedzieć, że właśnie tam należało zwłoki dostarczyć? Przecież nie padł na ulicy naprzeciw, w tym wypadku byłoby normalne, że rannego, czy zabitego zabiera się do pierwszej z brzegu kafejki. Nie zastanawiał się pan nigdy nad tym?

— Nie. Wiadomo przecież jak tę śmierć odczułem. Co tu było do myślenia poza samym okropnym faktem, że jego już nie ma wśród żywych. Nawet pan wyczuł u mnie jakieś przeświadczenie winy, iż Julka ja posłałem na tę ostatnią akcję, po co więc prześledzać zniekształcone już fragmenty wspomnień, skoro wtedy przypadek rządził i decydował o wszystkim? Delikatności, młody człowieku, cóż komu przyjdzie z babrania się w rozpamiętywaniu tego wszystkiego?

Milczałem. Byłem rzeczywiście niedelikatny. Nie każdy ma ten sam dystans uczuciowy, aby rozmawiać o czyjejs śmierci. A stary Julka kochał, wyróżniał.

— Co panu z tego przyjdzie? — zachnął się — Julka już to nie wskrzesi, a mnie, który go kochałem jak syna, rani pan serce na nowo i niepotrzebnie.

Wypiliśmy znowu. Stary siedział naprzeciw mnie po drugiej stronie stołu, drżącymi rękoma odsuwał talerze po jajecznicy, twarz miał szarą i ściętą bolesnym skurczem.

— Nie wybiera się pan do Michniewiczów? — spytał po chwili. — Major wypytywał się o pana.

— Idę tam dziś na brydża. Ich córka dzwoniła dziś do mnie rano do portu, abym wpadł do nich wieczorem. Pójdę, bo właśnie mam dziś *day off*. Nie pracuję, więc chętnie pogram w brydża.

Howard uśmiechnął się kpiąco.

— Czuję, iż mój wspólnik będzie mówił o mnie. Pewnie chce mnie obszczać. Zdaje się, że Michniewicz wpada w lekką manię prześladowczą, obawia się, że go wygrzęze z naszego sklepu. Od jakiegoś czasu jest podejrzliwy i szpieguje mnie, w jego przekonaniu dyskretnie.

— Skąd mu to do głowy przyszło? — dziwiłem się. — Przecież wszyscy uważają was za dobrych przyjaciół.

— Przyjaźń? Co to jest? — skrzywił się i sięgnął poprzez stół po butelkę, aby napełnić znowu kieliszki. — Najlepsi przyjaciele kiedyś się poróżnią i stają się zaciekłymi wrogami. Bo oto zarysuje się ostro jakiś konflikt własnych interesów i przyjaźń szlag trafił. Ludzie za dużo pasji i energii wkładają w uczucia, potem te uczucia nagle zaczynają ciężać i znowu tyle samo energii wkładają ci sami ludzie, albo i więcej, w wyśmianie i oplucie tych uczuć.

— Co pan mówi, Hendricks — oponowałem. — Michniewiczowie zawsze o panu wyrażali się i wyrażają dobrze.

— W to jestem skłonny wierzyć, ale też jestem przeświadczony, że od dzisiaj będą się wyrażać źle, to wszystko. *Il y a des hommes* — wtrącił po francusku, choć rozmawialiśmy po angielsku — *qui ne sont pas des types. Les types ne sont pas des hommes. Il ne faut pas se laisser dominer par l'accidentel*. To z Lautréamonta.

— O co panu chodzi?

— Podam inny cytat. *Les sentiments sont la forme du raisonnement la plus incomplète qui se puisse imaginer.*

Zamilkłem. Takiej rozmowy nie warto podtrzymywać. Większość niepotrzebnych smrodków i zadrażeń wynika stąd, że kontynuuje się rozmowę, w której ktoś bredzi... Zapaliłem papierosa, lepiej milczeć. Nadchodziło późne popołudnie, zaraz będą zamykać sklepy. W myślach kontrolowałem, czy nie mam jakichś zakupów do zrobienia. Tak, mam, ale mogę to załatwić jutro. Pomyślałem o Ignacu, ma przyjechać przedpołudniem. Trzeba kupić coś do jedzenia i wypicia, papier listowy też by się przydał, ach: skarpetki muszę kupić, bo mi się drą, a na czerwanie nie mam nerwów, na Bourke Street widziałem ładne włoskie koszule sportowe, koszule przypomniały mi pralnię. Mam odebrać z prania bieliznę. Ekspedientka tam jest bardzo przystojna, podobno Litwinka. Może mówi po polsku? Trzeba by ją o to spytać. O, i nóż do otwierania konserw powinienem kupić, stary gdzieś się zawieruszył, pewnie przez pomyłkę wrzuciłem go do śmieci.

— Ignac zapewne będzie chciał tu zostać kilka dni. Ma tu przecież narzeczoną, siostrzenicę Sosny — mruknął Howard.

— Tak, Irkę, pracuje z Michniewiczówną.

— Podobno i pan umizgiwał się trochę do Cesi. Prawda to? — uśmiechnął się Stary. — Przydałby się panu ożenek.

— Ja do Cesi? I umizgiwał? — parsknąłem śmiechem. — Widziałem ją kilka razy. Nie lubię jej.

— A szkoda. To bogaci ludzie, a ona jedynaczka. Poza tym taka teściowa jak pani Michniewiczowa to też ważny asset. Gotuje przewybornie.

— Słyszałem, że Cesia ma jakiegoś Czecha, który kończy medycynę. Poznali się w szpitalu.

Howard wstał od stołu i usiadł w fotelu w kącie.

— A co by pan powiedział na to, *mon cher Maldoror*, gdybym się teraz przyznał, że to ja zamordowałem Julka?

Tak, zamordowałem. Nie, że byłem przyczyną śmierci wysyłając go na niebezpieczną misję, ale że go po prostu własnoręcznie zamordowałem? Musiałem tak postąpić.

Chciałem coś krzyknąć i wstać, lecz przytrzymał mnie swym wzrokiem, a ręką dał znak, bym słuchał.

— Nie wiem czy na tyle pan zna Tuluzę, by wiedzieć, że z kawiarni *Bel Ami* na placu Esquirol wychodziło się przez kuchnię małym pasażem na tyły ogrodu, który rozciągał się za domem Duchêne'a. Patrycjuszowski fronton domu górował nad ulicą des Remparts. Wysławszy Julka, a kazałem mu się nie spieszyć, aby nie zgubił obstawy złożonej z was, pobiegłem tamtędy przez tyły *Bel Ami* i ogród i w klatce schodowej na pierwszym piętrze, gdzie łączył się korytarz oficyny z głównym budynkiem, czekałem na Julka. Tam go zastrzeliłem, gdy uściskawszy mą dłoń wstępował na schody wiodące na drugie piętro. Strzeliłem w tył głowy, o ile to pana pasjonuje.

Łatwo sobie wyobrazić jak musiałem się czuć w tej chwili. Koniec świata byłby czymś normalniejszym i mniej zaskakującym. Howard zapadł się w fotel, patrzył w bok, był błydy, głos jego przybierał na szorstkości. Nie, nie krzyczał, było coś chropowatego i szorstkiego w tym głosie, przenikał mnie on i wprawiał w drżenie. Kiedyś podobnym głosem wydawał rozkazy. Niby chrypka, a jest w nim coś żelaznego. Pomyślcie: chwila, minuta, od której wszystko nagle zaczyna być inne. Przełknąłem ślinę, chciałem coś powiedzieć, nie mogłem. Byłem jak sparaliżowany. Pomyślałem tylko apatycznie: niech mówi dalej. Ale Howard milczał. Siedział w starym fotelu w kącie, szary, stary, skurczony i kiwał głową.

— Czemu pan to zrobił? — spytałem wreszcie z wysiłkiem.

— Kochałem go — mruknął niechętnie, jak gdyby nie było o czym mówić. Po chwili dodał: — Jestem strasznie, ale to naprawdę potwornie zmęczony. Tyle lat to w sobie gniołem, myślałem, że już uda mi się przewyciężyć ową świadomość, zadrę, nawet nie wiem jak to określić.

Kiedy zrozumiałem, że prawda sama nigdy na wierzch nie wyjdzie, że wszyscy jego śmierć uznali za normalną, nawet Ignac, wiedziałem, że jestem od zewnątrz bezpieczny. Lecz gdy poczucie bezkarności wzrastało rosła również we mnie świadomość niebezpieczeństwa od wewnątrz, od samego siebie, ciężar tego koszmarnego sekretu stawał się coraz nieznośniejszy. Czułem, iż z sobą nie dam sobie rady. Przyznam się panu, każdy krok w mym życiu od tamtego dnia był tylko ucieczką; ale można uciec od miejsc, od ludzi, nie od siebie samego. Mówię ci to, Mal-doror bez żadnej zgrywy. Owszem, jestem chytry, cwany i umiem grać, tak szczerze jednak dawno nikomu nic nie powiedziałem. Od siebie nie można uciec.

— Co pan zamierza teraz zrobić? — spytałem i aż uderzyła mnie obcość mego głosu.

— Nic. Jestem na łasce pana. Ja musiałem to wreszcie wyznać, a pan niech robi z tym fantem co pan uważa za stosowne. Jestem zmęczony. Prawdę powiedziawszy, jest mi w tej chwili całkowicie obojętne, co pan postanowi uczynić.

— Ale czemu go pan zastrzelił?

— Bo go kochałem, już mówiłem to panu. Niech pan nie myśli, że jestem pederastą — uśmiechnął się gorzko — choć i takie podejrzenia musiały zapewne wam przez głowę przechodzić. Nie, po prostu bardzo tego chłopca kochałem. I musiałem sam zniszczyć obiekt swej miłości. Nie obchodzi mnie co pan i inni o tym powiedzą, mówię i tak dużymi skrótami, których najprawdopodobniej nie zrozumiecie: jednak decyzja tego strzału była owocem wielu przemyśleń.

— Przecież to nonsens i zbrodnia! — krzyknąłem.

— Przede wszystkim: ciszej! — upomniął mnie. — Bez nerwów! Nonsens i zbrodnia to dwa tak bardzo subiektywne pojęcia, tak co innego każdemu z ludzi znaczą, iż zastanowić się wypada, zanim się ich użyje. Nie liczę na to *mon cher Suchon*, że pan mnie usprawiedliwi, chcę tylko, aby pan pojął, rozumiał, że musiałem tak właśnie postąpić.

— Ale to naprawdę nonsens i zbrodnia! Tchórzliwa zbrodnia, strzał z tyłu! Bez powodu! Nikczemnie pozbawił pan życia jednego z najlepszych z nas wszystkich.

— Tłumaczę przecież panu — w jego spokojnym głosie, od którego monotonnej ciągłości można było oszaleć, była wzbierająca niecierpliwość — że nie bez powodów. Dla mnie był to powód ważny, wszystko przemyślałem.

— Mój Boże! — jęknąłem. — Pan istotnie jest wariatem!

Rozbroiło go to i parsknął śmiechem:

— Bo co? — spytał. — Bo wymiar sprawiedliwości wziąłem we własne ręce? Sprawiedliwości według mych kryteriów? A czy pan myśli, że te wszystkie wyroki, któreście wykonywali, były naprawdę z polecenia jakiejś wyższej instancji w Résistance? To wyście nawet później nie zdawali sobie z tego sprawy? Nie mieliście nawet wątpliwości? — parsknął śmiechem, jakiś zwierzęcy niemal chichot targał nim przez chwilę. — Wykańczałem ludzi według swojego widzimisie, ot co! Przeważnie Niemców, należy uczciwie dodać, a wobec wroga w mundurze obowiązują inne kryteria: wróg i trzeba go w czapę! A cywilów? Nie posyłałem was na nich dla jakichś personalnych porachunków, nic nie miałem do nich. Najczęściej byli to ludzie, o których zebrałem sporo podejrzeń i dowodów, najczęściej byli to kolaboranci, ale na pewno tego nie mogę stwierdzić. Skąd mogłem mieć tę konieczną pewność bez śledztwa, bez aparatu policyjnego, bez całej procedury? Kto mógł sobie w tamtych warunkach pozwolić na normalny sąd? A co by było, gdyby ktoś na sądzie udowodnił w wystarczający sposób, że był niewinny? Puścilibyśmy go do domu, zdekonspirowani do cna, licząc, że on będzie fajny chłop i będzie trzymał język za zębami? Nie bądź dziecinny, Zenek. Ludzi trzeba było rąbać, aby inni się bali, aby ich utrzymać w strachu przed ruchem oporu, aby odstraszyć ich od współpracy z Niemcami, od ochoty nawet na współpracę. To wszystko. Przecież w tamtych warunkach nikt o zabitym nie mógł już powiedzieć bez cienia wątpliwości, że ten był niewinny. Wszyscy zabici

m u s i e l i być winni. Czy nawet żona takiego zarąbanego przez was faceta, pomimo przekonania, iż był chyba niewinny, mogła być pewna, że poza jej plecami nie zeszwińił się? Ludzie o sobie nic pewnego nawzajem nie mogli wiedzieć, nie wiedzieli, pamiętaj. I każdy był, w jakiejś płaszczyźnie to ujmując, czemuś winny. Powaga morderstwa, majestat śmierci, *mon cher*, to działa na wyobraźnię. Taki zabity przez nas musiał być jednak winny, skoro dla sprzątnięcia go inni ryzykowali głową. I im prędzej bliscy takiego faceta to zrozumieli, tym lepiej dla nich. Inni jeszcze, stojący z boku, nie mogli mieć tej wątpliwości, to nie był czas na wątpliwości. Powaga takiego wykonania wyroku i ryzyko dla wykonującego dodawały patosu i prawdy tej śmierci. Czy najszlachetniejszymi uczuciami ożywieni żołnierze i partyzanci, ba, nawet lotnicy alianccy, nie tylko niemieccy, nie zabijali przypadkowo, lub zupełnie świadomie, ludzi niewinnych? O co więc chodzi? Robactwo ludzkie i tak rozmnaża się jak muchy, jak bakterie, zginęło w ostatniej wojnie czterdzieści milionów ludzi, nowych zaś urodziło się od tego czasu ponad ćwierć miliarda, albo i więcej, o co więc cały raban? Tym bardziej, że nie ma ludzi niezastąpionych.

— A Julek? Też nie był niezastąpiony?

— To jest inna sprawa. Wtedy, kiedy postanowiłem go zastrzelić, myślałem, że — a wszyscy w stanie miłości tak sądzą o obiektach swych uczuć — jest niezastąpiony, nieodzowny. Dziś wiem, że to nieprawda. Ale dziś nie ma już tej miłości, nie ma potrzeby tej miłości. Ja też nie jestem w stanie miłości, jak się jest w stanie łaski, w transie, w stanie zamroczenia. Wtedy uczucie zaciemniało możliwości chłodnej analizy, jak to zawsze uczucie ziesztą. Ale i wtedy wiedziałem, że śmierć Julka jest w pewnym sensie potrzebna... Wkrótce to panu wytłumaczę, przyniosę tylko nową paczkę tytoniu z mego pokoju.

Patrzyłem za nim, w głowie miałem zamęt. I mnie ogarniało zmęczenie. Po co doszło do tej rozmowy? Za oknami grały obłędnie cykady, we mnie mżył tępy ból, cały świat rosypywał się, zamazywał, zanikał. Za oknami grały

jednak dalej cykady, dalej stał dom naprzeciwko, dalej nad miastem wisiało melburneńskie niebo. Zaledwie Stary stanął w progu, już dalej mówił:

— Gdyby wtedy nie nastąpiła śmierć Julka, wszystko najprawdopodobniej by się wysypało. Gdyby zdekonspirowanie i obnażenie *Orange II* nastąpiło tuż po *Libération*, wielu z was aresztowano by, byłby to dla was szok, na pewno większy niż ten, którego pan dziś doświadczył na sobie. Moglibyście, młodzi sentymentalni naiwniacy, strzelić sobie wówczas w łeb. A śmierć Julka, choć była niewątpliwie stratą i zadała nam wiele bólu, scementowała wewnętrznie naszą grupę. Prawda, że wkrótce potem mieliśmy się rozlecieć i pójść każdy w inną stronę, ale każdy z was wziął ze sobą tragiczną śmierć Julka jak wiatyk. Tak, ta śmierć nas wszystkich ratowała. Was ratowała przed rozczarowaniem, obłędem, samobójstwem, więzieniem. Bez śmierci Julka nie przyjęlibyście żadnego argumentu, który by wtedy wydawał się wam logiczny, że trzeba naszą działalność zawiesić i rozbiec się chociaż wszystkie inne oddziały partyzanckie ujawniały się i dalej walczyły w ramach armii FFI. Ta śmierć ratowała również w mym uczuciu do Julka pewność, że nie zwiąże się z tą prostą dziewczyną. Rozumie pan coś z tego? Niech pan przez chwilę postara się wyobrazić sobie, co by było, gdyby Julek dalej żył? Poszlibyście do innych oddziałów, skoro jako jednostka nie mogliśmy dalej istnieć, ale poszlibyście dumni ze swej akcji i mówilibyście o niej i byłaby wyspa, zaczęto by się interesować tą dziwną *Orange II*. A tak? Śmierć Julka tkwiła w was zadrą, przvzna pan, że nie pomyliłem się, iż po tym szoku nieskorzy będziecie do zwierzeń na temat swej przeszłości. Po pańskiej głupkowatej minie widać, że miałem rację. Nie dopominaliście się o odznaczenia, śmierć Julka sprawiła dla was to, że byłoby po prostu nie na miejscu ubiegać się o krzyże, gdy ten najlepszy zginął. Mielicie przeświadczenie o spełnieniu swego obowiązku, to wam wystarczało. A na innym planie co by było, gdyby Julek dalej żył? Nie powinienby się żenić z córką kafejkarza, jemu nie takiej żony trzeba było.

A choć był z was najinteligentniejszy, to tak samo był łatwowierny i sentymentalny, jak wy wszyscy. Takich ludzi terroryzuje się i najlepiej szantażuje uczuciem, tym się ich najmocniej związuje. Ba, sami się proszą jak gdyby, aby ich to uczucie terroryzowało. Już by on został przy tej Francuzeczce, bo był uczciwy, za uczciwy z kobietami. Nie muszę chyba dodawać, że ich małżeństwo byłoby ślepym torem, pogrzebaniem wszelkich możliwości dla Julka którego — i to należy pamiętać — kochałem, z grubsza biorąc jak syna. A każda miłość ma coś z wyłączności, zawsze w miłości ktoś jeden jest silniejszy, a ktoś drugi musi się poddać temu uczuciu i temu drugiemu. Rozumie pan coś z tego? Nie? To może i lepiej. Od niej wionęło — czułem to wyraźnie — dużym niebezpieczeństwem. Wy braliście wszystko *for granted*, wierzyliście mi, wykonywaliście rozkazy, żadnemu z was wszakże nie przyszło do głowy, że dziewczyna miała rację, gdy w zdenerwowaniu i lęku o Julka powiedziała w kafejce Juliana zwykłe zdanie, iż życie Julka jest bardziej cenne, niż życie tego Duchêne'a. Człowiek tak rozumujący przedstawiał dla mnie duże niebezpieczeństwo i ryzyko. Rozmawiałem z nią nieraz, widziałem jak uczucie jej do Julka potęguje się i pogłębia. Byłem pewien, że gdy ta dziewczyna prześpi się z Julkiem, to już po stosunku, kiedy mężczyzna jest najbardziej rozbrojony i rozluźniony, że tak powiem, z wszelkich powiązań, zacznie go wypytywać o naszą działalność, o dane, o sposoby. Ona na pewno pierwsza miałaby wątpliwości, czy rzeczywiście otrzymywałem rozkazy z góry. A tak, zepchnięta w wir żalu, otoczona nim-bem bohaterskiej śmierci narzeczonego, przeżywa dawne z nim chwile, do czasu, gdy życie i krew nie upomną się o nowego mężczyznę. Wytłumaczę panu również dlaczego...

Dzwonek telefonu. Howard zamilkł, skrzywił się i dał mi ręką znak, abym podjął słuchawkę. Sam zajął się swą fajką.

— Hallo, tu Michniewiczówna — brzęczało w słuchawce. — Czekamy na pana już godzinę a pan jeszcze

w domu? — karciała mnie. — Co to za brydż dwugodzinny tylko, fe, to nieładnie z pańskiej strony, że tak daje pan na siebie czekać...

— A która godzina? — spytałem, oszołomiony rozmową z Howardem.

— Jakto: która? Siódma. Kolacja już się przypala z podgrzewania, a pan jakimś nieprzytomnym głosem pyta: która godzina? która godzina? Głowa pana boli, czy co?

— Tak. bardzo mnie boli. Dziś nie idę do pracy, mam wolne.

— A to świetnie. A na głowę niech pan zażyje trzy Aspro, to przejdzie. I niech pan zaraz tu do nas przyjdzie. czekamy, panie Zenku.

— Dobrze, postaram się przyjść jak najszybciej. Do widzenia pani Cesi. Tak. tak, zaraz wychodzę.

Odłożywszy słuchawkę natknąłem się na blade spojrzenie Howarda. Uśmiechnął się jak gdyby przepraszał, że swym gadulstwem uniemożliwił mi wcześniejsze wyjście na brydża.

— Aleśmy się zagadali — mruknął — a panna Cesia czeka. Leci na pana, co? Czy mogę poprosić pana o ogień? — pokazał mi nabitą fajkę.

Potarłem zapałkę i podałem mu ją, ręce mi drżały. Popatrzył na mnie ni to z przyganą, że młodemu jeszcze człowiekowi ręce tak drżą, poprawił się w fotelu, usiadł wygodniej i powiedział:

— No, pomyślnego brydża! Gotów jestem założyć się, że mnie obszczekają, zobaczy pan...

Wziąłem z wieszaka w korytarzu kapelusz, z biurka w mym pokoju nową paczkę papierosów, w łazience się przycesałem. Nie miałem odwagi spojrzeć sobie w oczy w lustrze, widziałem tylko mą czuprynę. Wychodząc zająrzałem znowu przez uchylone drzwi jadalni. Howard siedział nieporuszony w fotelu, spowity w gęsty dym fajki.

— Nie boisz się, *salaud*, że pójde teraz na policję? — spytałem po francusku.

— Nie. Zresztą niech pan robi, co pan chce. Nikt by i tak panu nie uwierzył — zaśmiał się. — Ja oczywiście wszystkiego bym się wyparł i jeszcze wpakowałbym pana w nieprzyjemności.

— Więc myślisz, kanalio, że to wszystko ujdzie ci tak bezkarnie?

— Po pierwsze nie piliśmy po polsku bruderszafta, więc Maldoror będziesz tak uprzejmy mówiąc po francusku używać formy *vous*. Nawet małżeństwa we Francji, oczywiście te z arystokracji, zwracają się do siebie w ten sposób, a ja z tobą świń nie pasalem. Wracając zaś do rzeczy, to chciałbym jedynie zaznaczyć, iż wystarczająco już gryzłem się tym przez tyle lat; dziś odczułem wreszcie ulgę, dziś czuję się jak gdyby po spowiedzi, nowy, czystszy, lepszy. A pan powinien czuć się mądrzejszy, boś pan był i pozostał naiwniak. No, miłego brydża, życzę panu samych szlemików z ręki.

— Jutro sprowadzę tu Ignaca! — warknąłem.

— No i co? Razem się ze mną policzycie? Zabijecie mnie? I co? Ja i tak już jestem stary i niepotrzebny, a was wsadzą do więzienia na wiele, wiele lat, nawet o ile uwierzą w te brednie o zemście. Nabijecie mnie? To zawołam policję i wpakują was na kilka lat do mamra za brutalną napaść na starca, kalekę, zasłużonego bojownika z hitleryzmem, znanego antykwariusza. Już powinienesz być oduczyć się samowolnego wykonywania sprawiedliwości. Przecież nie mogą wam uwierzyć. Uwierzą mnie, jeszcze powiem, że chcieliście mnie obrabować. No i co?

Uśmiechnął się i wytrzymał mój wzrok.

— Kanalio, morderco! — warknąłem wściekły. — Ja cię zaduszę! Kochaliśmy cię, narażaliśmy się na śmierć dla cię. a ty jesteś wyrodkiem potworem, szaleńcem! I takiego my słuchaliśmy, o Boże!

— Nie mieszaj Boga we własną głupotę, *mon petit couillon*! A poza tym: bez melodramatów, Nowak! — krzyknął, zobaczywszy, że zbliżam się do niego, a krzyknął dawnym tulusańskim głosem. W ręce miał rewolwer.

— Bez melodramatów — powtórzył już spokojniej. — Strzelę, a później się wytłumaczę, żeś chciał obrabować starca, żeś napadł na kalekę, albo zeznam, iż był to wypadek, a *very regrettable accident* — dodał z ironią — a Michniewicz przyświadczy, że żyliśmy jak przyjaciele, że mu opowiadałeś, iż tak dobrze ci się tu mieszka. I nie skłamię. Zastanów się, Suchoń, i cofnij się grzecznie. Nie wydzieraj mi rewolweru, bo strzelam jak dawniej z obu rąk, w walce też nigdy nie wiadomo: poza tym mogą być odciski palców: ja mam pozwolenie na broń, ty nie, zabijesz mnie — przypuśćmy — lecz nie wywiniesz się od ciężkiego wyroku. Na życiu mi nie zależy, tobie powinno. Więc cofnij się, gdy proszę i nie rób głupstw.

Bez słowa cofnąłem się do drzwi. Zadzwoił telefon. Stary doskoczył doń żwawo i patrząc na mnie mówił, lewą ręką bawiąc się rewolwerem.

— A to pani, pani Cesi? Tak, tak, właśnie wyszedł. On dziś jest trochę podniecony i dziwny, bo mi się właśnie w długiej rozmowie przyznał, że się kocha w pani. *Yes, very much in love*, ale broń Boże proszę mu nie dać odczuć tego, iż pani wie. Co? Co? Jasne, że porządny chłopak. Trochę narwany, ale bardzo wartościowy. Tak, uhm, pracowity, zdolny, inteligentny, co? Same superlatywy? No, bo zasługuje na nie, chyba! Trochę nieśmiały? To dobrze: tacy łatwiej wchodzą pod pantofel, żon trzeba słuchać, jasne. W innym sensie nieśmiały? Na ten temat nic nie mogę wiedzieć, wiem tylko, że cholernie zazdrosny jest o jakiegoś Czecha. Ha, ha, ha! Bez powodu? Tym lepiej, tym lepiej! Tak, nieśmiały i niedomyślny to on trochę jest, owszem, ale i ja mu dam jakoś zgrabnie odczuć, że i on pani nie jest obojętny, zgoda. Umowa stoi? Już ja to jakoś chytrze przeprowadzę, zobaczy pani, chociaż takiemu to trzeba łopatą do głowy, nie zna się na niuansach i gierkach, tak, może pani na mnie liczyć. Co? Że takim młodzieńczym głosem mówię? Bo się świetnie czuję, droga pani, odmłodziłem. Patrząc na zakwitającą miłość dwojga bliskich mi ludzi, młodnieję i sam, nic w tym dziwnego. *Crescite et multiplicamini*, przepraszam? Tak, to po łaci-

nie. No, to dobrze, bardzo mi było miło, zawsze do usług, pani Cesi. Na mur! Dyskrecja zapewniona! Dobranoc! Tak, do łóżka wezmę sobie jakąś książkę, nie kryminał, nie lubię tego, wezmę też butelkę koniaku i pójdę lulu. Tak, dobranoc pani, nie ma za co, kłaniam się i proszę pozdrowić rodziców...

Odłożył słuchawkę i patrzył na mnie kpiąco. Na czoło wystąpiły mu duże krople potu, otarł je dłonią, w której trzymał rewolwer. W jadalni robiło się już szaro, za oknem szumiała palma, gdzieś w oddali przejeżdżała karetka policyjna z jęczącą syreną. Howard podszedł do kontaktu i zapalił światło.

— Miłego brydzyka — ukłonił się. — Do widzenia. Spóźni się pan...

6.

U Michniewiczów natychmiast podano kolację.

Uśmiechy i spojrzenia wszystkich, choć niby były dyskretne, były też znaczące i pełne domyslników. Ogólne zażenowanie pozwalało mi przypuszczać, że obecni zapewne słuchali rozmowy Cesi ze Starym: telefon stał w przedpokoju, tuż przy otwartych drzwiach jadalni. Często zerkałem w tym kierunku, szlag mnie trafiał, bo znaczące spojrzenia jakoś coraz wyraźniej łączyły mnie z Cesią. Czułem się nieswojo: nie tylko ta sprawa z Howardem, ale jeszcze fałszywa sytuacja tu. Wiedziałem, że cokolwiek powiem i jakkolwiek się zachowam, obecni i tak zinterpretują to sobie jako potwierdzenie własnych przypuszczeń i życzeń. Sosna uśmiechał się do mnie z wyraźną aprobatą i przymilnością, jego siostrzenica wypytywała się o Ignaca, też cała w uśmiechach, pani Michniewiczowa wzdychając często obfitym biustem puszczała w obieg konstatacje, że samotność na emigracji to chyba najgorsza

rzecz, że inteligentny mężczyzna (to niby ja!) powinien myśleć o założeniu rodziny, że Cesia uzyskała wreszcie dyplom pielęgniarki, co daje nie tylko dobry zawód, ale i dla przyszłego męża gwarancję, że potrafi chodzić koło niego na wypadek jego (nie daj Boże!) choroby. Major zaś prowadził w ten sposób rozmowę przy kolacji i brydżu, aby jak najwięcej dowiedzieć się o mojej rodzinie. Sugerował również, ażebym wkrótce rozglądnął się za jakąś lepszą pracą, bo niby ta posada (grzeczny był, kopany, o pracy stróża mówił: posada!) w porcie na pewno nie odpowiada moim aspiracjom; to mogło być dobre na początek, ale przecież trzeba myśleć o przyszłości. Najgorszym aspektem emigracji jest deklasacja! — wywodził, a Sosna kiwał głową.

— Na Nowej Gwinei — mówił, dolewając wina — też pan pracował ciężko i na byle jakim stanowisku, ale ostatecznie było się młodszym i odkładało się sporo, teraz należy pomyśleć o jakiejś lżejszej pracy, lecz dającej pewną pozycję.

— Cholera! — myślałem ze złością. — Wypytuje się okrężną drogą ile też tam u Shella odłożyłem do banku. Teść, szlag by go trafił!

Brydż był nijaki. Ciągłe wstrząśnięty rozmową z Howardem widziałem jak na filmie czasy tuluzańskie. Nacodziły mnie jakieś drobne, niezauważone dawniej szczegóły, niejasności, a wywoływało to obecnie różne refleksje. Oto przypomina się mi, że Julek często opowiadał o swych snach. Śmiałyśmy się wówczas z jego snowidztwa, z jego wiary w sny, i z ich interpretacji. „*Tylko w naszych snach jesteśmy wolni — mawiał — tylko w nich możemy być sobą, bo nie ma wtedy nacisku rzeczywistości. Motorem snów, ich najważniejszym podkładem, pożywką, nawozem, są nasze obawy i lęki. Niektórzy ludzie niechętnie przyznają, że w snach objawia się ich niezaszachrowana osobowość i że za pomocą snów przekazuje ona nam w jakiś sposób swe posłanie*”. Oto znów śledzę teraz w męśli jakimi ulicami udaliśmy się wówczas z Julkiem pod dom Duchêne'a. Już nie pamiętam czemu, ale w ulicę des

Remparts weszliśmy od strony placu Esquirol; krócej byłoby przez plac Capitol, musieliśmy wówczas nakładać drogi bocznymi uliczkami, których nazwy nie zapamiętałem. Powinno to było nas zastanowić bodaj na chwilę, jednak jakoś przeszło niezauważone. Albo przypomina mi się zabawna scena: Julek ulegający perswazjom Starego, aby dał sobie zrobić portret. Oto idzie do jakiegoś artysty-malarza Greka, uniedzielniony i wygolony, a my szydzimy zeń po sztubacku. Żegna się z nami w *Jardin des Plantes*, gdzie pachniały odurzająco magnolie i przechodzi furtką w uliczkę Dumeril, dotykającą jednym chodnikiem parku; po drugiej stronie są małe czerwone domki — Tuluza prawie cała zabudowana jest czerwonymi domami z cegły — tam mieszka ów malarz. Co też stało się z owym portretem? Nikt z nas go nie widział — myślę, dając karty. Nagle ogarnia mnie niechęć: dobrze, owszem, w przybraniu sobie pseudonimu „Maldoror” była jakaś trochę studencka maniera, dużo pozy; lecz poza i maniera nie były szkodliwe, a pseudonim brzmiał krótko, był łatwy do zapamiętania, oryginalny: różnych Bayardów, Tygrysów, Robertów i innych było do cholery i trochę, że nieraz wynikała pomyłka. A Maldoror na pewno był mniej pretensjonalny niż na przykład *Vieil Océan*, Maldoror mógł od biedy być imieniem, a Stary Ocean to po prostu dziwolog. Że też nikomu z nas wówczas nie przyszło do głowy, że musi być jakiś głębszy sens i podkład, dlaczego Stary przyjął ten właśnie pseudonim. Trzeba by znowu przewertować Lautréamonta, postanawiam z niechęcią. Ostatecznie książki są do czytania, nie do ślęczenia nad nimi, nie do wgłębiania się w nie jak w preparat, nie do szukania klucza aby rozwiązać zagadkę czyjegoś fioła. Książki mają być dowodem w koszmarnym śledztwie? Czy literatura może urzekać życie realnego faceta do tego stopnia? Czy powinna? Ech, strofuję się, bredzisz Zenku, a różni Kmicice, Bohuny i Rzędziany, masowo przybierani jako pseudonimy w Polsce, to nie to samo? Tak, niby to samo, jednakże takie sienkiewiczowskie nazwisko określało wyraźnie sylwetkę, na jakiej chce się wzorować

dany partyzant, każdy wiedział co to ma znaczyć: fantazja, junackość, cwaniactwo. A tu? Co ma znaczyć ten *Stary Ocean*? Byłem zły na siebie, co komu przyjdzie z takich filozofowań? Do podobnych spekulacji myślowych należy mieć więcej elementów, większy — jak mówią Francuzi — багаż intelektualny.

Sosna był wyrozumiały, nie karmił mnie za złą licytację, w całym towarzystwie panował nastrój uroczystej pobłażliwości wobec nieśmiałego młodziana w zalotach. Denerwowało mnie to, ale pozwalało również przemyśleć sobie wszystko od początku, przeanalizować sytuację. Mówić coś tym ludziom nie miało najmniejszego sensu. Nie uwierzą, nie zrozumieją, będą przerażeni. Zaczekam na Ignaca.

Dopiero po pierwszym robrze rozmowa zeszła na temat interesu, jaki major miał podobno do mnie.

— Czy pan dawno zna Howarda? — spytał przy kawie, podczas gdy Cesia i Sosna kłócili się nad niezgadzanym się zapisem robra. Wygrałem go z Sosną dość wysoko. „*Zakochani mają szczęście*” — westchnęła domyślnie pani Michniewiczowa. Nie podtrzymałem nawet uśmiechem tej uwagi: przecież musiałyby to znaczyć, że Cesia, która przegrała z ojcem, nie jest zakochana, a stary kawaler Sosna nigdy — o ile mi wiadomo — nie był jeszcze zakochany. Westchnienie więc pani Michniewiczowej rozwiło się niezauważone. Byłem z tego zadowolony, odpowiedziałem majorowi:

— Jeszcze z Francji, panie majorze.

— A w sprawach pieniężnych, to człowiek uczciwy?

— Bo ja wiem? — A co pan major ma na myśli?

— Pytam dlatego, że wspólnik mój zaczął ostatnio przeprowadzać na własną rękę jakieś dość dziwne operacje finansowe. Dotychczas zakupywaliśmy oddzielnie, szperaaliśmy za antykami każdy na swego nosa po różnych licytacjach, a zyskami dzieliliśmy się po połowie i wszystko było w porządku. Od pewnego wszakże czasu pana Howarda zaczęły interesować bumerangi, oszczepy, tarcze, totemy i inne przedmioty kultu i folkloru z kraju Arnhem.

Lokuje w tym sporo naszego kapitału, a na wszelkie zapytania daje mi wymijające i nie zawsze grzeczne odpowiedzi.

— Bo on już taki jest, Tatusiu — wtrąciła Cesia — trochę dziwak, trochę maniak, ale ma złote serce!

— Może, może — skrzywił się major. — Odnoszę również wrażenie, jak gdyby chciał zmobilizować większą sumę pieniędzy i wynieść się stąd chyłkiem.

— Proszę cię, Wituś — skarciła go żona. — Jak tak możesz mówić o swym przyjacielu? Jeszcze pan Zenek pomyśli sobie o nas nie wiadomo co.

Przesiadłem się, grałem teraz z majorem. No, widzisz — mówiłem sam do siebie w myślach — gdybyś im cokolwiek na Starego powiedział, nie uwierzyliby ci, jeszcze byś sobie zaszkodził, cholera. Wziąłem rozdane karty, ułożyłem je według kolorów. Ponieważ nie ma co im mówić o rozmowie ze Starym, nie miałyby więc i sensu mówienie o nim ujemnie. Oni chcą go widzieć takim jakim się im wydaje. Będę więc mówił ostrożnie, fakty, ich ocenę pozostawiam Michniewiczom. Czy to tchórzostwo, że zamiast rąbnąć pięścią w stół i krzyknąć, iż to morderca, wariat i sadysta, będę im opowiadał o zainteresowaniach Starego na temat *aboriginals*? Wiedziałem, że wtajemniczenie ich w przebieg rozmowy z Hendricksem nie ma sensu, czułem jednak zgagę w stosunku do samego siebie. Trzeba czekać na Ignaca, ale czy nie byłoby wskazane powiedzieć mniej więcej tak: „*Państwo pozwolą, ale na temat pana Howarda nie mam zamiaru zabierać głosu*”. Powinienem tak powiedzieć, ale jak to oni zrozumieją? Zrażę ich do siebie i tyle, a mogę jeszcze ich potrzebować w rozpracowaniu Starego. Błędne koło! — otarłem pot z czoła.

— Zaraz puszcze w ruch wiatraczek elektryczny — podniosła się pani Michniewiczowa. — Tak nadymiliście tu — zwróciła się do męża i Sosny, jak gdybym ja też nie palił — że pana Zenona pewnie głowa boli z gorąca i zaduchu. Ireczko, bądź łaskawa szerzej otworzyć drzwi na balkon.

— Kiedyś — zacząłem — Howard mówił mi, że gdyby ktoś umiał zainteresować Amerykę i Francję sztuką tubylczych ludów pierwotnych, to zbilby na tym ciężką forszę. Jest zachwycony zwyczajami i sztuką *aboriginals*, oburzony egoizmem i niehumanizmem białych, którzy, niby to chroniąc czarnych, niszczą ich; wie, że zetknięcie się kultury, zachowanej bez zmian z okresu kamienia łupanego, z kulturą naszych czasów, musi przynieść zanik tej pierwszej. Howard dużo czyta na ten temat, mówi o tym mało, wiem jednak, że ta sprawa go pasjonuje, nie może się nadziwić, iż są tu ciągle niezbadane połacie lądu, gdzie nie stąpnęła jeszcze stopa białego człowieka. Najbardziej zaciekawiają go legendy i szczupłe dane w związku ze statkami holenderskimi i portugalskimi, które na długo przed odkryciem Australii zawijały tu, zagnane burzą lub świadomie zapędziwszy się w tę połąć globu, rozбивały się u wybrzeży, a uratowana zwykle część załogi — bo wypadków mordowania białych przez tubylców było mało — wsiąkała w miejscową ludność. Sam gdzieś czytałem, że w XVII wieku rozbił się u wybrzeży, na wysokości dzisiejszego Warrnambool, jakiś statek portugalski, zdaje się, że była to *Santa Maria*. Badania antropologiczne, przeprowadzone na tamtejszym szczepie, wykazały, że tamtejsi *aboriginals* posiadali od dawna domieszkę białej krwi w sobie, mieli inną budowę czaszki i byli znacznie wyżsi od innych plemion. (Mówiąc to zastanawiałem się, czy owe moje: *mogę ich potrzebować w rozpracowaniu Starego* z refleksji przed chwilą — jest czyste moralnie, czyżby było tu coś z tzw. ekspedencji moralnej, słowa: *bo będę ich potrzebował* napawają mnie niesmakiem wobec samego siebie. Co ze mną jest?).

— No, dobrze — wtrącił Sosna — ale to *hobby* Howarda nie uprawnia go do angażowania pieniędzy wspólnika w ryzykowne interesy, o których tegoż wspólnika nie zamierza nawet poinformować.

— Pewnie, że go nie uprawnia — wzruszyłem ramionami. — Macie chyba państwo jednak z nim jakąś umowę, rozstrzygającą jasno wątpliwości i broniącą przed tego

rodzaju niespodziankami, przypuszczam, że spisana przez adwokata. Jak w ogóle zaprzyjaźniliście się z nim?

— Poznaliśmy go na okręcie, jechał w sąsiedniej kabinie. Ot, zgadaliśmy się, przedstawił się, że jest oficerem, rozumie pan: brydż, wspólna niepewność co nas czeka na nowym lądzie; jest kulturalny i miły, dziwak jak mówi córka, ale ma złote serce. Zaprzyjaźniliśmy się potem wzięliśmy razem ten interes, nie bardzo znałem się na interesach w ogóle, a co dopiero na antykwariacie, polubiliśmy się; do czasu tych transakcji, które przeprowadza na własną rękę, nie mieliśmy do niego żadnych zastrzeżeń. Ale dajmy temu spokój, szkoda zresztą psuć sobie taki miły wieczór rozmową o nieszkodliwym dziwaku. Zastanawiała nas nieco ostatnio jego nadzwyczajna ruchliwość, ciągle coś załatwia, stale jest czymś zaaferowany, no, ale rober na nas czeka. Jadę z nim pojutrze rano na licytację do posiadłości koło Horsham, podobno zebrano tam wartościowe rzeczy i okazy; będę miał okazję porozmawiać z nim w czasie podróży. Na razie wracamy do brydża. Co pan powiedział? Dwa trefle? — aż poprawił się na krześle z wrażeń.

Popatrzyłem uważniej w swe karty. Owszem, odzywka na szlemika jest. „*Miły wieczór*” i „*nieszkodliwy dziwak*” — pomyślałem ze złością po cholerę ja tu siedzę? Przez chwilę analizowałem na chłodno ewentualność mego małżeństwa z Cesią. Niby wszystko zapowiada się dobrze, warto by wreszcie się okabacić, lata lecą. Miłość? Co to w ogóle jest miłość? Bez miłości małżeństwo ma podobno większe szanse przetrwania niż małżeństwo z wielkiej, szalonej miłości, bo miłość ma to do siebie, że jednego dnia wychłódnie i pozostają wielkie pretensje i rozdzwięki. Nie, Zeniu, nie żen się, a jeśli już koniecznie to z każdą, a nie z Cesią. „*Jemu innej żony trzeba było niż ta mała Francuzeczka*” — przypomniały mi się słowa Starego. Irka nastawiła kilka nowych płyt, pani Michniewiczowa kierowała swój rozmarzony wzrok na mnie, ilekroć na nią popatrzyłem; czułem jednak dobrze, że gdy nie patrzę na nią, obserwuje mnie pilnie i badawczo. Sosna poprawił

się w krześle, Michniewicz nie miał kart, powiedział więc tylko (z bólem w głosie): „Dwa bez atu”. Cesia się przyczaiła, wyczuwałem u niej kartę, Sosna dalej wiercił się niespokojnie. Spojrzałem na zapis, tak, dwa bez atu kończy nam partię, po co pchać się na wyższą grę, dobrze: pas.

— No, to gramy! — westchnął Sosna i popatrzył znacząco na Cesię. Miała wyjść.

Wykładając karty pomyślałem, że to chyba dowód tchórzostwa z mej strony i skrępowania konwenansem, iż nie wstanę i nie krzyknę z brutalną szczerością: „*Słuchajcie! Z tym liczeniem na małżeństwo to jakieś nieporozumienie! Nie będzie małżeństwa, bo nie lubię Cesi i nie chcę się żenić. Wiem, że jestem trochę dziwakiem, przyczyn tego nie znacie, ani nie zrozumiecie. Na pewno w tej chwili oceniacie mnie korzystniej, niż jestem w istocie bo każdy nagina swój sąd do swych zamiarów i planów, ale ja nie będę partnerem do małżeństwa, nie nadaję się i nie chcę. Jeśli jestem wszakże dziwakiem, to jedną z przyczyn mego dziwactwa jest ten łotr Hendricks, który zamordował Julka, ten łotr Hendricks, który zorganizował sobie włusną grupę likwidacyjną, bo jest potworem, sadystą i zboczeńcem. A zorganizował po to, aby pod pozorem wykonywania wyroków Résistance, wykańczać ludzi, niewinnych ludzi, my zaś idioci, Julek, Ignac, ja i inni słuchaliśmy ślepo i kochaliśmy tego obłąkańca. Dopiero teraz jestem przygnieciony ogromem naszej łatwowierności, karygodnej, zbrodniczej łatwowierności. Żebyście wiedzieli jak to może ciqżyć!*

— Bardzo przyjemne jest to nagranie, co? — spytała Cesia. — Później puszczę panu kilka piosenek Charles Treneta i Yves Montanda. Gdybym miała pieniądze, to bym tylko kupowała płyty, książki i kwiaty i siedziałabym w domu. Świat mógłby dla mnie nie istnieć.

— Siedziałabyś w domu i żarłabyś cukierki, słuchając płyt — pomyślałem, patrząc na nią. Nie była brzydka, ubierała się ze smakiem; ani ojciec, ani matka nie byli otyli, może więc i ona na starość się nie rozleje? Na razie

jest trochę za otyła. Ale co mnie to zresztą obchodzi? Obserwowałem siostrzenicę Sosny, Irkę, jest zakochana w Ignacu, w niej chcę znaleźć sprzymierzeńca do rozprawy ze Starym Oceanem. Lecz do jakiej rozprawy? Nie umiałem zdefiniować stanowiska, jakie zajmę wobec Starego. Pierwszym impulsem było: zadusić Starego, miał jednak stary lis rację, iż nikt mi nie uwierzy. A z chwilą, gdy Howardowi naprawdę nie zależy na życiu, jaką karą będzie dla niego śmierć z naszej ręki, skoro to wpakuje nas do więzienia? Muszę poczekać na Ignaca, to chodziło o jego brata. Cóż za niesamowita sytuacja — wściekałem się. Jakikolwiek był powód, że Hendricks przyznał się — wyrzuty sumienia, czy strach przed zacieśniającym się kręgiem podejrzeń — Stary zagrał po mistrzowsku: przyznał się, a mnie sparaliżował, obezwładnił. Zyskał bezkarność, bo rzeczywiście kto by w to uwierzył? Ale po co, dlaczego się przyznał? Jaki był tego powód? Bał się? Czego? Istotnie przygotowywał, lub przygotowuje swe zniknięcie z Melbourne? Znowu żałowałem, iż go nie zadusiłem, niech by się działo co chce, mniejsza o konsekwencje! Wzrastała we mnie zaciętość: dobrze, jesteś cwany, mecz potrwa długo i będzie ciężki, ale ty przegrasz. Trzeba teraz dużo cierpliwości i uporu, trzeba przebiegłości. Jak jednak mogliśmy być aż tak łatwowierni i to tylu z nas? Czemu obecnych wątpliwości nie dostrzegaliśmy wtedy? Jak to jest możliwe, że ten sam człowiek na tę samą sprawę ma dziś inne spojrzenie niż wtedy? Że wówczas nie dostrzegał tego, co dziś mu się wydaje jasne? Co tu zmienia dystans lat? Czy tylko doświadczenie życiowe przydaje istotnie nowej ostrości spojrzeniu na wspomnienia? Że ja naprawdę byłem aż tak głupi? W innych sprawach nie głupi i ostrożny, umiejący przewidywać i pracować mózgiem, tu, w tej dziedzinie byłem tak przerażająco naiwny?

Poczułem się bardzo samotny. Ciężar tej sytuacji był ponad me siły, naprawdę przygniatał. Cóż może być gorszego niż świadomość bezsilności wobec podłości i przebiegłości u ludzi, którym ufaliśmy? Taka bezsilność i głucha złość na siebie samego, iż do zaistnienia tej sytuacji nie-

świadomie sam się przykładalem — to dno udręki. Sam jestem temu winien, choć jestem niewinny.

Jak poznałem się z *Vieil Océan*? Po ucieczce z niewoli udałem się z Julkiem do Marsylii, gdzie nas władze Vichy podleczyły, zdemobilizowały i wysłały do obozu pracy w Garrigues. Był tam stary znajomy Julka i Ignaca, niejaki Kołodziejczyk, czy Mikołajczak, korespondował z Ignacem, który pracował na farmie u pewnego osadnika polskiego koło Tuluzy. Wkrótce później Ignac wszczął w Czerwonym Krzyżu starania o stypendium na studia. Chcieliśmy dalej walczyć, lecz skoro do Anglii nie można było się dostać, to lepiej było studiować, aniżeli siedzieć w obozie. Pojechaliśmy więc do Tuluzy, tam przez Ignaca, już w czasie studiów, poznaliśmy Roberta, tego, co później zmarł najzwyczajniej w łóżku, zatruwszy się nieświeżą rybą na weselu kolegi. Robert długo nas przekonywał, że to właśnie my powinniśmy podjąć się niebezpiecznej i nie-miłej, ale koniecznej roboty wykonywania wyroków. Ujął nas komplementem, że Francuzi są niemrawi, kluski w gębie, że nie mają tradycji konspiracji, że solidnych i chojraków znaleźć można jedynie pośród cudzoziemców. (Rzeczywiście, Francuzów w naszej siatce było mało: Robert i mało nam znany Charles. Wtedy nam to imponowało, dziś, patrząc jak major rozgrywa dwa bez atu, doszedłem do wniosku, że i to było świadomym pociągnięciem ze strony Starego. Wyizolowanie od Francuzów stwarzało szanse trwałości dla tego rodzaju dzikiej grupy. Nawet to, co wtedy łechtało naszą ambicję, dziś rozumiem inaczej).

Po niedługim czasie poznałem Starego. Wybraliśmy sobie pseudonimy i zaprzysięgliśmy mu posłuszeństwo. I tak się zaczęło. Szeł zdziwił się, gdy usłyszał imię *Maldoror*, nic jednak nie odpowiedział. Przy jakiejś okazji tylko mruknął: „Wiesz, *Maldoror*, ja w zamierzchłych czasach wykładałem literaturę francuską, bardzo się cieszę, że czytałeś *Lautréamonta*”. A dziś po prostu zalewa mnie zdziwienie i niesmak, jak mogłem wybrać taki pretensjonalny i kabotyński pseudonim? Jasne było wtedy, że w konspiracji identycznego pseudonimu nie spotkam; nawet w obie-

raniu pseudonimu, pod którym mogli ginąć na zawsze. zostawiając swe życie i inne egzystencje na uboczu, ludzie przejawiali brak indywidualizmu.

Na pierwszą akcję poszedłem z Julkiem i ze Starym. Julek już miał „na rozkładzie” jakiegoś wyższego urzędnika *Ravitaillement*, który nie chciał dać fałszywych kart żywnościowych dla naszej grupy i był podobno agentem Gestapo. Zgrywał się więc Julek na otrząskanego weterana, nadrabiał miną i przekonywał mnie, że rąbanie faceta nie pozostawia żadnych niemiłych wstrząsów urazów, czy wspomnień. „Wiem — wykladał swą filozofię życiową w tym okresie — że trzeba go zlikwidować, bo zdrajca, a więc w czapę, kropka i po krzyku. Po kilku egzekucjach podchodziłem do następnych jak dentysta do rwania zęba”.

Moim pierwszym pacjentem był pewien wyższy urzędnik kolejowy z dworca *Toulouse-Matabiau*. Ustaliliśmy uprzednio, że w przerwie obiadowej nie opuszczał biura, choć cały personel udawał się do stołówki na dworcu, lub do przydworcowych kafejek. Julek pozostał na dole przy drzwiach, ze Starym wszedłem na pierwsze piętro. Kazał mi czekać, wszedł do pokoju za załomie korytarza, po krótkiej rozmowie wyszedł stamtąd spokojny i mruknął:

— To ten. Nikogo tam nie ma. Idź! Strzelaj z bliska. Nie bój się nic. Masz dobry brownig z tłumikiem. Ja tu postoję. W razie czegoś pamiętasz adres Julienu; tam się spotkamy, gdyby coś nawaliło. Ale nic nie nawali.

Rzeczywiście nic nie nawaliło. Zapukałem, facet podniósł wzrok znad rozłożonej gazety — „*La Depeche*”, pamiętam — na biurku miał termos i kanapki, w oczach i w głosie, gdy spytał — *vous désirez?* — było zniecierpliwienie że mu przeszkadzają w jedzeniu.

— Teraz jest przerwa obiadowa! — dodał sucho.

Ukloniłem się mu, zbliżyłem się do biurka i obszedłem je. Wyciągnąłem rewolwer. Facet zastygł w przerażeniu. „*Najbardziej ludzki wyraz twarzy ma każda kanalia w strachu*” — pouczał Julek — „*ale nie daj się nabrać na te kawałki, bo sam zginiesz*”...

— Ale za co? Dlaczego? Czy pan jest z *Résistance*?
— wybąkał biały i skamieniały ze strachu, pamiętam: nazywał się Jean Simon Dujardin, tak go potem w nekrologach i gazetach opisano, twierdząc, co było normalnym chwytem propagandy niemieckiej i pétainowskiej, że zamordowali go bandyci.

— Za zdradę Narodu Francuskiego — powiedziałem szybko i pociągnąłem za cyngiel dwukrotnie. Tamten skrzyknął się, zmalął, z nosa spadły mu okulary, miał przez chwilę rozczapierzone ręce i oto jego w szpony przemienione palce zaciskały kurczowo powietrze, coś jęknął, charknął i runął pod biurko; spadła nań gazeta i niedokończony sandwicz. Strzelałem z odległości trzydziestu centymetrów, w serce. Natychmiast cofnąłem się o krok, bojąc się, że może się na mnie zwalić, jak to przydarzyło się małemu Leonowi, gdy rozwalał Niemca w nocnym ekspresie, idącym na Brive.

Stary Ocean palił fajkę w korytarzu.

— Idź spokojnie, wyjmij z kieszeni swego Lautréamonta, weź go pod pachę, włóż ciemne okulary i oddaj mi ten rewolwer. Nic ci nie grozi. *C'était pas mal du tout, mon vieux* — poklepał mnie po ramieniu.

Bez rewolweru w kieszeni i z tym szwajcarskim wydaniem „*Les Chants de Maldoror*” (dostałem książkę na imieniny od Julka), nic mi istotnie nie groziło, tym bardziej, że budynek był pusty i nie wszczął się żaden harmider. Wyszedłem, na dole stał Julek, jadł czereśnię i pluł pestkami na chodnik. Tramwajem, przesiadając się dwukrotnie, (na wszelki wypadek) zajechaliśmy do kawiarenki Juliana. Pierwszy wyrok był „*śpiewająco*” łatwy. Później procedurę usprawiono. O ile było możliwe, czytano skazanemu wyrok śmierci, wymagało to obecności przynajmniej dwóch ludzi: jeden czytał, drugi miał skazanego na muszce lufy. Pisany na maszynie — Stary doręczał nam owe papierki — wyrok pozostawiało się po egzekucji na widocznym miejscu, lub przyczepiano do ubrania trupa. Obwieszczenie głosiło, że to Ruch Oporu wykonał wyrok śmierci na zdrajcy.

Sosna rozdał karty, spasował. Major zalicytował odzywkę do szlemika. Cesia spasowała. Podniosłem majora o dwa, gdyż miałem asa i króla karo. Sosna zmarszczył się gniewnie, Michniewicz wiercił się, przestał nawet cytować ciągle te same powiedzonka brydżowe na każdą okoliczność. Cesia poprawiła fryzurę i szybko schwyciła kilka cukierków z talerzyka stojącego na stole. Sosna wyszedł królem trefl, albo to singel, albo ma mariaża. Ja wyłożyłem karty, naprzeciw mnie miałem teraz skupionego i przejętego majora; za nim stała Irka i pani Michniewiczowa, uśmiechami dając mi znać, że szlemik wyjdzie. Karta rzeczywiście mi sika, jak mówili w Krakowie, drugi szlemik. Dobrze, że rozgrywa major, nie muszę myśleć, wyłożyłem karty i patrzę spod oka na Cesię. Właściwie jest apetyczna, kawał baby, ogarnia mnie nalot żądz, złość na siebie, bo inni to jakoś potrafią nasmytrać sobie babę, a ja, cholera, mam opory, za uczciwy jestem. Czekam na miłość, żądza bez tliwości to jeszcze za mało dla mnie, aby spać z kobietą. Wiem, że jest tu daleki pogłos wychowania, literatury romantycznej, jakieś zbyt polskie idealizowanie kobiety, jakieś zbyt może sztubackie koncepcje grzechu i religii. Zły jestem na siebie: sam sobie życie utrudniasz — strofuję siebie — niedość, żeś łatwowierny bęćwał i niezaradny życiowo facet (bo inni jakoś mają forszę, a ty nie!) to jeszcze masz swoje fiubździi i naginasz życie do swych tęsknot i wyobrażeń, sam sobie życie utrudniasz. A latka lecą i ani się nie obejrzysz, Zeniu, a tu starość czeka i kiwa na ciebie palcem. I coś zrobił? Nic. Nawet nie żyłeś. Gdzie są twoje radości życiowe, twoje pasje? Czy można do życia podchodzić w ten sposób, że człowiek na nie się dumnie wypina czterema literami? Wypina się, czy udaje? A teraz jeszcze ta sprawa, jej ciężar! Przyglądam się wszystkim obecnym, każdy gra swe życie w innej tonacji niż ja. Może jeszcze Irka zrozumiałaby mnie, ale czy to też nie złudzenie?

Tak, pierwszy wyrok przeszedł „śpiewająco”. Było trochę zgagi, wstrząsu i katzenjammeru moralnego, lecz

jakoś to wszystko rozeszło się po kościach, wyparowało. Inna rzecz, że i Stary i chłopcy robili co mogli, aby takiego nowicjusza rozerwać. Wybraliśmy się potem całą paczką na operetkę, grano wtedy w Capitolu „Dzwony Kornewilskie”; Ignac miał tam znajomą w balecie, ładną siksę, która z innymi, podobnymi do niej dziuniemi zbierała owoce w sadzie. Po przedstawieniu pojechaliśmy za Garonę, do jakiejś marokańskiej knajpy, na wódkę oraz na *cous-cous*. W takich razach też wyjeżdżało się na kilka dni do owego osadnika Błaszczyka, gdzie czekało dobre żarcie, jakiego brak było w mieście. No i tak jakoś wciągnąłem się w tę robotę. „Człowiek przyzwyczai się do małżeństwa, do życia z obcym i innym człowiekiem, a do tego by się nie przyzwyczail?” — powtarzaliśmy butadę Starego, której używaliśmy raczej na jego odpowiedzialność, jako że każdy z nas był kawalerem. Za to Charles, dwukrotny rozwodnik, z przekonaniem zapewniał nas o głębokiej mądrości życiowej tego powiedzonka swego trzeciego szwagra, jako że rok temu ożenił się z siostrą żony Hendricksa. Żonę Starego aresztowano w Belgii i ślad o niej zaginął, nic też o niej nie mówiliśmy, z delikatności. Żona Charlesa wyjechała, jeszcze przed naszym wstąpieniem do organizacji, na teren okupowanej Francji. Wszyscy wtedy mieli życie rodzinne rozbite.

Major zrobił szlema, biło zeń zadowolenie, znowu wysoko wygrał robra.

— No, teraz my gramy razem — pisnęła Cesia — żeby tylko panu, panie Zenku, dalej dopisywała karta, to ich śpiewająco położymy. Na mnie niech pan nie liczy, jestem stale biedna jak kościół w Pyzdrach: ani jednej figury.

— Śpiewająco! — myślę niechętnie. — Wszędzie to „śpiewająco”.

Chciałem skoncentrować się na grze, wpatrywałem się w karty, grałem wolno i z rozważą, ale ciągle w myślach kłębił się Howard-Hendricks-Vieil Océan, Julek, tamte czasy i tamte sprawy, na które nagle padła smuga innego ostrego światła i ukazała je w odmiennym, prze-

rażającym kształcie. Brydź kiedyś musi się skończyć i muszę wrócić do siebie na noc, gdzie pod tym samym dachem mieszka właśnie Stary.

7

Ignac jeszcze w poczekalni dworca lotniczego zauważył:

— Co z tobą? Nie w sosie jesteś?

Lecz nie czekał na odpowiedź i z miejsca wtajemniczał mnie dalej w swoje plany.

— O czym mówiłem? Aha, o tym Ukraińcu! Wiesz, spiknąłem się tu z jednym Ukraińcem, miły facet, chłop jak dąb, studiował w Berlinie, zdaje się, że pracował jako operator filmowy w „Ufa”, chcemy zorganizować wyprawę do Środkowej Australii, albo na Północ, do Arnhem Land, przecież są tam połacie, których oko białego człowieka nie widziało jeszcze. Zamierzamy fotografować, potem film sprzedamy, przy okazji może się co upoluje, parę kangurów, psów dingo, zdziczałego w pustkowiu bydła, krokodyli, może natrafi się na złoto, kapujesz, albo rude uranową, opal; ogarnęła mnie gorączka przygód.

Ignac był opalony, tryskający zdrowiem, usta mu się nie zamykały, ponosiło go.

— Nie wspominałeś nic Staremu o wyprawie? Zresztą sam niewiele wiedziałeś, chciałbym go ustrzelić na pożyczkę — zachichotał. — Wiem, że jakoś mnie unika, czy boi się, kto to wie? O co mu idzie? Ale wiadomo mi również, że sprawy *aboriginals* pasjonują go, jest czytany w tej materii, może nam pomóc radą, kopany dziwak. Czemu właściwie on na mnie się boczy? Czy ja mu mamę zamordowałem? Dziwak był, trącał go pies, sprawy *Orange II* są już poza nami, tyle lat od tego czasu minęło i to jakich lat! Pamiętasz mój list o Starym, jak przyjechałeś? Wy-

czuwałem u niego jakąś dziwność, to starość mu na mózg uderza, domyślałem się, że to moje podobieństwo do Julka przypomina mu owo wysłanie brata na likwidację Duchêne'a. Szkoda Julka, chyba ja to najgłębiej odczułem, rąbnęła mnie jego śmierć jak obuchem, ale kto mógł wtedy przypuszczać, że Julek zginie? Po latach jednak wszystko już we mnie się uspokoiło, ustało niby woda po wrzuconym kamieniu. Kropka, chłopcze! Piętnaście lat, obecnie żyjemy na innej planecie, w innych wymiarach i sprawach. Jak myślisz: Howard ma forszę? Chcę pożyczyć u niego trochę grosza!

— Forszę? Chyba ma.

— A ty pojechałbyś z nami?

Milczałem, po chwili spytałem:

— A skąd miał forszę na nas *Vieil Océan* w Tuluzie?

Ignac, ciągle młodzieńczy Ignac, parsknął śmiechem:

— Skąd? Przecież mu dawali! *Résistance* miała forszę! Tego nie robi się bez pieniędzy! Z księżycy spadłeś, nie wiesz o tym?

(Rozwahałem po powrocie z brydża, czy nie spytać Starego o to wprost, ale, niestety, już spał. Rano go nie widziałem, śpieszyłem się zresztą na lotnisko, a dojazd tramwajem do Essendon zabiera ponad godzinę czasu. Ignac miał przylecieć o 10 rano).

— Może gdzie wstąpimy na *espresso*? — Ignacowi usta się nie zamykały ani na chwilę. — Wiesz, ten Mudyk, ten mój Ukrainiec, to fantastyczny facet. Dobrał już sobie kucharza z jakiegoś statku, Irlandczyka, tamten ma sześć stóp i kilka cali wzrostu, strzela jak ta lala, pistolet, kozak, mówię ci byczy pasażer. Ma trochę forsy, nie wszystko jeszcze przepił i też mu ciasno w Australii, jak nam! No, pojedziesz z nami? Dużo Stefanowi o tobie opowiadałem, wiesz, on jest z Rusi Zakarpackiej, tamtędy wiaaliśmy na Węgry, pamiętasz? Ładny kraj, co? Stefan wkrótce tu przyleci, zobaczysz co za typ: dobry organizator i uparty. Opowiadałem mu także o Starym. Razem we trójkę wrobimy Howarda w niewąską pożyczkę i pojedzie-

my, Zeniuchna, przewietrzyć się ciut-ciut, bo tu nudno jak cholera...

Milczałem, nie wiedziałem jak zacząć to, co chciałem Ignacowi powiedzieć.

— Chcę po prostu trochę ruchu, chcę zacząć nowe życie, już się rozklejam — pokiwał głową Ignac, zamyśliwszy się przez chwilę.

Podawałem mu papierosa. I jak temu chłopcu, liczącemu aż tak bardzo na pożyczkę od Starego, opowiedzieć, że ten zamordował Julka? Sytuacja jest rzeczywiście niezwykła. Ale powiedzieć mu muszę.

— Jedź z nami — uśmiechnął się Ignac, prawie prosząco.

— Nie mam pieniędzy — wzruszyłem ramionami — ani ochoty.

— Przecież uskładałeś trochę na tym zadupiu w Peta-petak! — naciskał.

— Owszem, ale nie tak dużo, jak przypuszczasz. Pomagałem rodzinie w Polsce. A ochoty naprawdę mało zostało już we mnie na tego rodzaju hece.

— Ale i tobie Stary by pożyczył — zapalił się do tego pomysłu Ignac.

— Stary nie ma wobec mnie żadnych zobowiązań, mnie on brata nie zamordował.

Rozbiegane i pełne życia oczy Ignaca ścięły się, znie-ruchomiały.

— O czym ty mówisz?

Opowiedziałem mu wczorajszą rozmowę ze Starym. Na ulicy dzwoniły tramwaje, szumiał ruch a tu w mrocznym kącie espresso-baru czerwieniejący i blednący na przemian Ignac siedział na przeciw mnie i wpił we mnie swe oczy, pobłyskujące jak u lunatyka. Dał mi mówić, słuchał, widać było, że z trudem wstrzymuje się, aby nie spytać o coś. Słuchał, a potem spuścił głowę nad blat stolika i bawił się oburącz popielniczką, rozsypując przy tym popiół na palce. Czasem grdyka jego napinała się, z trudem przełykał ślinę, więznącą w gardle.

Skończywszy, zamilkłem. Nie byłem pewien czy, mówiąc mu o tym, postąpiłem dobrze. Nie odczułem żadnej ulgi, przygnębienie nie opuszczało mnie, czułem się jak gdybym wdzierał się niepowołany w cudze sprawy, jak gdybym najzupełniej świadomie puszczał w obieg krzywdzące i podłe plotki. Wypowiedziane głośno podejrzenia i obawy wydawały mi się nieco przesadzone, może istotnie stary wariat bawił się mną i zmyślił całą historię? Własne słowa brzmiały dla mnie bardzo nieprzekonywująco.

— Nie wiem — zaczął po długim milczeniu Ignac — nie wiem co o tym sądzić. To nie do wiary. Nie wiem.

— Powtórzyłem ci co sam wczoraj wyznał, opowiedziałem jak me podejrzenia narastały.

— Zenku — ujął mą dłoń i popatrzył mi w oczy — nie chciałbym cię dotknąć, ale może po prostu dałeś się nabrać na jakiś koszmarny ekshibicjonizm Starego, człowieka wytrąconego z równowagi, czy nerwowo chorego, a w każdym razie stojącego już poza wszelkim zainteresowaniem ze strony ludzi; chyba zdajesz sobie sprawę jak bardzo jemu nasz podziw był potrzebny. Może to najzwyczajniej w świecie wariat, może puścił ci gadkę, aby pobawić się tobą? Może będzie teraz obserwował ciebie i śmiał się w kułak, iż cię nabrał? Może ty sam jesteś trochę dziwny? Żyjesz samotnie, zawsze miałeś jakąś niewytłumaczalną słabość do snów, a trapiły cię one zwykle więcej niż innych, prowadzisz nienormalne życie odludka, może i na ciebie przeszczepiły się różne emigranckie psychozy, podejrzenia i predylekcje do postrzegania ludzi gorszymi aniżeli są naprawdę.

— Uhm, psychozy... — zaśmiałem się boleściwie. — Kiedyś tłumaczyłeś mi w liście, że nie uznajesz tego doczepiania mądrych etykietek do stanów w istocie swej prostych. Nie psychoza — tylko wariat! To chciałeś powiedzieć?

— Zeniu, posłuchaj co ci powiem. Tamte lata dopiero teraz na nas pasożytują, dopiero teraz znać je na nas! Nie możemy już wrócić do normalnych egzystencji, w krąg zwyczajnych zdarzeń, trosk i radości, bo nasza kon-

strukcja psychiczna jest już inna; dlatego ja chcę wyjechać tam, gdzie nie ma ludzi, gdzie żyje się prymitywnie, gdzie ma się ziemię gołą pod sobą, a niebo nad sobą, gdzie ma się karabin i gdzie poluje się na zwierzęcą zwierzynę, nie na ludzką! Mnie ta zmiana jest potrzebna. Ty natomiast żyjesz z dziwakiem w starym opuszczonym domu, w dzień śpisz, w nocy pracujesz, nikogo prawie nie spotykasz, masz za dużo czasu na myślenie i grzebanie się w przeszłości. Nie posiadasz żadnych wielkich umiowań, nawet twoje *hobbies* są niemrawe, nic cię właściwie nie bawi, ot, czasem pójdziesz na brydża, posłuchasz płyt, popijesz ze Starym, a ten opowiada ci banialuki. Gdybyś malował, gdybyś pisał, gdybyś wpadł w jakąś manię religijną, gdybyś ty znalazł kogoś lub coś w życiu, co je zapełnia bez reszty — byłbym spokojny o ciebie! Mnie bez reszty pasjonuje ta wyprawa.

— I dlatego, że ci trzeba pieniędzy od Starego, nie wierzysz mi. Gdybym cię nie lubił, określiłbym to liczenie na forszę od Starego jednym słowem — uniosłem się.

— Podłość, co? — pokiwał głową. — Gdybym ci wierzył i wziął od niego forszę, byłbym rzeczywiście kanalią. Ale ci nie wierzę. Czy ostatecznie władze francuskie były aż tak głupie, że nie wpadły na to? Jakkolwiek rzecz ujmiesz, nie rąbaliśmy ludzi niewinnych. Bo gdyby tak było — a cała zabawa w Tuluzie trwała półtora roku — po piętach chodziłyby nam różne grupy *Résistance*. O ile nawet Stary sam typował ludzi na rozwałkę, to widocznie typował ich dobrze, bo nikt z Ruchu Oporu nie miał o to pretensji. Coś mi się tu nie klei!

— A skąd Stary miał forszę? — spytałem.

— Skąd? Stąd co wszyscy, płacono mu, z Londynu przecież zrzucano forszę całymi workami. Wszyscy wtedy drukowali franki Vichy: Vichy, de Gaulle, Anglicy i Ruch Oporu. Nawet jeśliś przyjął, że Stary mówi prawdę, iż grupa nasza była dzika, to musi być w tym trochę przesady. Bez żadnych powiązań nie mogłaby istnieć duża bądź co bądź siatka i to jeszcze przeszło półtora roku. Jaki też byłby powód, że belgijski oficer rezerwy, profesor litera-

tury na uniwersytecie w Leodium organizuje na własną rękę ni mniej ni więcej tylko jakieś koszmarnie prywatne przedsiębiorstwo wykańczania ludzi? Zboczenie? I my nie zauważyliśmy wtedy, że był zboczeńcem? Może teraz dostaje fioła, każdy go dostaje, ale wtedy na pewno nie był zboczeńcem. Więc?

— A jaki jest powód, że Hendricks nie wrócił po wojnie do siebie? Do Belgii? Jemu komuniści nie odbierali do tego ochoty, jak nam. Czy to nie nasunęło ci żadnych podejrzeń? — wołałem.

Milczał. Mówiłem dalej:

— Jesteś przykładem, że podświadomie, czy świadomie wiesz, iż Hendricks będzie ci potrzebny — ta pożyczka, bez której nie pojedziesz — dlatego też dobudowujesz sobie całą konstrukcję wątpliwości i zastrzeżeń, bo bez nich nie mógłbyś skorzystać z tej pomocy, a musiałbyś rąbnąć mordercę twego brata. *Rien n'est moins étrange que les contrariétés que l'on découvre dans l'homme.*

— Ach, odpieprz się z tym Lautréamontem! — uniósł się Ignac. — To ty chyba jesteś kopnięty! Myślałem, że już ci przeszło, te króliki w głowie na punkcie Lautréamonta, pisarza, o którym mało kto słyszał, a nikt nie rozumie jego majaczeń. Myślałem tak, ale się myłę: może i Staremu wrócił dawny profesorski fioł. Trochę ci to wtedy imponowało, to rozumiałe było w tamtych czasach, lecz teraz powinno było ci wychłódnąć ze szczętem. Kupa śmiechu z tym całym Lautréamontem i Starym. Więc co? Może on sobie ubzdurał, że jest wcieleniem Maldorora i chce biegać po świecie w charakterze demona zła? I szuka frajerów, którzy by na serio wzięli jego *idée fixe*? Jeśli naprawdę nie chcesz jechać z nami, to złap sobie kawał baby, bo ci sperma uderza na mózdzek. Sperma, klimat tego kraju, literatura, urazy i inne duperele. Ożeń się: żona cię nauczy, że trzeba żyć realnie, że należy ją wyprowadzić do teatru, do znajomych, w domu też zawsze jest coś do zrobienia, a małe migli-migli, ugryź swoje słoneczko, a czy mi do twarzy w tej sukni, a co na kolację, a rachunek za gaz, a zlew się zatkał, a co powiedziała ta

plotkara Buba, a głowa mnie boli, a to i owo, a tego śmego. Ożeń się chłopcze: baba ściągnie cię za nogi na ziemię, uziemni, urealni. I jak w drzewie słoje, tak wokół ciebie narastać będą troski, tłuszcz i przyzwyczajenia. Będziesz miał komu sny opowiadać, lecz, serce, uważaj, ażeby to ona cię nie zamęczyła swoimi snami, albo utyskiwaniami na wątrobę, czy inne dolegliwości.

Wzruszyłem ramionami. Dobrze mi tak: jeszcze ze mnie wariata robią. I kto? Przyjaciół, brat tego biednego Julka. Przypomnienie tego imienia dźgnęło mnie jak ostroga.

— Dobrze, Ignasiu, rób ze mnie idiotę. Uważałem, że było mym obowiązkiem powiedzieć ci o tym. Reszta to twoja sprawa. Nie wracajmy więcej do tego tematu.

— Zresztą zapytam o to Starego — zaczął pojednawczo Ignac.

— Słusznie! — zaśmiałem się z goryczą. — I on wszystkiego się wyprze! A tobie da forszę i pojedziesz do środkowej Australii z tym Ukraińcem i z tym dwumetrowym kucharzem i wszystko będzie w porządku. Jeśli bym zaczął cokolwiek przeciwko Staremu na własną rękę, to nikt mi nie uwierzy, jeszcze pociągną mnie do sądu za oszczerstwo. Gdybym powiedział coś Michniewiczom, to by się odwrócili ode mnie, bo są z Howardem związani towarzysko i w spółce; już by mi nie wtykali opychającej się cukierkami córki Cesi na żonę, a jeszcze z oburzeniem mówiliby innym znajomym, że taki intrygant i podły człowiek ośmielił się podnieść oczy na ich córkę i pod pretekstem konkurów objadał ich i zanudzał swym towarzystwem.

— Nie wiedziałem, że się kręcisz koło Cesi, — w głosie Ignaca było ubawienie. — Ona pracuje razem z Irką. No, życzę ci wszystkiego najlepszego.

Zastanowił się przez chwilę o dodał:

— Obawiam się, że gdybyś zaczął jakąś akcję przeciwko Staremu, to w najlepszym razie wyszedłbyś na Don Kichota i wariata, bardzo też prawdopodobne, że na oszczercę. Jeszcze prawo i społeczeństwo byłyby po jego

stronie. Bo gdzie masz dowody? Twoje sny i bredzenie po pijanemu — bo piliście wczoraj — starca, chcącego epatować dawnego podkomendnego, który zrządzeniem losu zjawił się u niego w domu? Ów starzec zresztą zaraz też zorientował się, że dawny magiczny, niemal hipnotyczny wpływ — to dziś puc. Stary należał i dalej należy do typu ludzi, którzy potrzebują uznania, wpływu, bez tego się duszą, są niczym. I to ma być dowód? Za mało tego, Zenku. Ludzie ciągle popełniają ten błąd, że swe największe przeświadczenia awansują do rangi niezbitych dowodów.

— Dobrze — mruknałem niechętnie — przerywamy dyskusję. Idź teraz do mordercy swego brata i poproś go o pożyczkę na tę wyprawę do niezbadanego wnętrza Australii. Wiesz Ignac? Tak już jest na tym świecie, że każdy ma à *revendre* pełno rad i mądrości dla innych tylko sam ciągle jest głupcem we własnych sprawach. Może tak ma być, nie wiem. Idź więc do Starego i zanim zaczniesz brać go pod pic w sprawie tej pożyczki, której ci chętnie później udzieli, pozwól mu mówić. Zobaczysz: naprzód będzie krztynekę wystraszony, a potem zacznie po przyjacielsku, szczerze utyskiwać, że ja ostatnio zapewne cierpię na rozstrój nerwowy, że trzeba by mną się zająć i tak dalej. Idź. Ignac, *good luck and be proud of yourself...*

8

Pożegnawszy Ignaca poszedłem do kina. Po kinie zjadłem kolację w czeskiej restauracji i przysłuchiwałem się kłótniom kibiców „Slavii”, omawiających nadchodzący mecz z „Polonią”. Pomyślałem, że może Ignac ma rację i powinienem zacząć interesować się choćby sportem. Przecież kiedyś tak lubiłem piłkę nożną! Po kolacji wstałem do siebie, przebrałem się w portowy mundur; w domu

nie było nikogo, przygotowałem sobie paczkę sandwichów, a na stole w kuchni na widocznym miejscu pozostawiłem krótki list dla Ignaca, że o ile nie ma gdzie spać, to niech korzysta z mego łóżka, niech weźmie sobie z szafy piżamę, niech się rozgości i czuje jak u siebie.

W porcie było normalnie: statki, gangi dockerów, ruch i nuda w portierce, znowu tłumy emigrantów i ich znajomych. Jimmy przeszedł na dzienną szychtę, na jego miejscu siedział gadatliwy Bob, były marynarz, cały zasmarowany tatuażami. Do północy zdążył już opowiedzieć mi historię swego życia, swe kłopoty z teściową i dziećmi, a także choroby rodzeństwa. Po północy opisał mi stałych bywalców pub'u w South Melbourne, gdzie popija piwo codziennie od osiemnastu lat.

„Dwa szkunery — pouczał mnie — najlepiej gaszą pragnienie. Ugasiwszy pragnienie można zacząć pić dla przyjemności, wtedy zwykle zamawiam szklanki siedmionajdziesiątne”.

Rano wróciłem do siebie pierwszym tramwajem. Ignac spał w mym łóżku, zaraz się obudził, miał skwaszoną minę. Starego w domu nie było, wyjechał z Michniewiczem autem tamtego na licytację mebli i obrazów, zebranych w pałacyku jakiegoś bogatego *graziera* koło Horsham. Mieli wrócić dopiero nazajutrz. Ignac był milczący i unikał mego wzroku.

— No, jak tam rozmowa ze Starym? — zapytałem.
— Dał ci pożyczkę?

— Dał.

— Więc się cieszysz? Kiedy wyprawa ma dojść do skutku?

— Nie wiem jeszcze.

— Cóż tak lakonicznie odpowiadasz? Pewnie Stary dał wyraz swemu zaniepokojeniu o mnie, o me zdrowie, co?

— Nie. Nie mówiliśmy o tobie.

— A byłeś w jego pokoju? — spytałem przekornie.
— Bo mnie tam jakoś nigdy nie poprosił, nikogo tam nie wpuszcza.

— Rozmawialiśmy cały czas w jadalni, — skrzywił się Ignac — wieczorem zaś wyszliśmy na molo, tam mówiliśmy o wyprawie. Dopiero po powrocie do domu spytałem go jak to było ze śmiercią Julka.

— No i co? Zaprzeczył?

— Nie. Potwierdził wszystko co mówił tobie. Ale zaraz dodał, że z punktu widzenia prawnego jego samooskarżenie nie stanowi żadnego dowodu przeciw niemu. Trzeba by dowodów.

Zająłem się gotowaniem wody na kawę ustawiłem na stole filiżanki, nasmarowałem masłem bułki, z lodówki wyjąłem wędlinę.

— Spytałem go — ciągnął Ignac — skąd miał pieniądze na *Orange II*. Przyznał, że od niektórych ofiar brał okup. Tłumaczył to w ten sposób, że w sumie odwalaliśmy dobrą robotę, a na organizację trzeba było forsy. Więc od zdrajców, których i tak potem wykańczaliśmy, brał okup. Kiwnięcie zdrajcy na parę minut przed jego egzekucją nie miało żadnego znaczenia, twierdził, naciąć świnie to ładnie i moralnie, poza tym trupom forsa już niepotrzebna. Wziął i od twojego wyższego urzędnika kolejowego, od innych brał w ten sam sposób. Trupy nie mówią, nie sypną, iż już się okupiły, nie było więc na tym odcinku wsypy. A skrupułów wobec zdrajców nie warto brać w rachubę, zdradą postawili siebie poza obręb norm etycznych. Od Duchêne'a Stary również wziął okup i tak go zaszedł Julek, gdy akurat przeliczał pieniądze otrzymane od prefekta i obiecywał mu, że za to pozwoli mu uciekać z Niemcami. Na ten to moment właśnie wszedł Julek, był to dla niego wstrząs. Na schodach wynikła kłótnia; przeszli korytarzem do oficyny i tam go Stary zastrzelił. Twierdzi, że musiał. Teraz wszystko już jest jasne. Tamte argumenty o miłości Starego do Julka, o rzekomym scementowaniu naszej grupy tą śmiercią, jakkolwiek w jakimś sensie logiczne, nie były wszakże pełne. Czegoś tam jeszcze brakowało. Teraz rozumiem. Stary wyjaśnił mi również, że wieczorem, gdy Tuluza była wolna i oszalała ze szczęścia, poszedł do opuszczonego domu

Duchêne'a, zawołał jakichś dwóch makizardów i chłopca od węglarza z wózkiem i kazał im odstawić zwłoki do Juliena. A strzelił Julkowi w tył głowy, gdy brat zagroził Staremu, że pójdzie do kogoś z *Résistance* i wysypie całą prawdę o naszej siatce. Wzburzony Julek, krzycząc coś jeszcze i odgrażając się staremu schodził już w dół, gdy dosięgła go z tyłu kula.

Wsypałem Nescafé do filiżanek, zalałem ją wrzątkiem, podałem Ignacowi cukierniczkę. Był w mej piżamie, niewyspany, oczy miał podkrążone i czerwone; jakżeż różny był od tego opalonego i ciągle młodego Ignaca, który poprzedniego dnia wysiadł z samolotu.

— Co chcesz teraz zrobić? — spytałem.

— Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Muszę pójść do adwokata, chodź ze mną.

— Dobrze. A jak było z tą pożyczką?

— O tym mówiliśmy na początku; z miejsca wyjął książeczkę czekową i podpisał czek na czterysta funtów. Nie chciał żadnego zabezpieczenia, śmiał się, że to drobiazg, bardzo chwalił ten projekt wyprawy. Rzeczywiście, jest w tych sprawach bardzo dobrze zorientowany, miał kilka rzeczowych sugestii, pokazał mi parę książek i map i pożyczył mi je do wglądu. Dopiero kiedy wieczorem zasiedliśmy w bibliotece, rozmowa zeszała na Julka. Wszystko tłumaczył mi spokojnie, beznamiętnie. Były chwile, iż czułem, że facet ma rację, że nie mógł postąpić inaczej. Nic nie ukrywał, na wszystko miał odpowiedź. Nie wiem naprawdę — od dłuższej chwili Ignac mieszał roztargniony łyżeczką w filiżance, choć jeszcze nie wziął cukru — czy można tak spokojnie mówić o zbrodni? A może to rzeczywiście nie była zbrodnia, tylko niesubordynacja Julka wobec zwierzchnika?

— Ubierz się, idziemy do adwokata — powiedziałem.

Od adwokata wyszliśmy przygnębieni.

Słuchał nas z zaciekawieniem, potem z przejęciem na koniec prawie z przerażeniem. Był poruszony niecodzienną sprawą, z jaką doń przyszliśmy; przewidywał trudności, dostrzegał możliwość, że w wypadku śledztwa, spowodo-

wanego naszym zeznaniem i nam samym byłoby trudno, niemal niemożliwe, wymigać się od odpowiedzialności za współudział w morderstwach, czy zabójstwach. Przewidywał, że nawet taki Charles, który teraz jest podobno pretektem w Châteauroux, lub mógł awansować jeszcze wyżej, użyje wszystkich swych wpływów, ażeby zatuszować sprawę. Rozmowa trwała cztery godziny, mecenas aż za głowę się łapał, gdy wreszcie pojawił z naszych chaotycznych zdań o co chodzi. Obiecał, że sprawdzi w konsulacie czy w międzyczasie nie wyszła we Francji jakaś ustawa amnestyjna. Widział jedno: olbrzymie koszta i niemniejszy skandal międzynarodowy. Na terenie, gdzie obowiązuje prawodawstwo brytyjskie, nawet podpisane przez Howarda (a na co nie bardzo można liczyć) zeznanie, nie miałoby wystarczającego znaczenia prawnego. Trzeba jeszcze dowodów. A te dowody są niemożliwe do zdobycia. Obiecał, że skomunikuje się z pewnym Q.C. i specjalistą od prawa międzynarodowego i że da nam znać, gdyby miał coś nowego w naszej sprawie. Najlepiej byłoby — wyrażał w głos swe myśli i obawy — gdyby Stary na przykład sprowokował zajście, był agresywny, pierwszy strzelił, lub coś w tym rodzaju, wtedy więc można by go za to wsadzić do więzienia, albo i w obronie własnej zabić. Ale Stary dał wiele dowodów, że jest wyjątkowo cwany. Poza tym taka kombinacja przedstawia duże ryzyko, jest trochę filmowa: sprowokowana awantura, świadkowie, którzy akurat zeznają to co potrzeba, nie, to byłoby zbyt piękne i trudne. Po co zresztą Stary miałby taką awanturę prowokować? Na razie jest bezkarnie górą. Przeważa. Może dopiero czas podsunie jakieś rozwiązanie, może Howard uroni jakiś dowód, może jego hyż naciągnie więcej i wtedy sam jakoś się wysypie.

— Nie chciałbym, abyście panowie mnie źle zrozumieli, nie jestem cynikiem, ale znam już trochę życie. Cała sprawa według mnie — mówił — sprowadza się do tego, czy potrafcie przejść nad tym do porządku dziennego, czy nie. O ile ta sprawa zachwiała waszą równowagę moralną świata i jego sens, takie jakie widzicie, o ile według wa-

szego pojęcia sprawiedliwości trzeba dojść aż do końca konsekwencji wszystkich zawikłanych splotów faktów i przypuszczeń, bez względu nawet na wasze dobro, interes i spokój — to wtedy macie prawo i obowiązek walczyć o sprawę, która w waszych oczach i sercach jest słuszna. O ile jednak tej pewności nie macie, tej absolutnej pewności, a widzicie niedoskonałość ludzi i świata, instytucyj i suchej litery prawa — *well*, to roztropiej będzie po prostu zmilczeć, zgnieść to w sobie i czekać. Praktyka kryminalna poucza nas, że zbrodnia nie popłaca. Możecie wierzyć w Boga, lub nie, jest jednak jakaś konsekwencja wydarzeń i ona zwykle dochodzi do głosu. Zaczynając otwartą walkę z tym człowiekiem, musicie zdawać sobie sprawę, iż porywacie się niczym z motyką na słońce, a bezwład społeczeństwa gotowego do niesprawiedliwości i świństwa dla ratowania swego spokoju i utartej rutyny wypadków, zniszczy i ośmieszy samotnych buntowników i Don Kichotów. Więc przemyślcie sobie panowie wszystko na chłodno, o ile o takiej sprawie można rozumować na chłodno, i jeśli tak sobie życzycie, zaczniemy sprawę. A może to wszystko to jakiś w złym guście ekshibicjonizm Mr. Howarda? Może to istotnie człowiek niespełna rozumu, albo chory? Mając zaświadczenie lekarskie uniknie kary, nawet gdyby znalazły się — a należy przypuszczać, że się nie znajdą — niezbite dowody jego winy. Pomijając wszystko inne, Mr. Howard to znakomity gracz. Nie potrafiłbym określić w jakim celu przyznał się do zbrodni; cel jakiś na pewno w tym ma. Na razie osobnik ten jest bezkarny. Radzę przyjąć postawę wyczekiwania i udawania wobec Howarda, że nihy — choć z bólem — rozumiecie jego pobudki. I czekać.

— A tu — zakończył — jest szansa, może nawet jedyna szansa, że facet sam jakoś wyraźniej się obciąży, że sam uroni, lub naprowadzi was na nowy dowód. Macie przed sobą ciężki mecz psychologiczny do rozegrania. Nie wątpię, że sprawiedliwość ostatecznie zatriumfuje, choć może to być nie prędko lub nie tak jak tego oczekujecie. Ale dodajmy również, że może się zdarzyć, iż dalej możecie

być bezsilni wobec przebiegłości i podłości: tak najczęściej bywa w życiu! — rozłożył ręce. — Cóż więcej mogę panom powiedzieć?

Wracaliśmy do domu milczący i przygnębieni. Tramwaj włókł się niesamowicie wolno, podskakiwał denerwująco na krzyżówkach w City. City to okropny młyn: co u cholery tyle ludzi ma tu ciągle do roboty? W mózgu czułem jakąś dziwną zamieć-niechęć-mgłę. Znowu kłujące do żywego przeświadczenie o własnej głupocie, o koszarnej — dziś to widać — głupocie. Jak mogliśmy tak niedbale traktować tamte chwile? Jak? Ależ proste: każda chwila, czy zdarzenie przelatują, przeciekają, przepływają niepowtarzalnie, wiemy o tym, ale widocznie nasza wyobraźnia jest bezsilna wobec tego rodzaju banalnych prawd. Cóż ja bzdurzę? — zastanowiłem się — o co mi chodzi? Nagle przebiegła przeze mnie myśl: Czy ukatrupienie Starego to będzie ta właśnie sprawiedliwość, o którą chcemy walczyć? Że zapłaci swym życiem? I co? Co to rozwiąże? Dużo rozwiąże — złościłem się na siebie — wszystko. Ale już za chwilę nie byłem tego pewien. Znów tramwaj podskoczył na krzyżówce na St. Kilda Junction. No, teraz już będzie się jechało spokojniej, nie ma krzyżujących się linii tramwajowych, bo tę koło stacji zlikwidowano i zalano asfaltem. Teraz tamtędy chodzi autobus.

W ogrodzie czekały Cesia i Irka. Wracały z plaży, przechodziły tędy, nie mogły się dodzwonić, już chciały właśnie iść do domu, kiedy nadeszliśmy. Odprowadziliśmy je do Michniewiczów, był tam Sosna. Po drodze rozmawialiśmy z wysiłkiem; byłem oprócz tego zmęczony, gdyż nie spałem i już zanosilo się na to, iż nie prześpię się przed pójściem do pracy. Pani Michniewiczowa zaraz mną się zajęła, radziła, bym się zdrzemnął bodaj dwie godzinki na kanapie w gabinecie majora. Ociągałem się, lecz i Ignac nalegał, bym odpoczął. Ale w czasie kolacji Ignac sam zaczął rozmowę na ten temat. W miarę opowiadania panie i Sosna słuchały z coraz większymi wypiekami na twarzy, swój przerażony wzrok przerzucały z jednego nas na drugiego. Potem zadawały pytania, naświetlały całą

rzecz trochę po babsku, najbardziej wystraszony był Sosna: nagle znalazł się w centralnym punkcie niezwyklej afery. O dziesiątej odwieziono mnie taksówką do domu, przebrałem się szybko i wszyscy mieliśmy jechać do portu, chciano mnie odwieźć. Jednak w nastawieniu pań i Sosny po pierwszym zaskoczeniu zaczął przebijać odcień jak gdyby niewiary w nasze słowa. Koło samego portu pani Michniewiczowa nagle wypowiedziała głośno, która ją przeszła:

— Mój Boże, żeby tylko ten Howard nic złego nie zrobił Frankowi.

Ignac uspokajał panie, w milczeniu odprowadzono mnie do portierki, Cesia wsunęła mi w rękę dwa proszki, abym zwalczył senność i taksówka wkrótce odjechała.

Howard nic złego nie zrobił Michniewiczowi, wrócili nad ranem zadowoleni z transakcji. Ja poszedłem wprost do łóżka, a Ignac pojechał na lotnisko, miał zobaczyć się w Sydney z Mudrykiem. Od tego czasu ślad po Ignacu zaginął, nie odezwał się, nie napisał nic, a listy, wysyłane do niego, wracały z adnotacją, że wyjechał nie pozostawszy nowego adresu. Za to któregoś dnia poczta doręczyła mi list z pieczętkami Newcastle. W kopercie był jedynie czek Starego wystawiony dla Ignaca. Ani słowa wyjaśnienia, nic, tylko na odwrocie czeku trzy słowa „Oddaj mu to”. Stary triumfował i szydził z głupoty Ignaca, spoza jego przechwałek wyzierał jednak niepokój. Substancja dni była zągęszczona, duszna i pusta, jak gdyby nierealna, nabrzmiała oczekiwaniem na nie wiadomo co. W międzyczasie Howard był dalej uprzejmy, mało mówny, jak gdyby nie zaszcłó nic godnego uwagi. Za to ustosunkowanie się Michniewiczów do mnie wyraźnie się zmieniło: oziębli. Major dwa czy trzy moje telefony zbył jakimisł wykrętami, Cesia już nie dzwoniła ze szpitala do portu. Raz zadzwoniłem do niej: wymawiała się brakiem czasu, pracą, jednak umówiliśmy się nazajutrz w Hotelu Australia na *afternoon tea*. Przyszła elegancko ubrana, była trochę onieśmielona tym spotkaniem, przyznała, że Howard wyrażał duże zaniepokojenie o stan nerwowy mój oraz Ignaca, napomknęła, że ojciec w żaden sposób nie mógł uwierzyć, abyśmy

— o ile to prawda — nic podejrzanego nie zauważyli jeszcze w Tuluzie. Ojciec nosi się z zamiarem rozwiązania spółki z Mr. Howardem, wolałby jednak, żebym przynajmniej na razie jednak u nich nie bywał.

Uśmiechnąłem się i skłoniłem głowę:

— Zastosuję się do tego życzenia. Czy można odprowadzić panią?

— Ale tylko do tramwaju, panie Zenku. Niech mi pan powie jednak, co czuje taki człowiek, który strzela do innych?

— Proszę się spytać o to pana Howarda.

Na przystanku tramwajowym opowiedziałem jej w jakich okolicznościach słyszałem jej rozmowę telefoniczną ze Starym. Zaczerwieniła się, lecz właśnie nadjechała piętnastka. tramwaj dla nas. Cesia wsiadła, pokiwałem jej ręką i następną piętnastką powróciłem do siebie.

Przez przeszło tydzień unikałem Howarda, co zdaje się i on czynił również, ale w niedzielę decyzja we mnie nabrzmiała. Czatowałem na niego, złapałem go popołudniu, wracał z obiadu, zapewne od Michniewiczów. Otworzyłem mu drzwi i od razu powiedziałem:

— Myślę, że najlepszym rozwiązaniem będzie, jeśli się stąd wyprowadzę, panie Hendricks.

— Jak pan uważa! — odklonił się uprzejmie.

— Zapłacę za tydzień z góry, wyprowadzę się jutro.

— Jak pan uważa! — znów skłonił głowę.

— Lojalność jest rzeczą cenną i ładną, rzadką w dzisiejszych czasach — mówiłem kpiąco — lecz lojalność bez rozsądku, myślę o Michniewiczach, jest tego samego rzędu jak nasza w Tuluzie w stosunku do degenerata, nie uważa pan? Ochronia zbrodniarza.

— *Correct* — uśmiechnął się. — Co mi pan ma jeszcze do powiedzenia?

— Już nic. Myślę, że się jeszcze jakiegoś dnia zobaczymy. Widzi pan, kiedyś w nocy w porcie wymyśliłem taką sentencję: *Jednostka prawie nigdy nie może wygrać z mafią, może jednak mieć ją gdzieś.*

— Zadziwia mnie pan swą dojrzałością, panie Nowak — odpowiedział Stary — lecz sentencja nieco szwanuje. Michniewiczowie to nie mafia, ich niechęć stworzył pan sam i ten postrzelony Ignac, a myślałem, że bodaj on posiada trochę oleju w głowie. Pańską cenną maksymę skorygowałbym o tyle, iż istnieją pewni ludzie, którzy nie są w stanie zwalczyć własnej głupoty; natomiast mogą mieć gdzieś wszystkie jej konsekwencje.

— Słusznie — przytaknałem. — Wszystko pociąga za sobą jakieś konsekwencje.

— Czy znalazł już pan inny pokój? — spytał po chwili milczenia.

— Jeszcze nie, jutro rozejrzę się za tym.

— Nosilem się z zamiarem wyjazdu, chciałem tu zlikwidować me sprawy i interesy — ciągnął w zamyśleniu — projektowałem wyjazd w góry, aby zaszyć się tam w jakimś pensjonacie, bo bałem się was. Ale dochodzę do wniosku, że nic mi od was nie grozi: jesteście za słabi gracze. Czuję się bezpieczny!

— Może się pan rozczarować — odpowiedziałem mu patrząc w oczy.

— Mogę, ale nie muszę — wydał wargi. — Swoje osiągnąłem: Ciężar tajemnicy zrzuciłem z siebie, a was wyobcowałem. Żeby pan wiedział, co Michniewiczowie teraz mówią o panu — zaśmiał się — aż mnie to trochę żenuje: odrobinę za dużo jest w tym przesady widzą pana w zbyt ujemnym świetle. Ludzie to jednak hecna galeria typów, co? Ale to mi na rękę.

Nie odpowiedziałem nic, znowu mu się ukloniłem.

Na drugi dzień wyprowadziłem się od Howarda. Zaczynałem samotną walkę z tym człowiekiem. Od Ignaca ciągle nie było znaku życia. Liczyłem, że — jak mówił adwokat — Howard musi się pośliznąć, musi się sam wysypać. Choć na razie przynajmniej sytuacja wyglądała tak: całkowita jego bezkarność, moja całkowita bezsilność. Cóż gorszego jak taka bezsilność?

Cztery miesiące to szmat czasu. Chociaż w życiu już tak jest, że ciągle się na coś czeka, to jednak to oczekiwanie na nie wiadomo co — w bezsilności i w monotonii drobnych zdarzeń i w bardzo ostrej samotności — zżerało mi nerwy w stopniu i w sposób zupełnie koszmarny. Wokół jest cisza, a we mnie ciągle napięcie. W mej głowie trwał szum, jak gdyby w dużym sklepie radiowym, gdzie gra równocześnie kilka aparatów, nastawionych każdy na inną stację. Po nocach pastwiły się nade mną zgorączkowane sny, napadały mnie, było ich zwykle po kilka naraz. A jednak zapiekłem się w sobie.

Z pracy w porcie nie zrezygnowałem, choć początkowo miałem ten zamiar. Decyzję przeważał fakt, że gdyby Ignac chciał mnie odszukać, to wiedząc gdzie pracuję, przyjdzie do portu. Gdyby też Cesia albo Irka chciały skomunikować się ze mną, to też wiedzą gdzie. Przez pierwszy tydzień po przeprowadzce wziąłem sobie w pracy urlop zdrowotny, przez cały tydzień, pisałem listy. Napisałem przede wszystkim do Błaszczyka, osadnika pod Tuluzą. Odpisał mi mer, że Błaszczyk wyjechał z rodziną do Polski. Wysłałem również trzy listy do znajomych w Sydney, którzy tym samym okrętem przyjechali ze mną, w tej liczbie do księdza polskiego, aby wystarali się o adresy Ignaca, lub Mudryka. Wszystko bez skutku. List do prefektury w Châteauroux spowodował odpowiedź, że Monsieur Charles Legros był istotnie prefektem departamentu Indre, ale że w r. 1947 przeniesiono go w stan spoczynku. Takiego młodego w stan spoczynku? — myślałem. — Coś tu jest, coś się za tym kryje. Listu do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych ani mi nie zwrócono, ani nie odpowiedziano nań. Zaś list wysłany na adres kafejki Juliana odesłano mi z adnotacją: wyjechał bez podania adresu. Jedy-
nym rezultatem była odpowiedź lektora polskiego z Uniwersytetu w Brukseli; sprawdził on na moją prośbę listę przedwojennych profesorów literatury na uniwersytetach

belgijskich. Donosił mi on, że Jean-Claude Clement Hendricks-Lafarge, profesor nadzwyczajny literatury francuskiej na uniwersytecie w Leodium w latach 1936-39, w grudniu 1939 podał się o urlop zdrowotny. W następnym liście poprosiłem go, czy byłoby możliwe stwierdzenie na podstawie jakiego zaświadczenia lekarskiego udzielono owego bezterminowego urlopu. Lektor dowiedział się w dziekanacie, że prof. Hendricks-Lafarge wyjechał na roczny pobyt w sanatorium dla nerwowo chorych w Varennes koło Namur i że jego ślad zaginął tam w czasie ewakuacji chorych w maju 1940, kiedy to Niemcy napadli na Belgię. Wyjazd profesora do sanatorium był spowodowany jego załamaniem psychicznym po utracie lewej stopy w wypadku samochodowym. Dziekan w rozmowie z lektorem przypomniał sobie, że profesor Hendricks-Lafarge był trochę dziwakiem, w czasie ostatniej pogawędki powiedział coś w rodzaju: „Już mnie teraz nikt nie będzie potrzebował, już nic nie będę znaczył, bo będę kaleką”. Było to podczas odwiedzin dziekana u profesora w sanatorium.

Rezultaty mych poszukiwań były mizerne, najwyżej stwierdzenie, że Hendricks cierpiał na zaburzenia umysłowe. Dyrekcja sanatorium na zapytanie lektora o bliższe dane choroby profesora zasłoniła się dyskrecją, podając, że może udzielić szczegółowszych informacji jedynie lekarzowi profesora gdziekolwiek on teraz się znajduje, albo rodzinie, ewentualnie także władzom, gdyby kompletowały jakieś *dossier* profesora w związku na przykład ze sprawą sądową. Sytuacja była więc beznadziejna. Z merostwa w Tuluzie przesłano mi odpis danych z rejestru cmentarza St. Michel: Julian Stanisław Zięba, partyzant polski, zmarł 29.8.1944 — *mort pour la France*. To było wszystko co uzyskałem.

Byłem więc sam. I tak samo bezsilny jak przedtem, tyle że świadomość tego była obecnie nierównie cięższa. Pracowałem dalej w porcie, wracałem do siebie i leżąc w łóżku, lub chodząc na spacerzy nad morze, myślałem ciągle o tej samej sprawie. Każdy szczegół i fragment wspomnień tuluzzańskich i niedawnych z Melbourne poddałem szcze-

gółowemu badaniu. Rezultatem tych wszystkich rozmyślań i analiz była tym większa bezsilność, że i adwokat doniósł mi, iż we Francji wyszło od czasu wojny kilka ustaw amnestyjnych, ale odnoszą się one do prawomocnych wyroków. Wyświetlenie spraw z tamtego okresu staje się praktycznie biorąc niemożliwe.

Tu, w Melbourne, nie udzielałem się nigdzie, jednak w Domu Polskim, grając raz w brydża, zaciągnięty tam przez spotkanego na meczu znajomego z Warszawy, dowiedziałem się, że major Michniewicz przejął cały sklep od współnika. Jakaś paniusia przy następnym stoliku z oburzeniem opowiadała, nie wiedząc, że to o mnie chodzi, iż dwa Polacy — jeden stróż z portu, a drugi włóczęga — rzucili jakieś okropne oszczerstwa na współnika Michniewicza.

„Co za czasy, moja pani, że dziś wszelka swołocz może bezkarnie obszczekać i zbryzgać takiego zasłużonego staruszka, co nogę stracił w *Résistance*. Belg, czy Francuz, nie wiem, ale jakie usługi Polsce oddał! A jednego Polaka, mówiła pani Michniewiczowa, kochał jak syna. Ten zaś stróż, rozumie pani: stróż, miał czelność flirtować z panną Cesią, ich córeczką. Prześladował ją, dzwonił do niej, ledwo się go z domu pozbyli, bo tylko przychodził ich obżerać..”.

Ubawiłem się setnie, był to najlepszy komplement dla mnie: moja zdolność przewidywania funkcjonowała zupełnie dobrze. Prawie słowo w słowo przepowiedziałem to Ignacowi.

No, ale z tej małej satysfakcji cieszyć się nie ma co. Nic to nie popycha sprawy dalej. I znowu to samo: czekać. Czekać, aż Stary się pośliźnie, albo ciężar tamtych postępów znów zmusi go do zrzucenia z siebie czegoś więcej. Nie wierzę, aby człowiek świadomie potrafił być świnią bardzo długo. A może to jeszcze jedno z mych złudzeń i naiwności?

Tak minęły cztery miesiące. Już naprawdę krystalizowały się we mnie wątpliwości, czy opowieść Howarda nie była rzeczywiście wymysłem nienormalnego mózgu? Bo

ostatecznie po co ktoś ma sam się zasypywać, gdy nie istnieją żadne możliwości stwierdzenia tej winy? Ale znowu dochodziłem do wniosku, że uczucie bezkarności, rozpanoszywszy się w człowieku, odbiera mu poczucie rzeczywistości, sprawia, iż staje się on zbyt dufny.

Przeczytałem ponownie, po tylu latach, uważnie całego Lautréamonta. Bibliografia o nim wzbogaciła się od tego czasu o kilka rozpraw. Spodziewałem się, że może tu będzie jakiś klucz psychologiczny, przynajmniej do zrozumienia Hendricksa, do jego rozgryzienia. Było wszakże zadziwiające, że do całego Lautréamonta podchodziłem obecnie z niechęcią, nie byłem w stanie odnaleźć w sobie nic z dawnego zachwyty, albo tamten klimat już się niepowrotnie zagubił, może też go nigdy nie było? Prześledziłem dokładnie całe „*Les Chants de Maldoror*” i Poezję Lautréamonta, uwagę moją zatrzymywały oderwane zdania i maksymy, dziwaczne wersety z jego utworów, o których marzył, aby mogły być zrozumiane przez czternastoletnią dziewczynkę, a które chyba nie mogą być zrozumiałe dla nikogo. W głowie powstawało uczucie przygnębienia, ośpienia, nigdy sprawy literatury nie wydawały mi się bardziej odległe od życia, bardziej mu obce, niż teraz. Po co ja, wybierając się na akcję, nosiłem pod pachą tom Lautréamonta? Rozczarowania do pierwszych miłości kładą się zwykle w człowieku jakąś gęstą, nieustępującą mgłą i plamą, zaczadzają, narzucają mu niejaki astygmatyzm wspomnień.

Nieraz w nocy rozważałem możliwość popełnienia samobójstwa. Ono skończyłoby wszystko: tę zagmatwaną sprawę, zżerającą jak kwas poczucie własnej bezsilności, odruchy rozpacz i gryzącego wstydu, że moja głupota dała tu tak skuteczną pożywkę. Ale ciągle na dnie rozsądku tliło się przeświadczenie, że samobójstwo byłoby nonsensem. Jakto? Więc ja mam sobie życie odebrać, podczas gdy taki Hendricks będzie dalej żył? Oznaczałoby to również, że już nikt i nigdy nie wyświetli tej ponurej sprawy, a to memu, może prymitywnemu, poczuciu sprawiedliwości wydawało się krzywdzące. O ile jeszcze

w kimś tkwi jakaś wątpliwość, że może jednak miałem trochę racji i mówię prawdę, upadnie ona automatycznie. Samobójstwo byłoby dla takich na przykład Michniewiczów przyznaniem się do kłamstwa i oszczerstwa. Nie powinienem, nie wolno mi niczego popełnić, co w jakimkolwiek stopniu przysłużyłoby się do triumfu zbrodni i podłości. I z tego, prostego zdawałoby się, sformułowania czerpałem upór i siłę na przetrwanie. Trzeba czekać.

Pewnej nocy zadzwoniłem do szpitala, poprosiłem o Irkę. Była zdziwiona, że chcę mówić z nią, a nie z Cesią. Nie miała żadnych wiadomości od Ignaca.

— Zapewne pani wierzy temu, co opowiada się o nas u Michniewiczów? — spytałem z przekąsem.

— Nie. Nie wierzę! — odparła. — Mam swoje zdanie na tę sprawę.

— Jakie?

— Nikt niczemu nie jest winien. To wojna jest winna. Wojna sprawiła, że pomyłony profesor chciał nagle stać się ważnym, szukał podkreślenia swej wartości w strachu, jaki wzbudzał naokoło. Wojna sprawiła, że wy go tak bezkrytycznie słuchaliście. Wojna sprawiła, że trzeba było zgłądać ludzi, że nie mogło być kontroli nad ważnymi wyrokami.

— Uproszczenie, pani Ireno...

— Pewnie, ale co mi z tego, czy to jest uproszczenie, czy nie, skoro Ignac zniknął? Do pana też nie pisał, naprawdę?

— Nie. Co dzień czekam na list.

— To tak jak ja — westchnęła. — On, biedak, musi to wszystko ciężko przeżywać. Rzeczywiście bezsilność, jaką odczuwacie wobec podłości ludzkiej, wobec własnej ludzkiej głupoty i niezasłużonych przeogromnych konsekwencji tej głupoty — jest czymś, co odbiera ochotę do życia.

— Dlatego obaj usunęliśmy się z pola. Duży zwierz — żartowałem — liże własne rany w samotności.

Wreszcie po dwóch tygodniach wydarzenia zagaściły się i nabrały tempa. Pewnego wieczoru, przyszedłszy do

pracy, zastałem w porcie Ignaca. Chodził przed portierką i palił papierosa.

— Byłem w Nowej Kaledonii — powiedział mi na przywitanie — ze statku zsiadłem w Sydney i przyjechałem tu koleją, bo taniej; nie mam forsy na samolot. Spotkałem tam Charlesa, byłego prefekta. Miał jakieś nieprzyjemności, wyjechał z Francji, jest od jedenastu lat w Nowej Kaledonii. Będzie tu jutro, ma dowody winy Starego.

Z dalszych, niechętnie zresztą udzielanych, szczegółów dowiedziałem się, że Ignac spędził ów czas na jakimś frachtowcu, kursującym pomiędzy Sydney, Newcastle, Brisbane, Nowymi Hebrydami i Nową Kaledonią, raz zawadził nawet o Fij. Podczas trzeciego rejsu natknął się w Noumea, w barze, na Charlesa. W pierwszej chwili nie poznali się, grali w karty, był upał, więc Charles zdjął z siebie koszulę, gdy przeszli na dokończenie pokera do właściciela lokalu. Ignac poznał go po tatuażu na lewym ramieniu. Spędzili dwa dni i noc na rozmowie, wypili morze alkoholu („Wiesz, piłem armagnac”, uśmiechnął się dziecinnie Ignac, a ja sobie myślałem, że i my musieliśmy się zmienić, skoro Charles nie poznał od razu Ignaca, który mnie wydawał się ciągle taki sam jak w Tuluzie). Charles pracuje obecnie jako oficer prowiantowy na statkach „Messageries Maritimes”, jutro wpłynie do Melbourne „S/S. Nouvelle Caledonie” z ładunkiem drobnicy w drodze po cement południowo australijski w Adelajdzie. I pomyśleć, że „S/S Nouvelle Caledonie” często stała w Melbourne i że taki Charles zapewne nieraz przechodził obok mej portierki, że może patrzyliśmy się na siebie i minęliśmy się jak obcy.

Charles istotnie przybył nazajutrz. Był otyły miał bródkę, sporo siwych włosów na skroniach, nie można było go poznać. Ze statku wziął urlop na tydzień, za tydzień statek wracał z Port Adelaide i znowu ładował żywność. W kapitanacie portu uzyskałem trzydniowy urlop i taksówką pojechaliśmy do mnie.

Dzieje Charlesa były następujące: Jeszcze w Tuluzie przystał do FTPF i z nimi przeszedł Masyw Centralny

i kampanię alzacką. Czerwoność oddziałów FTPF nie przeszkadzała Charlesowi, umiał się dostosować, umiał lawirować; kiedyś miał przyjaciół wśród komunistów hiszpańskich, ci go uważali więc za swego człowieka i faworyzowali. Charles był na czele kompanii, którą wcielono do armii generała de Lattre de Tassigny, a która po przemarszu przez padające Niemcy zdobyła Berchtesgaden. Sypnęły się nań odznaczenia, po wojnie przeszedł do administracji, mianowano go prefektem w Châteauroux. Ale wkrótce potem złożyła mu kilkakrotnie wizytę DST, potem sprawę przejęła wojskowa dwójka; rozmowy były raczej nieprzyjemne, a dotyczyły dziwnej grupy *Orange II*, grasującej podczas okupacji w Tuluzie. Dwójka zebrała raporty z okręgu tuluzańskiego, pokazała Charlesowi zeznania pułkownika Benin, jakie złożył na kilka tygodni przed śmiercią w wypadku samochodowym pod Mannheimem, tudzież sporo materiału dowodowego i poszlakowego o podejrzanych egzekucjach owej szajki. Wśród tych materiałów było między innymi, nadesłane przez komendę okręgową FFI z Lyonu, zeznanie małego Constanta z wąsikami à la Menjou, Belga i byłego sanitariusza z Varennes, który nie mało wiedział o Hendricksie i miał dość skryształizowane podejrzenie co do pochodzenia funduszy *Orange II* i legalności wyroków. Constant podał tylko pseudonimy nielicznego grona osób, choć niektórych znał i po nazwisku, ale widocznie nie chciał kolegów sypać, bo tak samo ich jak i jego zwiedziono. W kilka zaledwie dni po przybyciu do Lyonu, dokąd wysłał go Hendricks, zginął w melinie. Gestapo naszło melinę nad ranem, Belg bronił się dzielnie i położył trupem trzech Niemców, zanim sam padł od kuli. Przesłuchania i rozmowy z dwójką skończyły się w ten sposób, że zgodnie z cichą umową *Monsieur le Préfet* podał się do dymisji i pojedzie do kolonii, a Wywiad nie wywlecze sprawy na światło dzienne, bo byłby to ogromny skandal. Dziwne to były czasy i dziwne były sprawy owych czasów. Wszyscy byli zainteresowani w niedopuszczeniu do skandalu, nawet komuniści, jako że Charles zaszedł wysoko i za dużo wiedział. Sprawy tak więc

stały i w ten sposób Charles znalazł się w Nowej Kaledonii.

— Ale co chcesz teraz robić? — spytałem.

— Pojedziemy wieczorem do Starego. Nie wiesz przypadkiem, Zenek, — zwrócił się do mnie Charles — czy ktoś u niego mieszka? Czy może już odechciało się mu lokatorów? Bo w takim razie trzeba by go wywabić. Pozwólcie, że będę z nim rozmawiał.

— Chcesz go rąbnąć? — pytał Ignac.

— Nie — uśmiechnął się Charles — to nie miałoby sensu. Naprzód trzeba wyciągnąć od niego forszę, rodzinom naszych chłopców należy się jakieś wsparcie. Swą krwią pomogli zbudować Staremu nielichą fortunę; to on teraz tę forszę wyrzyga, a przebiegły lis umiał nią operować wspaniale. Był cwany, okoliczności mu sprzyjały, bo pierwsze fale emigracyjne nie były tak kontrolowane, więc stary lis przewiózł tu sporo forsy: biżuteria, dzieła sztuki i takie numery jak podwójne dna w walizkach, wyłożone dolarami. To trzeba mu naprzód odebrać, uderzyć go w najczulszy punkt. Bez forsy to on nic, stary łachman. A potem musimy sprowokować go do draki. *c'est tout*.

— Ale jak to zrobisz? — niepokoił się Ignac.

— O ile mieszka sam, porozmawiam z nim w cztery oczy. *C'est simple*. Wy będziecie czekać pod oknem.

Projekt wydawał się mi ryzykowny i trudny do realizacji.

— Tak nie można — oponowałem. — Pozostaną przecież ślady w ogrodzie, zabranie pieniędzy to też sprawa łatwa do wykrycia i zrekonstruowania. To pachnie kryminałem.

— Chociaż — zastanowił się Charles — można by przeprowadzić całą hecę inaczej. Stary zawsze panicznie bał się nie tyle śmierci, czy choroby, ile powrotu do sanatorium, do domu wariatów. Może zacząć z tej beczki? Zagrozić mu, że się go tam wpakuje? Inna rzecz, że to najwłaściwsze dla niego miejsce! Nie zwolniono go stamtąd. Uciekł, korzystając z rozprężenia w obliczu zbliżających się Niemców.

Dyskutowaliśmy zawzięcie. Robiło się późno. Nad zatoką zawisła gęsta mgła. Syreny wyły w porcie. To pewno „Neptunia”, dziś opóźniona, tak ponuro i przejmująco trąbi w zatoce. W pewnej chwili zaświtał mi w głowie pomysł. Zatelefonowałem do Michniewicza. Poznawszy jego głos, z miejsca spytałem:

— Czy mógłbym natychmiast z panem się zobaczyć?
Tu mówi Nowak.

Michniewicz był zaskoczony, stracił na chwilę mowę.

— W jakiej sprawie? — wyjąkał wreszcie. — Jest późno.

— W bardzo ważnej sprawie, mamy nowe dowody przeciwko Howardowi. Zechce pan nas przyjąć zaraz?

— Nas, to znaczy kogo?

— Ignaca, mnie i jeszcze jednego pana. Ale proszę o dyskrecję, o słowo honoru oficera zawodowego.

— Dobrze, ma pan to słowo.

— Czy panie są w domu?

— Nie, poszły do kina z Irką. Jest tylko kapitan Sosna.

— Tym lepiej. Do widzenia, zaraz tam będziemy.

W dwadzieścia minut później siedzieliśmy w salonie majorostwa. Michniewicz był trochę ciekawy, trochę wystraszony. Tacy Michniewiczowie na przykład: opowiadali o nas, Bóg wie co, wierzyli Hendricksowi, lojalność wobec niego posuwali tak daleko, że nie uważali za stosowne wziąć pod uwagę tego, co od nas usłyszeli, nie wysłuchali nas dalej, a już osądzili. Ludzie są przede wszystkim tchórzliwi i głupi. Teraz, gdy spojrzałem mu w oczy, Michniewicz skrzył się jak smarkacz, nie mógł znieść mego wzroku.

— Czy Mr. Howard jest jeszcze w Melbourne? — spytałem.

— Tak.

— Mieszka ciągle w swym domu?

— Tak — odpowiadał szybko major, ponaglany *mymi* pytaniami.

— Czy ma nowego lokatora?

— Pan kapitan Sosna mieszka teraz u niego z siostrzenicą.

— A więc jedźmy! Panowie z nami.

— Zaraz, zaraz, o co chodzi? — denerwowali się obaj oficerowie po polsku, a Charles po francusku.

Przeszliśmy więc na angielski.

— Pojedziemy razem, a ty będziesz mówił — zwróciłem się do Charlesa. — Trzeba świadków. Powiedz panom o sobie kilka słów, *Charlot*...

— Jestem szwagrem Hendricksa i mam własnoręcznie przez niego podpisany raport, jaki musiał przedstawić pułkownikowi Benin w dniu pogrzebu Julka, wzamian za co uzyskał od pułkownika obietnicę, że ten nie podejmie żadnych dochodzeń z miejsca przeciwko dzikiej grupie *Orange II*. Musicie też panowie wiedzieć, że wszystko wygląda trochę nieprawdopodobnie jak *une affaire de famille*: Benin był teściem Hendricksa. Moja żona była młodszą córką pułkownika. Benin po otrzymaniu stwierdzenia, że żona Hendricksa zginęła w Ravensbruck, dał mi ten raport. Opowiadał mi, jak niezwykle roztrzęsiony przyszedł do niego Hendricks w dniu pogrzebu Julka; przyznał się do wszystkiego. Ponieważ był zięciem pułkownika i wśród zabitych przez *Orange II* było sporo autentycznych kolaboratorów i Niemców, pułkownik postanowił sprawę zatuszować. Później tego żałował, Hendricks zniknął z terenu Francji, pułkownik zaś niedługo potem zginął w wypadku samochodowym. Szwagrowi Hendricksowi wierzyłem jeszcze więcej niż ci panowie, wziął mnie pod pic, na honor, patriotyzm i uczucia rodzinne.

Ten zawrotny film, w jakim przyszło nam grać od dawna niezwykle i nieoczekiwane role zagęszcza swe zaskakujące sekwencje, jak dobry *thriller*, rozplątuje różne sprzeczne wątki; uzupełnia brakujące ogniwa, wyjaśnia tajemnice i fascynuje zbliżającym się zakończeniem, którego nikt nie może przewidzieć. Sosna i Michniewicz patrzyli na nas ośłupiali, Ignac widocznie wiedział o tym wszystkim, gdyż był z nas najspokojniejszy. Ja po prostu

trząsłem się jak galareta. Życie, jak się okazuje, nieraz wyprzedza i bije najbujniejszą, nieraz chorobliwą, fantazję autorów scenariuszy filmowych.

— No, to jedźmy! — szepnął Michniewicz.

10

— To pan, panie Sosna? — zaskrzeczał głos Starego z pokoju, do którego nigdy nikogo nie wpuszczał.

— Tak, to ja! — odparł, umyślnie głośno, dla dodania sobie animuszu.

— A, to dobrze. Dobranoc panu. Ja jestem już w łóżku.

Lecz usłyszawszy szmer głosów i tupot nóg, Stary włożył szlafrok i otworzył swe drzwi. Natychmiast chciał się cofnąć, lecz gruby Charles był po dawnemu zwinny i wsadził nogę pomiędzy drzwi, a framugę, zanim tamten zdążył je zamknąć. Charles naparł na drzwi, ustąpiły.

— *Bon soir, beau-frère* — zaśmiał się Charles. — Jak się szwagierek czuje? Rączki do góry, bez ceregieli w rodzinie, *mon cher*. No już, powiedziałem wyraźnie: do góry! Panowie pozwolą — wskazywał nam rewolwerem, aby wejść.

Wtłoczyliśmy się wszyscy i ze zdziwieniem oglądaliśmy pokój, do którego Stary nigdy nikogo nie wpuszczał. Charles nacisnął kontakt u drzwi, pokój zalało światło, na głównej ścianie w wieńcu bumerangów i masek wisiał duży portret Julka, wszędzie po kątach i ścianach stały i wisiały różne tarcze, dzidy, maski i totemy z kory i gliny, pióropusze a nawet w rogu szczyrzył zęby wypchany kangur.

Hendricks cofnął się i usiadł na łóżku nakrytym starym kocem.

— Ach, to koc Julka? — spytał Charles. — A w gablotce to jego sandały i pas? Masz jednak większego hyzia

niż przypuszczałem, może to twoje wyrzuty sumienia w ten sposób się przejawiają? Co? Ręce wyżej, szwagierku, bo będzie bubu. Ten portret Julka to pewnie z fotografii Ignaca, co? To są plusy sytuacji, gdy ma się pod swą komendą dwóch braci bliźniaków.

— Nie, ten portret dałem zrobić jeszcze w Tuluzie — szepnął płaczliwie Stary — jeszcze za życia Julka.

— Mniejsza z tym — uciął Charles. — Tu jest twoje zeznanie, złożone Beninowi. Poznajesz? Twoje *dossier* we Francji jest dość obszerne i zupełnie wystarczająco skompletowane.

Ignac podszedł cicho do stolika, stojącego przy łóżku i z podanego przez Charlesa portfelu wyjął kilka papierów. Jeden z nich rozłożył na blacie, papier był nadniszczony, przetarty na zgięciach.

— Ignac, odsuń się z tym papierem, bo Stary go zniszczy — doradzał Charles.

Oczy Starego były teraz niesamowite, zupełnie białe, zapadły się głęboko w czaszkę. Siedział na łóżku z podniesionymi rękoma, nogi nie dostające do podłogi założył jedną na drugą, znad obciążonej tym ruchem skarpetki błyszczała stal protezy. Twarz jego była napięta jak w ataku apopleksji, wydawało się, że wszystko krew uchodzi z niego.

— Co jest z Jacqueline? — spytał szeptem.

— Zmarła w Ravensbruck na wiosnę 1945 r. — informował Charles. — Wzruszająca jest twoja pamięć o żonie, Jean-Claude, szczególnie w obecnych okolicznościach. Zresztą nie zadawaj pytań. Wyciągnij czysty arkusz papieru i pisz testament. Pan major, twój współnik i ten drugi pan, będą wykonawcami twojej ostatniej woli. Trzeba przede wszystkim pomóc rodzinom chłopców, których kiedyś tak zwiodłeś i którzy przez ciebie zginęli, wykonując wyroki śmierci lub, jak Constant, zadenuncjowani przez ciebie. My trzej, tu obecni, jedyni pozostali przy życiu z *Orange II* rezygnujemy z jakiegokolwiek udziału. Adresy rodzin mam. Bierz więc pióro i pisz testament.

— Co chcecie ze mną zrobić? — wyjąkał.

— Nic. Ty sam ze sobą zrobisz porządek, bo innego wyjścia nie ma. Już za długo ten bajc trwa, trzeba kiedyś zapłacić za swe *cochonneries*, za to, co się złego wyrządziło. A może chcesz wrócić do domu wariatów?

Hendricks milczał. Patrzył ponad naszymi głowami, oczy miał upiorne. Przymrużył je nieco, wpatrywał się w światło lampy.

— Czy zgadzasz się napisać testament? — spytał po chwili Charles. — Czy może zaproponujesz inne rozwiązanie? Nie chciałbym, aby w umyśle obecnych pozostało wrażenie, że to jest wymuszone. Zwracam ci również uwagę, że na wypadek strzelaniny nas jest więcej. My nie zaczniemy draki, ale w wypadku, gdyby ci coś do łba przyszło, kilku z nas ciebie przeżyje i wystarczy, że zeznają tylko prawdę. Jakakolwiek więc awantura nie ma sensu. Bądź raz uczciwy, Jean-Claude. Zgadzasz się?

— Tak — szepnął. Oczy jego były teraz ciemne, miał w nich łzy. Zmalał, był prawie wzbudzający współczucie, ziemia usuwała się mu spod nóg. Trząsł się jak w febrze, usta miał zwiotczałe jak namokła gąbka, raz po raz przelykał ślinę więznącą mu w gardle. Przypomniał się mi Julek ze swym powiedzonkiem: „*Najbardziej ludzki wyraz twarzy ma każda kanalia w strachu. Nie daj się na to nabrać*”.

— Panowie teraz wyjdą, zostawią nas samych, chcę porozmawiać ze szwagrem — powiedział Stary zduszonym szeptem. — Proszę nas zostawić samych — powtórzył głośniejsze.

Popatrzyłem niespokojnie po obecnych, wszyscy byli zaskoczeni i widać było w ich oczach obawę o Charlesa.

— Proszę posłuchać pana Hendricksa — wycedził Charles.

Wyszliśmy z ociąganiem. Drzwi zamknął Ignac, jak gdyby ciałem swym tarasując dostęp do pokoju. Michniewicz pobiegł do drzwi frontowych i także je zamknął. Kiedy jeszcze były otwarte, widać było przez nie przegniłe deski i poręcz ganku, na którym stanąłem pięć miesięcy

temu, gdy przyszedłem wynająć pokój. Pięć miesięcy — myślałem — a ileż w życiu nas wszystkich uległo zmianie? Prawie, że żałowałem, iż przypadek skierował wtedy tutaj moje kroki. Ot, lektura ogłoszeń w gazecie, miałem zamiar wynająć sobie pokój na South Yarra, bo tam dużo ogrodów i parków, a do portu jeszcze może bliżej. Lecz co teraz rozpamiętywać co by było gdyby? Poznałem później Michniewiczów, więc przez nich prawdopodobnie spotkałbym i Starego. Ale to nie jest pewne, a spotkawszy go mógłbym go nie rozpoznać. Lecz on mnie poznał od razu, poznałby też w innych okolicznościach, choćby przypadkowo u Michniewiczów. Eee, co tu rozmyślać o tym, co było czego powodem, to i tak zawsze wie się za późno. Chciałem osiedlić się w Adelaide, w tym wypadku na pewno nie natrafiłbym na Starego. Chociaż kto wie? Od czasu do czasu pisywaliśmy z Ignacem do siebie, więc prędzej czy później te same wątpliwości ogarnęłyby mnie, a z nich to wszystko wzięło początek. Czemu tak o tym myślisz? — pytałem sam siebie. — Wygląda na to, że żal ci teraz rozwoju wypadków, żałujesz dawnego spokoju. Nie, nie żal — odpowiadałem, ale nie byłem tego pewny na sto procent. Sosna tymczasem poszedł do swego pokoju i nie wiadomo po co zapalił w nim światło. Po chwili wrócił do nas, popatrzył po nas wspólnieobecnym wzrokiem i podreptał do kuchni po szklanki; ustawivszy je na stoliku pod telefon, przyniósł na tacy butelkę whisky z lodówki.

— Chyba się napijemy — zaczął niemal błagalnie, nie mógł znieść tej ciszy i tej sytuacji.

Wypiliśmy. Wszystkim drżały ręce i wszyscy pochłapaliśmy się trochę alkoholem. Ignac podziękował ruchem głowy za podaną mu szklaneczkę, wypił ją Sosna, nie wiedząc co z nią zrobić. Podałem Ignacowi papierosa, też przecząco potrząsnął głową. Stał na tle drzwi rozkraczony, jak niemiecki żołnierz i patrzył ponad naszymi głowami. Michniewicz odstawił pustą szklaneczkę na tacę Sosny, a potem jął nerwowo się czesać, choć włosów miał już niewiele. Uczesawszy się i poprawivszy na sobie ubranie zaczął chodzić po hallu, wybierając w linoleum białe kwa-

draty. Przysunąłem się do chińskiej wazy, stojącej w rogu koło wieszaka; coś kazało mi tu stanąć. Obserwowałem ją zresztą z zainteresowaniem, przedtem nie było tu jej.

— To rzadki okaz — mruknął Michniewicz. Popatrzył na mnie bez uśmiechu i podjął przerwana przechadzkę po białych kwadratach linoleum. Sosna, odniósłszy tacę do kuchni, poszedł do swego pokoju i zgasił w nim światło.

— Po co ma się niepotrzebnie palić? — powiedział cicho. Nikt mu nie odpowiedział.

Zegar w hallu wskazywał jedenastą, czas ściekał ogromnie wolno, raz po raz trzaskały zapalki: wszyscy paliliśmy, nawet Ignac. Było piętnaście po jedenastej, pół do dwunastej, za dwadzieścia dwunasta. Michniewicz podszedł do telefonu i nakręcił numer. Szczekanie tarczy wracającej do normalnej pozycji było bardzo głośne; nerwy mamy napięte, przecież normalnie o tym się nie myśli i tego nie słyszać.

— To ty, Cesi? Tak, zaczekajcie na nas, niedługo wrócimy. O filmie opowiesz mi innym razem, córeczko. Co? Czy zaparzyć kawy? Tak, zaparzyć, dużo i mocnej. Czekać na nas. Irkę zatrzymaj do mego powrotu z panem kapitanem Sosną.

Z pokoju dochodziły niewyraźne odgłosy rozmowy. Wreszcie o godzinie za pięć dwunasta na progu pokoju ukazał się błądy Charles z papierem w dłoni. Odsunął Ignaca delikatnym ruchem i podszedł do majora, w wyciągniętej ręce trzymał testament.

— Panowie podpiszą — powiedział. W głosie jego wyczuwałem zmęczenie, ale i ulgę.

Sosna znowu pobiegł do swego pokoju, zapalił światło i otwierając gorączkowo szuflady szukał wiecznego pióra. Przez uchylone drzwi widziałem fragment pokoju Starego: część łóżka, pokrytego wytartym wojskowym kocem, dzidy i bumerangi, wiszące na ścianie obok gablotki, jakieś tarcze z krokodylej skóry i wymalowane kiedyś ochrą totemy. Przez chwilę Hendricks chodził po pokoju z fajką w ręce, potem oparłszy się o kominek wytrącał z fajki popiół. Popatrzył na mnie, wydawało mi się, iż uśmiechnął

się. Zaraz zniknął w części zasłoniętej skrzydłem niedomkniętych drzwi.

— Proszę, podpisaliśmy. — Michniewicz wyprężył się na baczność i oddał Charlesowi testament.

Zamyślony Charles wziął z jego rąk dokument, rzutem oka sprawdził podpisy i znowu miękkim ruchem odsuwający Ignaca, chciał wejść do pokoju. W progu przystanął na chwilę i odwróciwszy się, mnie oddał papier do trzymania. Postąpił dwa kroki do mnie, poklepał mnie po ramieniu i cofnąwszy się ponownie o dwa kroki, ujął gałkę drzwi. Lecz już nie wszedł, bo z pokoju Starego zatrząsały strzały. Charles drgnął, osunął się i szepnął jeszcze:

— *Salaud!*

A z ręki wypadł mu rewolwer, Ignac skoczył doń, odciągnął go błyskawicznie i rozkraczywszy się nad leżącym, podniósł jego broń z linoleum. W drzwiach stał Hendricks z rewolwerem w dłoni, śmiał się przejmująco, po prostu zataczał się od śmiechu, pisał i płakał z uciechy. Ignac strzelił doń, nie trafił, teraz tamten strzelił, a ja cisnąłem weń wazą. Waza rozprysła się jeszcze w powietrzu na skutek strzałów Starego, na ziemię spadły okruchy porcelany. Ignac znów zmierzył do Starego. Sosna krzyczał po polsku: *panowie, panowie*, a wtedy Charles otworzył oczy i wsparł się na rękach. Rzuciwszy się jak ryba na piasku złapał Starego za nogi. Ten już i tak upadał, bo trafiła go w usta kula Ignaca. Hendricks zacharczał i zapluł krwią. Kiwał się niezgrabnie, przez chwilę jak gdyby oparł się na drzwiach lecz one ustąpiły i padł w tył odpychając je sobą. Ponad leżącym Hendricksem poprzez na oścież teraz otwarte drzwi ukazał się na głównej ścianie portret młodego partyzanta Julka, takiego jakim go znaleźliśmy, w wieńcu bumerangów i masek wymalowanych ochrą i gliną.

A major Michniewicz klęczał w hallu, zbierał skorupy wazy i szeptał co chwila:

— Taki okaz! Taki okaz!...

Na dnie snu czekał na mnie Julek.

Siedział na stole w pokoiku za kafejką Juliana i uważnie oglądał swoje nowe sandały. Z twarzy i odsłoniętych rąk zeszła mu opalenizna, ciało jego było jakieś przeźroczyste, bladoniebieskie, bladoróżowe, jak odbłask wrzósów przy zachodzącym słońcu. Przez myśli w śnie przebiegało mi przypomnienie, że taki właśnie odbłask wrzósów widziałem był w pewnym zapadłym kącie Francji, na torfowiskach miejscowości, której nazwy nie mogłem sobie w tym śnie przypomnieć, ani tego wieczoru umiejscowić w chronologii mych wspomnień. Ów wieczór o tym pamiętnym odbłasku wrzósów przepływał ze zdarzenia w zdarzenie, niósł się przez całe pasmo wspomnień, szedł za mną, jak teraz od kilku nocy przez me widziadła sączył się ów kolor odbarwionej, niemal przejrzystej, barwy nie barwy Julkowego ciała o dziwnej konsystencji. Julek siedział i mówił coś do mnie. Lecz nie rozumiałem go, mówił w jakimś obcym języku. Na twarzy miał smutny przyśmiewch człowieka, który więcej wie niż my, przed którym odkryte są już zasłony zaciągnięte jeszcze dla nas. Uśmiech smutny i nieco wzdurliwy, jak gdyby pełen politowania, zadumy i zniechęcenia; niczym ktoś, kto usilnie a beznamiętnie tłumaczy coś innemu człowiekowi, upartemu i ograniczonemu. Taki był w snach przez kilka nocy pod rząd, wchodził w mój sen, zasiadał na stole, lub już tam czekał na mnie.

Umarli pozostają młodzi — myślało coś we mnie głupio. Tym frazesem pokrywałem własne zdenerwowanie, że tak bezceremonialnie zawładnął mymi snami. Po owej nocy w domu Starego, nastąpiły dni pełne wydarzeń i tempa; przesłuchiwanie i protokoły, wszyscy byli zdenerwowani, najwięcej zaś dalsi aktorzy tego zdarzenia: pani Michniewiczowa, Cesia, policjanci, reporterzy — a w snach czekał na mnie niezmiennie ten sam Julek, w

tym samym pokoiku za kafejką w Tuluzie. Czekał na dnie snu i mówił niezrozumiałym językiem.

Na pogrzebie Starego znowu spotkaliśmy się wszyscy, z wyjątkiem Charlesa; ten leżał w szpitalu. Był zarośnięty i spocony i cieszył się, że rana dostarczyła mu pretekstu, ażeby nie iść na pogrzeb. Okazało się, że on był najbardziej z nas zawzięty; mimo, że był szwagrem Starego, podkreślał radość, że nie musi mu oddawać ostatniej posługi.

— Pies mu w grób siusiał — sapał, kiedy byliśmy u niego. — Żebym jeszcze chodził na pogrzeb tego wariata? Ça alors...

A my wszyscy poszliśmy na ten pogrzeb. Na pewno raczej ze współczucia, niż z obowiązku, albo *Schadenfreude*. Kto jest winien temu, że go złapie obłęd? Pogrzeb był nijaki, szybki, jego zakończenie przyjęliśmy z ulgą. Potem wszyscy pojechaliśmy do Michniewiczów, była tam kolacja i dużo wódki. Z początku panowała cisza i niemrawa nijakość, napięcie i zdziwione, niewłaściwe miny do tej okazji, alkohol jednak rozwiązywał języki i wkrótce wszyscy mówili równocześnie. Nawet Ignac rozgadał się, nigdy nie widziałem go tak rozmownym, mówił najwięcej. Podejrzewam, iż przymuszał się do tego, sypał jednak kawałami, z których towarzystwo zaśmiewało się do łez.

Nagle głos Julka jak gdyby włączył się do mej słuchawki, mówił i oto rozumiałem go. Chciałem mu coś powiedzieć, lecz po chwili zorientowałem się, że teraz on mnie nie rozumie. Marszczył gniewnie twarz, machał rękoma, krzyczał coś, wreszcie uspokoił się i ciągnął beznamiętnie i rzeczowym głosem, jak międzymiastowa telefonistka:

— No i co? Jesteś zadowolony? Minęło sześć dni od śmierci Starego — podawał obojętnie — i co się zmieniło? Czy warto było to wszystko zaczynać? Czy miało to jakiś sens? Nie denerwuj się, uspokajaj me gesty protestu, ale naprawdę nie było warto. Czasem najlepiej jest pozostawić sprawy jak są i wycofać się z nich, mój drogi.

Przestać bawić się nimi i odejść na inną ulicę, gdzie jest inne życie, bo życie wszędzie jest. A cóż by — zastanów się Zenku — szkodziło, żeby Stary pożył sobie jeszcze trochę i kipnął na raka? Albo wpadł po auto? Albo pośliznął się na skórcie po bananie, na którymś chodniku? On już był nieszkodliwy. Coś ty zrobił najlepszego? Pomyśl: Ignac tak chciał jechać na tę głupią wyprawę, teraz już nie pojedzie, rozklei się zupełnie; okazuje się bowiem, że z was wszystkich on najciężej znosi ten kraj i najgorzej przeżył ostatnie wydarzenia. A Michniewiczowie? Śmierć Starego jest dla nich ruiną. Sprawy majątkowe tej koleżeńskej spółki na słowo nie były wystarczająco prawnie zabezpieczone spisanyymi umowami. Kto liczy się z nagłą śmiercią? Inaczej niejednemu ułożyłoby się życie, gdyby więcej pamiętał o możliwości, ba, nawet pewności, swojej, czy kogoś bliskiego, śmierci. Tylko element czasu, sposobu i miejsca jest tu nieznany, a choć sama śmierć jest najpewniejsza, to myśl o tym odpychamy jak najdalej. Władze położyły teraz łapę na forsie Starego i trudno będzie udowodnić Michniewiczom, co należało do nich, a co do nieboszczyka. Jeszcze będziecie mieli z tym sporo kłopotu. Niewątpliwie Michniewiczowie okażą się teraz o wiele miłsi dla ciebie, bo ty mieszkając ze Starym mogłeś od niego słyszeć niejedno na temat spółki; gdybyś zechciał zaświadczyć to w sądzie pod przysięgą, i w ujęciu jak najkorzystniejszym dla nich, wdzięczność ich nie miałaby granic. A co przyszło z tego Charlesowi? Rana i niesmak, znów go zalała przeszłość, a każdy z nas ma coś w swej przeszłości, czego nie lubi, aby mu przypominano. Czy naprawdę mamy prawo do przeszłości innych? O ile tak myślisz, to jesteś w błędzie. Zeniu kochany, Lautréamontem kopnięty w swe najlepsze lata, coś ty zrobił, coś osiągnął? Lepiej było pozostawić sprawy swemu biegowi, wierz mi, właśnie mnie, zastrzelonemu przez Starego. Zemsta? Sprawiedliwość? Ty jeszcze wierzysz w te pojęcia? Jest tylko konsekwencja wydarzeń, rozgrywających się zresztą w jakiejś obojętnej moralnie atmosferze życia i ludzi. Nawet, widzisz, może ożeniłbyś

się z Cesią, a teraz co? Znając ciebie, wiem, że będziesz jej pamiętał tamto tchórzostwo.

Julek uśmiechnął się kpiąco:

— A nawet przez tych kilka dni, nie chodząc do pracy, straciłeś swój zarobek. Killkanaście funtów, ale i tego szkoda. Starość idzie a wtedy każdy grosz się przyda. Po strzale Ignaca odczułeś na pewno ulgę, że ten koszmar się skończył. A guzik prawda! Koszmary się nie kończą, przybierają jedynie inne formy i stwarzają jeszcze inne konsekwencje, grają się w innych konwencjach artystycznych i moralnych. Tej sprawy ze Starym nie załatwicie już nigdy, pozostanie w was jak drzazga, jak wędrujący odprysk granatu; będzie to wam dowierać, doskwierać, dojdą jeszcze inne interpretacje poszczególnych fragmentów, obraz będzie się zacierać, przesuwac na inny plan, ale byle drobiazg go wydobędzie z głębokich pokładów niepamięci, byle co go uzewnętrzní. Powiedz mi, czy naprawdę jesteś przekonany, że postąpiłeś słusznie i najlepiej? Może mądrzej było puścić koło uszu te wywnętrzania się Starego?

— Wygodniej; nie mądrzej, nie lepiej, nie właściwiej! — krzychałem spocony we śnie — To nie to samol

— Można i tak ująć, *what's the difference?*

— Skąd ty umiesz po angielsku? — zdziwiłem się, zapominając wszystko inne, pamiętając ten tylko jeden szczegół.

— Nie umiem, a bo co? — zachichotał. — Przecież twój sen to jakiś dialog z twymi wątpliwościami, jeszcze może nieświadomionymi, ale twoimi. Sen to jakaś niezwykła składanka rzeczy i spraw prawdziwych, zdeformowanych i niezaistniałych jeszcze, albo i nigdy. Właściwie to ja mógłbym mieć do ciebie pretensje, Maldoror, że każesz mi zjawiać się w twym śnie i roztrząsać składankę twoich obaw, wypełzłych z podświadomości, wymieszanych z twymi wspomnieniami i żałami po niewczasie. Po cholerę mi to? Daj spokój nieboszczykom!

— Po cholerę mi to? — powtarzałem obudziwszy się ze snu. — Po cholerę mi to? Co mi kazało tak postąpić?

Wiedziałem, iż postąpiłem w zgodzie z własnym sumieniem; tu nie było cienia wątpliwości. W zgodzie z własnym sumieniem, w zgodzie z sobą samym. „*Masz pan rację, ale nie masz pan słuszności*”, tak mawiali na Pelcowiznie. Pelcowizna.... Ogarnęła mnie, nagle jak powódź, głupia, bolesna, dotykalna, panosząca się tęsknota. Każ Warszawiakowi żyć bez Warszawy! Każ mu ją zapomnieć! Patrzyłem w okno swego (mego?) pokoju, na poręczy krzesła leżało me ubranie, wokół były moje (moje?) sprzęty, płyty, drobiazgi, za oknem blaszane dachy drewnianych australijskich domków, jakaś wpół zeschnięta palma. Wszystko to przypominało mi moje teraźniejsze życie, było dekoracją tego życia. Emigranckiego życia. A cóż to jest emigranckie życie? Z niechęcią patrzyłem na otaczające mnie sprzęty i sprawy. Nierozcięte jeszcze gazety z Paryża, z Londynu, nie miałem na nie czasu, tyle ostatnio było wydarzeń, które me nudne i jałowe życie zalały spiętrzoną falą. Buty koło fotela, należy je dać podzelować. Na stole tkwił kwit z pralni: trzeba wreszcie odebrać tę bieliznę. Obok kwitu jest popielniczka, pełna niedopałków Ignaca; wczoraj wieczorem gniótł je w zawziętym milczeniu, wreszcie wstał i mruknąwszy coś na pożegnanie poszedł do swego hotelu. Teraz patrzę tępo w fotel, na którym siedział, na górę niedopałków, na puste po whisky szklanki, gdzie ślamazarzą się muchy. Znów patrzę w okno i nie widzę już blaszanych dachów na małych drewnianych domkach australijskich, a widok z naszego mieszkania na drugim piętrze: na dole urzęduje dozorca Koziół w cyklistówce i z miotłą, biegają dzieci, z oficyny wychodzi handełes i krzyczy coś, zadzierając głowę w górę ku oknom wyższych pięter. Idzie pan Kwapiszewski, podupadły krawiec, oto mija go Zośka, podobno puszczałska, on udaje, że nie widzi jej, choć u niego podnajmuje pokój z drugą taką. Przez lata z mego okna wyświetlał się ten widok; zmieniały się pory roku, pory dnia, umarł na gruźlicę Kwapiszewski, Koziółowi wypadły zęby, ale krajobraz naszego podwórza trwał. „*Miałeś pan rację — mawiał Koziół — ale słuszności, znakiem tego, nie miałeś*

pan". Życie dzieli się na sprawy, na które mamy wpływ i takie, na które nie mamy, bo są poza nami. A jeszcze sprawy, na które mamy wpływ okazują się niekiedy, że są tego rzędu, iż mieliśmy na nie wpływ, ale ów wpływ jednego dnia, czy chwili ustał, zanikł, stał się przeszłością. Jaki wpływ ma na wodę wodorost, którym bawi się fala? Którym bawiła się fala?

— Zeniu, Zeniu — myślę sobie — życie przeszło ci przez ręce nie tak jakoś, jak powinno było. Są ludzie, którzy nie czują, że są na emigracji, którzy są w stanie przyzwyczać się, którzy nawet tu żyją normalnie, choć i oni czasem nie wolni są od chandry. I są też tacy, którzy nigdy nie przystosują się do obcości i do innego gatunku życia. Ja ciągle będę polską szyszką na australijskim eukaliptusie, owocem polskiej jarzębiny na casuarinie. Coś tu nie gra, coś tu jest jak nie powinno. Wolny wybór, wolna wola, od kiedy zaczęła się moja emigracja, od kiedy zacząłem rozumieć, że i dlaczego nie wrócę? Wszystko to puc i bzdura, są tylko konsekwencje i od niewyśledzonego momentu całe życie nagle zaczyna inaczej iść. I już inne narastają konsekwencje i prawa tych następstw i tyle już ich się nabiera, że przysypują swym pyłem, swą zamiecią, zawieją dawny ślad i pamięć o nim. I wszystko już inaczej wygląda, cały nasz krajobraz wewnętrzny, nawet nasza pustka jest inna.

Z niechęcią dostrzegłem gruby tom Lautréamonta na nocnym stoliku. Skąd się tu dostał? Nie bądź idiotą — poprawiałem siebie — pewnie tu leży od dłuższego czasu i nie zauważyłeś go, może leżał przykryty inną książką. Tak samo kiedyś oglądałem fotografię Jeanine, mej byłej narzeczonej z Francji; zaskakujące jest jak takie martwe przedmioty mają swoją złośliwość: nagle skądś wyskoczą, gdzieś się zaplączą. Jeanine? Owszem, było, skończyło się. kropka. Fotografie, jak całą przeszłość, powinno się wyrzucać, każdy etap życia zaczynać pod względem uczuciowym na nowo. Za mało żyjemy jedynie danym okresem, wpuszczamy doń za dużo przeszłości, dajemy się jej terroryzować. Obracałem książkę w ręce niezdecydowany, aż mi się otwo-

rzyła na stronie, gdzie zaczyna się Inkantacja do Starego Oceanu.

Czytałem słowa te, jak suche określenia i terminy protokołu policyjnego, na chwilę jak gdyby zapalały się cieplejsze przebliski we mnie, lecz gasły i wzrastała pomiędzy nami obcość. Nagle przypomniał mi się pewien wieczór w Café Conti na placu Capitol w Tuluzie. Było to w niedługi czas po poznaniu Starego, czekałem na Julka i Ignaca, siedząc na tarasie. Placem wiał Mistral, kłębiły się piaskowe wiry, wszyscy uciekali do wnętrza domostw, siedziałem przy szybie werandy, dającej, pewne schronienie. Zza rogu wyszedł Stary, z niedowierzaniem przypatrywał mi się przez chwilę, zatrzymał się i dosiadł na krótko. Oczy — zauważyłem to — miały wyraz jakby spłoszony. Powiedział, że przypadkowo przechodził tędy i widząc mnie wstąpił. Siedział obok mnie i milczał. Kelner podał mu kawę, była z żółędzi i z sacharyną. Skosztowawszy jej Stary skrzywił się prześmiesznie i rzekł:

— Jednym z potworniejszych aspektów wojny jest to, że w lokalach podają takie świństwa. A wiesz co? *Vous savez?* — poprawił się. — Kiedy mi pan podał swój pseudonim Maldoror, zgłupiałem. Bo sam chciałem taki przybrać. Właśnie wtedy ustaliliśmy przyjęcie pseudonimów, ja miałem wam zakomunikować mój nazajutrz. No, ale nic się nie stało. Ja też znalazłem coś z Lautréamonta: *Vieil Océan*.

No i tak zostało. Dopiero później zorientowałem się, że włączyliśmy się do *Orange II* w samym początku jej organizacji, że Julek zaopatrując mnie w swe rady wygi, jak należy zachowywać się przy rozwalaniu faceta, po prostu chciał mi imponować: sam też niemal równocześnie z nami zaczął tę robotę. Kto z nas nie lubi wykazać innym, jak dużo ma sam doświadczenia i mądrości, otrzaskania i cwaniackości? Każdy to lubi, niektórzy za bardzo.

Przeczytałem uważnie Inkantację do Starego Oceanu. Stary Ocean u Lautréamonta jest dwojakim symbolem: jest miejscem pojednania i unicestwienia. Dźgnięty tym

spojrzeniem na utwór zastanowiłem się przez chwilę: nie, tu nic nie ma, ciągle chciałbym gdzieś znaleźć jakieś wytłumaczenie, jakiś klucz do psychiki Hendricksa. No, to co z tego, że jest symbolem? Za dużo w ogóle wokół symboli, wszędzie ich pełno, a za mało podejrzliwości wobec własnej logiki, za mało umiejętności patrzenia na rzeczy i ludzi tak jak są. I ludzie i rzeczy łączą się z innymi, nie istnieją w oderwaniu, ale dzisiejszego ich kształtu nie jesteśmy w stanie dostrzec w właściwy sposób, ot co.

Czytając zdania pełne dygresji i zdawałoby się bezcelowych dywagacji — a mówiono o koszmarze podświadomości, o buncie, o niechęci do rodzaju ludzkiego, z którego autor chce wyłączyć się, o tysiącu innych cech i zaklasowań tego genialnego szaleńca — byłem wstrząśnięty. Czytałem je z trudem, z oporem, chciałem już nieraz odrzucić tę książkę, jednak chłodną myślą jak mikroskopem nad preparatem nachylałem się nad ową prozą. Być już wolnym od jej irracjonalnego wpływu, a rozumieć ją chłodno i rozkładać na czynniki pierwsze i tak proste jak pojęcia: stół, chleb, woda, a nie jakieś tam bunty, obsesje, lęki, przenośnie i niemożliwe do zdefiniowania stany i odczucia, którymi intelektualści od wieków bez trosko żonglują, by epatować głupców, albo, by uciec przed własnym niepokojem. Oświetlone nagle, jak reflektorem w nocy, na wierzch wypływają dziwaczne zdarzenia, niby niezauważone drzewa wycięte z ogromu nocy światłami samochodu i umiejscowione przy drodze. Stały tam i będą stały, a przecież ich nagle wyskoczenie tak nas oszałamia i zadziwia. Inne znów zdarzenia wykradają się z niezwykłą jasnością, dotykalne niemal wypływają po to, aby zniknąć w jakiś osobliwym rytymieniu, nieznanym dotychczas, a prostym niby genialny pomysł, nagle odkrycie, co ogarnia nas w mgnieniu oka jak błyskawica. Autor chyba tworzy ten niepokój i rytm w sposób całkiem świadomy, potem chowa się za banał, by za chwilę zaśmiać się szyderczo, wyskoczywszy nieoczekiwanie zza węgła. Mówiono o nim, że był genialnym wariatem, szaleńcem, prorokiem, za swego brać go

chcieli surrealiści i inni, klasyfikowano go, że pisze automatycznie i w ten sposób kpi z wszystkich. Kpi z tych, co go nie rozumieją, jak dziś kpi z prostaczków i opornych na przykład Picasso. Kpi? On sam nie kpi, nie to mu w głowie. Tym którzy u niego widzą tylko gmatwaninę i dziwactwo, wydaje się, że on z nich kpi. I przysięgaliby na to, że on kpi z ich zdrowego rozsądku i ich widzenia rzeczy. Za to go nienawidzą, że go nie rozumieją. Za to że ukazuje im, iż każda niemal sprawa ma drugie dno. O, to właśnie: drugie dno!

Zapaliłem papierosa i podniosłem wzrok znad książki. Dziewiąta rano, nowy dzień, a jestem zmęczony; jeszcze nie wstałem z łóżka, a czuję ogarniającą mnie senność, jak przed udaniem się na spoczynek. Weź się, Zenek, do kupy. Lautréamont Lautréamontem, sny snami, ale trzeba będzie wreszcie otrząsnąć się z przeszłości i pójść do pracy. Odłożyłem książkę; podejmując ją za chwilę tak jakoś ją wziąłem, że kartki same się przewróciły, wzrok zaś mój zaczął się na zdaniu: *Il n'était pas menteur, il avouait la vérité et disait qu'il était cruel*. Ach, znowu Maldoror. Tak, to Maldorem chciał być ten Hendricks. Spojrzałem na początek rozdziału, o kilka wierszy wyżej. Autor tak tam pisze: „Maldoror był dobrym podczas swych pierwszych lat, kiedy to żył szczęśliwy. W dalszym ciągu spostrzegł się iż z natury jest zły. Ukrywał swój charakter tak długo jak tylko mógł, poprzez wiele lat; ale, w końcu, na skutek tej koncentracji ustawicznej, a która nie była stanem naturalnym, co dzień krew uderzała mu do głowy; aż nie mogąc już dłużej znieść takiego życia, oddał się rzemiosłu czynienia zła...”. I dalej: „Czyż kamień jest w stanie wyrwać się prawom przyciągania?”. Jeszcze dalej opisuje jakąż to niezwykłą jest przyjemnością, udając, że głaszcze się niewinne dziecię, zadać mu nagle ból. To jest owo najwyższe szczęście, jakie tylko można sobie wyobrazić. Nie, dajcie mi spokój z Lautréamontem, to arszenik, który często bywa składnikiem wartościowych i skutecznych lekarstw, a w nieodpowiedniej dawce, albo w niewłaściwym czasie — truje. Ach, Zen-

ku, sam się męczysz, przecież ze wszystkim jest tak w życiu jak z tym niewłaściwie podanym arszenikiem, Zenu, na miłość boską: wstawaj, daj sobie pokój z tymi myślami, snami i pseudofilozofią, bo z nią przede wszystkim jest jak z tym kopanym arszenikiem. Wstawaj, idioto!

Odłożyłem książkę. Za oknem był upał, powietrze gęstniało, ruch zamierał. Łazienka. Ileż prostych radości może dać człowiekowi łazienka? Kiedyś po długim pobycie w dżungli na nowym wierceniu dorwałem się wreszcie w Port Moresby do... łazienki. Ha, ha. Śpiewałem zardzewiałym barytonem, prychałem jak koń, skakałem z radości pod strugą zimnej wody. Tak, śpiewałem z „My Fair Lady” *With a little bit of luck, with a little bit of luck!* Teraz wprowadzie nie śpiewałem nic, ale wytarłszy ciało ręcznikiem i narzuciwszy szlafrok wyskoczyłem na dwór. Popatrzyłem w niebo. Leciały tam jakieś samoloty, eukaliptus w ogrodzie zasłaniał kawałek nieba, u sąsiada płakało małe dziecko, w porcie buczały syreny. Moja gospodyni uśmiechnęła się do mnie.

— *Lovely day*, co? Nie idzie pan do pracy? Chory pan?

— Nie. Nie jestem chory.

— Aha, to ciągle tamta sprawa? *Take it easy!*

Nic nie odpowiedziałem. Co tu kobiecie odpowiadać?

— Czy jadł pan już *breakfast*?

— Nie, jeszcze nie. Wyskoczę do *milk*-baru po gazetę, a potem zjem śniadanie.

Przyzwyczała się do mej małomówności. Brała ją za coś normalnego. Och, w życiu wszystko trzeba brać za normalne. Nawet najdziwniejsze zbiegi okoliczności są tylko normalne. A my — jak głupi — ciągle czemuś się dziwimy. I zawsze wszystko chcemy jakoś inaczej rozumieć.

Kiedy jadłem śniadanie zadzwonił telefon.

— To dla pana — powiedziała gospodyni i uśmiechnęła się dorozumiewawczo. Jakaś młoda dziewczyna.

— Tu Michniewiczówna, dzień dobry panu. Pański numer telefonu podał mi pan Ignac, który siedzi właśnie u nas w salonie z Irką. Wybieramy się na plażę, bo mamy popołudniową zmianę. Ale ja do pana mówię i mówię, nie dopuszczam pana do głosu...

— Dzień dobry pani.

Chwilkę czekała, myśląc, że powiem coś więcej. I zmieszana jąła zapraszać mnie na brydża, bo *tatус i mamusia bardzo są niespokojni o pana i mają pewien interes do pana...* Więc czy odpowiadałoby panu dziś wieczorem? *Ale koniecznie!...*

Melbourne, 1959.

SPIS RZECZY

<i>REJS DO SMITHTON</i>	7
<i>Posłowie od autora</i>	99
<i>STARY OCEAN</i>	101

**ACHEVE D'IMPRIMER
LE 15 DECEMBRE 1960
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD,
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII°).**

Dépôt légal : 4 trim. 1960

